

MICHEL ZEVACO

Tajemnica wieży



MICHEL ZEVACO

**Tajemnica
wieży**



Wydawnictwo
PRZYGODA
SZCZECIN 1992

Tekst oparto na edycji Wydawnictwa Księgarni J. Przeworskiego
Warszawa 1932

Tytuł oryginału
Le heros de la Tour de Nesle

Przekład z francuskiego
Jan Mściwój

© Copyright by „Przygoda”, Szczecin 1992

ISBN 83-7037-120-5

I

TAK BYŁO PRZEZNACZONE

Trzej przyjaciele byli w nastroju nie do pozazdroszczenia: wielki skarb uciekł im sprzed nosa, a na domiar złego byli głodni. Z kieszeni ziały pustki, a każde wyjście na miasto groziło uwięzieniem.

Gdy nastał dzień, spożyli resztki zapasów i czekali cierpliwie na powrót Buridana. Obiecał im przecież przywieźć pieniądze. Co będzie jednak, jeśli jego nieobecność się przedłuży?

Minął dzień, noc i jeszcze jeden dzień. Bigorne zaryzykował wyjście i zdobył bochen chleba, który zjedli w mgnieniu oka. Potem ułożyli się w jednym z kątów poddasza, starając się zasnąć, aby nie czuć głodu.

Buridan tymczasem dotarł do Dzielnicy Cudów, dokąd wjazd był już zupełnie wolny. Stanąwszy na głównym placu, kazał przywołać księcia Egiptu. Nie upłynęło parę minut, a czcigodny książę zjawił się wraz z eskortą, trzymając w ręku pochodnię. Wtedy Buridan w milczeniu zaczął odwiązywać przytroczone do siodła worki, które padały, wydając głuchy brzęk, u stóp osłupiałych ze zdumienia żebraków. Tylko książę Egiptu pozostał spokojny.

— Obiecałem — odezwał się Buridan — że gdy zostanę bogaty, ofiaruję tobie i twoim towarzyszom połowę mego majątku. Dotrzymam słowa później, te pieniądze bowiem nie należą do mnie. Jest to złoto, którego nie mogę zatrzymać. Pomyślałem więc, że dam je tobie, polecając rozdzielić pomiędzy wdowy i sieroty po tych, którzy zginęli podczas starcia z wojskami królewskimi.

Książę Egiptu pokiwał głową na znak zgody i skinął ręką. W mgnieniu oka zaopiekowano się wszystkimi czterema workami. Buridan uśmiechnął się, pozdrowił ukłonem księcia Egiptu i opuścił Dzielnicę Cudów.

Na poddaszu Różanej Zagrody trzy zgłodniałe cienie ludzkie wydawały od czasu do czasu żalosne jęki i wzdychały jak miechy kowalskie.

— Która godzina? — szepnął Wilhelm Wichura, a gdy towarzysze nie raczyli mu odpowiedzieć, ciągnął dalej: — Bóg mi świadkiem, że teraz przyszedł na mnie kres. Och, biedaku, biedaku, że też musisz tak nędznie skończyć, z głodu... i z pragnienia!

— Niech diabli porwą tego nicponia, wyjącego jak wilk w noc księżycową! — pisnął Lancelot zirytowany. — Takiś biedny, takiś nieszczęśliwy i osłabiony, a drzesz się jak wieprzak prowadzony na targ.

— Ach, mój Lancelocie, dodaje mi głosu pragnienie... Zdawało mi się dotychczas, że wysuszone gardło nie może wydawać takich dźwięków... tymczasem myliłem się... Ale która jest godzina?

— Godzina jest ta, o której dobry chrześcijanin je kolację — wtrącił Riquet.

— Czyż nie jesteśmy dobrymi chrześcijanami — zaszlochał Wilhelm — a tymczasem ani krzty jedzenia, a język tak mi wysechł, że zupełnie kołkiem w gębie stoi. Nie mam w ustach śliny ani na lekarstwo. — Z tymi słowami Wilhelm Wichura zaczął stroić pocieszne miny, usiłując splunąć bez skutku na ziemię. Mimo jednak swego osłabienia wrzasnął natychmiast donośnie dzikim głosem: — Ach, ten wieprz Valois! Wymieniłbym chętnie dziesięć lat jego życia na jedną miarkę piwa.

— Daję słowo, dobry pomysł! — zawołał Lancelot.

— Wilhemek — wtrącił cichutko Riquet — ma skromne żądania, mógłby bowiem zapragnąć kilku flaszek starego wina.

— To prawda! — mlasnął językiem Wilhelm i oblizał się łakomie.

— A do tego parę dobrych kawałków mięsiwa — prosił dalej nielitościwy Lancelot.

— Znakomity pasztet z węgorki — pisnął Wilhelm. — Cały różaniec kielbasek...

— Głowiznę...

— Kilka soczystych kuropatw usmażonych we własnym sosie.

— Nie, nie., obłożonych kawałkami słoniny. A nie wstyd wam takich myśli, przecież to wielki post! — wykrzyknął Lancelot.

— Niestety! — westchnęli Wilhelm i Riquet.

— Lecz ja mam dyspensę — bąknął Wilhelm.

— Ja również — pośpieszył dodać Riquet.

— A wiecie, co ja robię, gdy nie mam ani wina, ani piwa? — zapytał Lancelot.

— Co takiego?

— Zadowolam się wodą, a zamiast kolacji zaciskam pasa.

— Ano, nie ma rady, pójdziemy za twoim przykładem — jęknęli Wilhelm i Riquet.

— Widzę, że jeśli nie wezmę sprawy w swoje ręce, będzie źle — mruknął Lancelot.

— Całe szczęście, że ja czuwam.

— Lancelocie — zawołał Wilhelm, spoglądając bystro na mówiącego — przysiągłbym, że masz jakąś myśl.

— Nie ma człowieka, który nie miałby jakiejś myśli. Ja na przykład myślę o tym — rzekł Riquet — że głód skręca mi kiszki.

— A ja — dodał Wilhelm — że mi się diabelnie chce pić.

— Już o tym słyszałem? Zamiast jęczeć, należy pomyśleć. Muszę wyjść na miasto, a może uda mi się zrobić: jakiś interes — rzekł poważnie Lancelot.

— Idź, Lancelocie, idź! Bądź spokojny, będziemy czuwać dobrze nad naszym więźniem.

Lancelot opuścił pokój i zszedł ostrożnie ciemnymi schodami. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, co uczyni, nie miał żadnego planu. Szedł na chybił trafił, wierząc w swój instynkt i dobrą gwiazdę. Był już na parterze i zamierzał wyjść do ogródka, gdy nagle zatrzymał się zdumiony — w ogrodzie ujrzał mdłe światelko.

Co to może być? Błyskawica? Przecież to nie pora na burzę. A może halucynacje? Nie, znowu światło! Trzeba się temu baczniej przyjrzeć.

Podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w nocny mrok. W ogrodzie ktoś był. Szedł powoli, jakby po omacku, z rękami wyciągniętymi przed siebie. W ręce trzymał ślepa latarkę, osłaniając ją starannie połą płaszcza. Od czasu do czasu jedynie podnosił ją nieco i oświetlał sobie drogę.

Ciekawość Lancelota wzrosła do najwyższych granic, Uchylił dyskretnie drzwi, wejściowe i wymknął się do ogrodu, aby tam baczniej obserwować nieznanego. Na wszelki wypadek wyjął z pochwy szpadę, gotując się każdej chwili do odparcia napaści.

Nagle płomień latarki padł na twarz nieznanego. Lancelot drgnął, poznał w nim Szymona Malingre'a.

— Tam do diaska! Co on tu robi? o, mój kochany, jesteś bardzo nieostrożny! Czyżbyś zapomniał, że mamy ze sobą porachunki?! Przyszedłeś tutaj na pewno, aby nas wyśledzić i zadenuncjować. Nie uda ci się to!

Tymczasem Szymon Malingre, nie podejrzewając nawet niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad jego głową, zatrzymał się, przykucnął i postawił latarkę u stóp jednego z drzew. Dopomagając sobie sztyletem, zaczął kopać ziemię. Czynił to z wielką wprawą i szybkością. Wkrótce dół pogłębił się i ręce jego dotknęły kufierka. Wydobył go, uśmiechając się obleśnie. Szepnął:

— Jest! — Otworzył pośpiesznie wieko kufierka i westchnął z ulgą. Jego skarb był nienaruszony. Zaczął głaskać: leżące w kufierku złote monety. — Mój Boże, jaki ze mnie głupiec! Wyobraziłem sobie, że ktoś znalazł kryjówkę! Tego by tylko brakowało. A może jednak ktoś się dobrał do pieniędzy? Może nadszarpnął moje oszczędności?

Zaczął rachować powoli, wzdychając z satysfakcją i drżąc ze zdenerwowania. Brzęknęło złoto, a stojący na czatach Lancelot uśmiechnął się od ucha do ucha i szepnął:

— Tym razem, jak mi się zdaje, mogę się zemścić.

Malingre zamknął wreszcie starannie kuferek i zaczął zasypywać dół. Udeptał ziemię, po czym oddalił się.

Lancelot nie zatrzymywał go, mruknął jedynie pod nosem:

— Możesz sobie iść, Wiem teraz, gdzie mogę cię przyłapać.

Wyczekał jeszcze chwilę, potem wyszedł ze swej kryjówki, rozkopał świeżo ubitą ziemię, wydobył z dołu kuferek i ruszył z nim do domu, mówiąc do siebie:

— Święty Barnaba dopomógł mi. Sądząc z wagi kufierka, zdobycz jest poważna. — Po chwili dodał: — Tak los chciał. Urodziłem się widocznie pod szczęśliwą gwiazdą i przeznaczeniem moim jest odkrywanie skarbów.

II

GILLONNA MA GŁOS

Szymon Malingre po ucieczce z Dzielnicy Cudów w towarzystwie Gillonny pośpieszył do Tempie, aby przeszkodzić Lancelotowi w porwaniu Filipa d'Aulnaya.

Wiemy już, że zamach był nieudany, a co gorsza, Gautier d'Aulnay dostał się również w ręce hrabiego de Valois.

Hrabia nie tylko nie przebaczył Szymonowi jego dawnych wykroczeń, lecz nawet wynagrodził go sownie za gorliwość.

Szymon nie posiadał się z gniewu, widząc, że pomimo wszystkich jego starań Buridan i Wilhelm wraz z Riquetem wymknęli się z zastawionej na nich pułapki.. Zaczynał przypuszczać, że wróg jest przebieglejszy od niego, i że trzeba będzie zrezygnować z dalszej walki. Był już nią zmęczony. Chętnie wyjechałby poza granice Francji, aby w spokoju używać życia. Oszczędności jego bowiem były znaczne.

Nagle doznał uczucia lęku. A nuż Gillonna skorzystała z tego, że wyznał jej, gdzie kryje się jego skarb, i zabrała mu go. Pognał więc do ogródka przy Różanej Zagrodzie, a po sprawdzeniu, że niczego nie brakuje, uspokojony ruszył do Tempie do swego pana, hrabiego de Valois. Po drodze zacierał radośnie ręce i szeptał:

— Dość już mam tego wszystkiego. Jestem bogatszy niż przypuszczałem. Jutro zabieram złoto, wsiadam na koń i ruszam w świat... Do widzenia, wielmożny panie! Rób, co chcesz, już się do niczego nie wtrącam.

Stał pod drzwiami pokoju Valois z zamiarem wejścia tam, gdy nagle usłyszał znajomy głos, który w gabinecie hrabiego wymówił jego imię. Ostrożnie uchylił drzwi osłonięte od zewnątrz grubą zasłoną i zaczął nadśluchiwać.

Gillonna rozmawiała z hrabią:

— Tak, wielmożny panie, Szymon Malingre nie jest godny tylu łask. To zdrajca, zasługujący na powieszenie, na ćwiartowanie albo na przypiekanie na wolnym ogniu. „Och! Wstrętna małpa!” — pomyślał Szymon, słysząc te słowa.

Valois zażądał:

— Wytlumacz to jaśniej. Zdawało mi się, że Szymon jest twoim przyjacielem. Powiedział mi nawet kiedyś, że chce się z tobą ożenić. Ładny zrobił wybór, mówiąc między nami...

Gillonna, jakby nie rozumiejąc ironii jego słów, dygnęła nisko.

— Wielmożny pan ma rację, byliśmy zaręczeni, lecz już nie jesteśmy.

— Skąd ta zmiana?

— Jestem oddana panu hrabiemu duszą i ciałem, nie mogę więc przyjaźnić się z człowiekiem, który go zdradza.

Valois spojrział na nią przenikliwie. Gillonna wytrzymała jego spojrzenie. Hrabia mruknął pod nosem:

— Dowiodła mi swej życzliwości... To prawda... Oddana mi jest ciałem i duszą. — Głośno zaś dodał: — Powiedz mi wszystko, co wiesz, tylko nie próbuj kłamać. W przeciwnym razie każę ci wyrwać język i przypiec cię na wolnym ogniu.

— Mówię szczerą prawdę. Gdybym chciała kłamać, nie przyszedłabym tutaj... bo i po co?

Teraz rozpoczął się stek łgarstw, w których Gillonna starała się ukazać Malingre'a w jak najgorszym świetle. Opowiadanie robiło odpowiednie wrażenie, toteż Valois wpadł we wściekłość i syknął gniewnie:

— To prawda, że służysz mi wiernie. Postępuj tak dalej, a będziesz miała we mnie hojnego pana. Gdybyś jednak zdradziła, czeka cię straszliwa kara. A teraz odejdz i nie puść pary z ust, niech zdrajca nie domyśla się, że wiem o wszystkim — łatwiej będzie go pochwycić.

Gillonna opuściła gabinet, dygając raz po raz. Szeptwała do siebie z uśmiechem zadowolenia na ustach:

— Mogę już chyba odmawiać pacierze za duszę Malingre'a. Ho, ho, ciekawa jestem, jak uda mu się wygrzebać z tego kłopotu! Będzie miał za swoje! Popamięta, co znaczy pozbawić mnie moich oszczędności!

Tymczasem Szymon stał ciągle za kotarą i drżał ze i strachu. Gdy już stara odeszła, przymknął drzwi i oddalił się na palcach do pokoiku do którego prócz niego nikt nie zaglądał. Tu czuł się zupełnie bezpieczny. Siadł ciężko na stołku. Z czoła spływał mu zimny pot. Wsparł się na stole łokciami, ukrył głowę w dłoniach i zaczął powtarzać jęklonie:

— Ach! Wstrętna baba! Obrzydliwa małpa! Jędza!

Gdy się już trochę uspokoił i opanował swą rozpacz, zaczął rozmyślać nad swym położeniem i nad sposobami wykręcenia się z tej całej przygody. Widocznie wpadł na pomysł, na usta jego wypłynął bowiem blady uśmiech.

Westchnął z ulgą, padł na posłanie w kącie pokoju, przeciągnął się i szepnął:

— Muszę się przespać... Zobaczymy, co przyniesie jutro. Droga Gillonno, pilnuj się, bo jeszcze nie obdarto mnie ze skóry... jeszcze żyję. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

III

GENIUSZ SZYMONA MALINGRE'A

Nazajutrz, zupełnie spokojny, wszedł do gabinetu hrabiego. Nikt nie posądziłby go o to, że wie o grożącym mu niebezpieczeństwie. Już od progu zawołał radośnie:

— Zwycięstwo, jaśnie wielmożny panie, zwycięstwo! Przynoszę dobrą nowinę.

Zdumiony Valois powściągnął na razie swój gniew i zwracając twarz w stronę Szymona, rzekł krótko:

— Hola, nicponiu! Zuchwale poczynasz sobie ze swym panem. Wchodzisz bez meldowania i z takim hałasem jak do karczmy!

Szymon pochylił się w pokornym ukłonie i wyjaśnił:

— Pan hrabia wybaczy mi moją śmiałość! Radość jednak z tego, że mogę przynieść mu dobrą nowinę, sprawiła, iż...

— Dobrze już, dobrze — przerwał mu hrabia nieco łagodniejszym tonem. — Nie zapominaj jednak, że jeśli nowina twoja nie jest tak bardzo pomyślna, jak ci się zdaje, otrzymasz za nią zasłużoną zapłatę! Pilnuj się!

— Pan hrabia sam zdecyduje... Ja wiem tylko to, gdzie znajduje się pewna młoda osóbka, którą jaśnie wielmożny pan zaszczyca swymi względami.

Z tymi słowami spojrział na hrabiego przenikliwie i dostrzegł na jego twarzy wielkie zmieszanie.

— Istotnie, to dobra nowina! A gdzież jest panienka?

Szymon ani mrugnął i odpowiedział spokojnie, patrząc prosto w twarz hrabiemu:

— Przy boku swego narzeczonego, imć pana Buridana.

Valois zacisnął gniewnie pięść i zbladł straszliwie. Szymon w głębi duszy delectował się wrazeniem, jakie na jego panu wywarły te słowa. Teraz hrabia zaczął chodzić nerwowo po pokoju, Rozmyślał. Po chwili usiadł w głębokim fotelu i rzekł spokojnie:

— Przy boku Buridana! To nie jest odpowiedź! A gdzie jest ten z piekła rodem młodzieniec? Straż miejska nie zdołała go przecież wytropić.

— Nie pytaj mnie, jaśnie wielmożny panie, o to, gdzie jest w tej chwili Buridan! Pozwól mi dokończyć rozpoczętego przeze mnie dzieła. Pański współdział w tej sprawie może mi jedynie przeszkodzić. Proszę tylko o czterdzieści osiem godzin cierpliwości, a jeśli nie przyprowadzę go skrępowanego jak ciele, może uczynić pan ze mną, co będzie tylko chciał. Przywiodę również Myrtille i całą bandę. Czyż nie udało mi się to już raz?

— Owszem — bąknął hrabia.

Szymon Malingre postanowił teraz rozpocząć wielką grę. Westchnął głośno i rzekł:

— Mówi pan to tak niepewnie. Widzę, ku wielkiemu memu żalowi, że mój pan już mi nie wierzy... że wątpi we mnie... muszę więc wszystko powiedzieć. Wyznać szczerze. — Z tymi słowami padł przed hrabią na kolana i wykrzyknął: — Jaśnie wielmożny panie, błagam o przebaczenie.

— O przebaczenie!? Za co?

— Wielmożny panie... — jęczał Szymon płaczliwym tonem — oszukałem cię, zwiodłem.

— Ach ty nędzny zdrajco! — ryknął hrabia, zrywając się z miejsca i odtrącając fotel. — Wreszcie przyznajesz się!

— Niewątpliwie — odpowiedział Malingre pokornie, spoglądając na hrabiego niewinnym, nieomalże dziecięcym spojrzeniem. — Istotnie, oszukałem mego pana, a to z nadmiaru gorliwości, nadmiernej chęci służenia mu.

Valois spojrział na mówiącego ze zdumieniem. Ścisnął gniewnie w dłoni rękę swego sztyletu, jakby chcąc pogrążyć go w piersi niecnego zdrajcy. Uspokoił się jednak nieco i wsuwając sztylet do pochwy, warknął:

— Nie, taka śmierć byłaby za łagodna dla takiego jak ty nicponia! Pragnę... — Znowu zaczął się pienieć... Uderzył młoteczką w stół. Do pokoju wpadł służący. — Przysłać mi tu dwóch żołnierzy... Już! — Potem zwrócił się do Malingre'a i dodał: — A teraz gadaj! Tylko nie kręć, bo jakem Valois, życie twoje wisi na włosku. No, słucham!

Szymon Malingre nie przejął się zbytnio gniewem hrabiego i odrzekł z wielkim spokojem:

— Widzę, że jaśnie wielmożny pan mnie nie zrozumiał. Życie moje należy do pana hrabiego. Może pan nim rozporządzać do woli. Oddałem je tobie, panie, na usługi. Muszę więc ci wyznać wszystko... Lepiej, żebym powiedział wszystko sam.

Ton, jakim były wypowiedziane te słowa, był tak szczery, że hrabia uczuł mimo woli wzruszenie. Spojrzał więc łagodniej na pokornie pochylonego w ukłonie sługę i oświadczył:

— Uchowaj mnie Boże, żebym chciał posądzać kogoś niewinnego albo skazywać, nie wysłuchawszy jego wyjaśnień. Mów więc, nie zapominaj jednak, żeś ty pierwszy wspomniał o zdradzie.

— Powiedziałem, jaśnie wielmożny panie, że oszukałem ciebie, lecz nie powiedziałem, że zdradziłem.

Teraz on z kolei zaczął opowiadać o tym, jak Myrtilła została wydana w ręce narzeczonego. Przedstawił wypadki tak, jak mu było najwygodniej, wreszcie zapewnił, że w tej chwili sieci już są rozstawione i że wkrótce wszyscy wpadną w zasadzkę. Prosił jedynie hrabiego o pozostawienie mu wolnej ręki w działaniu.

— Cieszę się całkowitym zaufaniem pana Buridana. Jest jednak z niego sprytny gracz. Należy więc ciągle mieć się na baczności. Dlatego też błagam usilnie o czterdzieści osiem godzin zwłoki, abym mógł wykonać mój plan.

Tym razem hrabia był przeświadczony, że Szymon Malingre jest niewinny, podał mu więc kiesę pełną złota ze słowami:

— Weź to jako rekompensatę za moją ostrość, a jeśli ci się wszystko uda dodał z uśmiechem — dam ci dziesięć takich sakiewek.

Szymon schował dar hrabiego do kieszeni, potem rzekł:

— Udaję się w drogę i choć muszę działać sam, proszę jednak o pomocnika.

— Wybierz sobie, kogo zechcesz.

— Jeśli tak, prosiłbym o wyznaczenie Gillonny.

— Kogo chcesz do pomocy? zapytał ze zdziwieniem Valois.

— Gillonnę.

— Sądzisz więc, że przyda ci się jej pomoc?

— Niewątpliwie.

— Dlaczego ona właśnie?

— Zna Myrtilłę i ma jej zaufanie.

— A więc ufasz Gillonnie?

— Jak sobie samemu.

— Hm! — mruknął hrabia, myśląc, że zaufanie Szymona jest bardzo źle ułożone. — To twoja sprawa. Czy uważasz, że jest zręczna?

— Sam szatan nie dorówna jej w zręczności i przebiegłości.

— W takim razie nie ma o czym gadać. A jak się zapatrujesz na jej wierność?

— Odpowiadam za nią jak za siebie.

— To dziwne — szepnął Valois, potem głośno dodał: — A więc koniecznie chcesz mieć ją do pomocy?

— Tak, jaśnie wielmożny panie.

Nigdy nie cieszyła się zbyt wielkimi u mnie względami.

— To martwi mnie najwięcej, jest bowiem bardzo uczciwa i oddana panu bezgranicznie. Ufam jej bez zastrzeżeń. Zdradzę panu, że mamy się pobrać, a ona szaleje za mną.

Hrabia de Valois zaczął się śmiać. Pomyślał: „Tam do licha! Jest przekonany, że babsko szaleje za nim, a tymczasem wczoraj jeszcze... zresztą, co mnie to obchodzi”.

— Możesz więc — rzekł głośno — wziąć ją sobie do pomocy, jeśli ci tak na tym zależy.

— Dziękuję. Czy mogę poprosić pana hrabiego, aby sam wydał odpowiednie rozporządzenie Gillonnie?

— Dlaczego?

— Bo jest uparta i nieraz pragnie postawić na swoim. Tymczasem, gdy pan hrabia jej rozkaże, nie będzie się spierać i stanie się pokorna jak jagnię.

— Mogę spełnić twą prośbę.

Hrabia rozkazał przywołać Gillonnę.

Zdumienie jej nie miało granic, gdy wchodząc do pokoju ujrzała Malingre'a, rozmawiającego spokojnie z hrabią. Spojrzała z niepokojem, chcąc odgadnąć prawdę. Malingre jednak był nieprzenikniony.

— Oddaję cię do pomocy Malingre'owi na kilka dni: Pamiętaj, że jeśli chcesz zasłużyć na moją łaskę, masz mu być posłuszna, a ja zapomnę o twoich względem mnie winach. Zapomnę również o pomyłce, którą popełniłaś wczorajszego wieczoru.

— A co — wtrącił Malingre z powagą — mówiłem, że musiała coś przeskrobać. Czy nigdy już nie spoważniejesz, Gillonno? Wybacz jej, jaśnie wielmożny panie, odpowiadam za to, że będzie posłuszna i spełni wszystkie twe rozkazy co do joty.

— Obowiązkiem moim jest spełnianie rozkazów pana hrabiego. Pomyłkę zaś postaram się naprawić.

Valois pożegnał Szymona i jego narzeczoną, wydawszy Malingre'owi półgłosem jeszcze jakieś zlecenia, co niezmiernie zaniepokoiło Gillonnę.

IV

W POTRZASKU

Gdy się już znaleźli za progiem gabinetu, Malingre podszedł do Gillonny i zapytał ją półgłosem:

— Czy w twoim pokoju można mówić swobodnie? Mam ci coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

Gillonna kiwnęła potakująco głową. Była niespokojna i obserwując Malingre'a postanowiła mieć się na baczności.

Już w jej mieszkaniu, Malingre zapytał:

— Czy wiesz, Gillonno, że ktoś obszczekał mnie przed panem hrabią?

Kobieta ciągle milczała.

— Tak — mówił dalej Malingre — pan hrabia wie o wszystkim i o mojej roli, jaką odegrałem zupełnie nieświadomie w porwaniu Myrtilli. Jakiś zdrajca odkrył mu to! Czy słyszysz?

— Aha, a więc podejrzewasz kogoś?

— Nie znam osoby, wiem tylko, że na pewno ktoś mnie zdradził... Może jakiś zazdrosny lokaj, który chce mnie zastąpić przy jego boku. Ale ja wyświetlę tę sprawę i wyrównam rachunek.

Gillonna uczuła strach, po chwili jednak uspokoiła się. Malingre na pewno jej nie posądza. Nie prosiłby wtedy o danie mu jej do pomocy. Chcąc odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia, złożyła ręce jak do modlitwy z udanym oburzeniem.

— Najświętsza Panienko, czy może być coś równie złośliwego jak lodzie na tym padole płaczu? Że też świat nie może obyć się bez zawiści i oszczerstw! — Po chwili dodała: — Postaram się dopomóc ci w miarę mych sił.

— Liczę na to — rzekł Szymon. — Zwłaszcza że cała ta sprawa również ciebie dotyczy.

— Jak to?

— Powiedziałem hrabiemu, że pomagałaś mi we wszystkim. Zna on teraz wszystkie moje czyny, a więc wie także wszystko o tobie.

— Oho! — mruknęła przeciągle Gillonna, otwierając szeroko oczy. — Powiedziałeś mu to? Dlaczego?

— Musiałem przecież coś powiedzieć, aby wykazać jednomyślność naszego działania. Widzisz, kocham cię bezgranicznie, a ponieważ hrabia zarzucał mi zdradę i była chwila, iż groziła mi kara śmierci, nie mogłem pogodzić się z myślą o rozstaniu z tobą. Jeśli mam zginąć to z tobą.

Gillonna poruszyła się gwałtownie i syknęła:

— A więc życie nasze zależy od hrabiego?

— Całkowicie.

— Powiedz mi teraz, dlaczego hrabia oddał mnie do twojej dyspozycji... Dlaczego wydał ci jakieś tajemne instrukcje? Coś mi się widzi, że bynajmniej nie jesteś u niego w niełasce... wprost przeciwnie!

Wbiła w Malingrea wzrok, który zdawał się mówić: „Uważaj, nie nabierzesz mnie tak łatwo”.

— Ach! Gillonno — rzekł Malingre z uśmiechem, który pojawiał się na jego ustach zwykle wtedy, gdy był zły. — Widzisz, wyprowadziłem w pole hrabiego, jakkolwiek ja jestem tylko sługą, a on panem. Opowiem ci wszystko i przekonasz się, jakie to jest zabawne.

Gillonna czuła coraz większy niepokój. Chciała wybadać sytuację. Musiała to jednak czynić bardzo ostrożnie, aby nie spłoszyć Szymona i nie obudzić jego nieufności. Otworzyła więc szeroko oczy i rzekła:

— Nic nie rozumiem.

— Zrozumiesz. Jestem w łaskach u hrabiego, w wielkich łaskach, lecz tylko na czterdzieści osiem godzin.

— Aaaa! A potem?

— Obetną mi prawą dłoń, jak się to czyni z krzywoprzysięzcami.

— A potem?

— Potem będą mnie szarpać rozpalonymi do białości obcęgami i lać na żywe rany roztopiony ołów... Chyba że...

— Chyba że?

— Pan hrabia każe mnie obedrzeć ze skóry.

— Och!

— Albo przypiec mnie na wolnym ogniu.

— Mój Boże!

— Może poćwiartować.

— Najświętsza Panienko! Nie upłynie czterdzieści osiem godzin, a ładnie będziesz wyglądał, biedaku!

— Zgadza się — odpowiedział. — Tylko że dotyczy to nas obojga, moja luba!

— Jak to? — zapytała przerażona megiera. — Chcesz powiedzieć, że i ja?... Ale dlaczego ja?

Malingre zaśmiał się posępnie, złowrogo.

— Dlatego że pomyślałem o tym, moja kochana, aby spotkał nas oboje jednakowy los. Wytłumaczę ci to. Przekonasz się, jak to zadrwiłem z jaśnie pana... Otóż, moja droga, albo wraz ze mną unikniesz zguby, albo zginiesz wraz ze mną.

Gillonna teraz dopiero nabrała przeświadczenia; że los jej rzeczywiście jest związany nierozzerwalnymi więzami z jego losem.

— Ach! Ty nędzny włóczęgo! — jęknęła boleśnie. — Na Boga! Wytłumacz to jaśniej!

— Tu nie ma co tłumaczyć! Jak już ci powiedziałem, pan hrabia wie o nas wszystko. Udało mi się wmówić mu, że postępowaliśmy tak, aby wydać w jego ręce

Buridana, Myrtille, Lancelota Bigorne'a i innych... Całą tę bandę... Czy rozumiesz mnie?

— Rozumiem... i co dalej?

— Potem obiecałem mu, że w ciągu czterdziestu i ośmiu godzin uda nam się wszystkich przyłapać. Jeśli nam się nie powiedzie, czeka nas los, o którym już wspomniałem.

— Czy przypuszczasz, że pochwycimy całą bandę?

— Och — gwizdnął Malingre — czy widzisz tę chmurkę na niebie?

— Widzę, ale...

— Otóż, moja Gillonno, zdaje mi się, że pochwylenie Buridana jest równie łatwe jak złapanie tej oto chmurki.

— To prawda — przytaknęła Gillonna — ale w takim razie... należy uciekać czym prędzej. Mało mamy czasu... tylko te czterdzieści osiem godzin. Jeśli zwiejemy teraz, będziemy już daleko, zanim zaczną się poszukiwania.

Przebiegłe oczka Maiingre'a błysnęły nagle ogniem i zgasły. Uderzył się pięścią po głowie i wykrzyknął:

— Patrzcie państwo! Jakiż ze mnie idiota! Nigdy by mi nie przyszła do głowy ta myśl. Ty dopiero rozjaśniłaś mi w łepetynie... — Potem dodał, jakby się tłumacząc: — Muszę przyznać, że myślałem jedynie o naszej fatalnej sytuacji. Lepiej jest jednak utracić stanowisko i pozycję społeczną niż życie... Zresztą, posiadając pewne oszczędności, można sobie dać radę.

— Uciekajmy więc. To nam tylko pozostało... Co do reszty, naradzimy się i postanowimy coś. Lecz dokąd uciekać? Czy nam się to uda? Czy nie pilnują nas? Czy nie śledzą?

— Czekaj, pozwól mi pomyśleć! — Udał, że pogrążył się w zadumie. Po chwili podniósł głowę i zawołał radośnie: — Znalazłem! Wyjdźmy stąd każde z osobna, pozostawiając nasze łachy na pastwę losu. Udasz się, Gillonno, do pałacu i zabierzesz stamtąd pieniądze i klejnoty, jakie posiadasz, a o siódmej spotkamy się w Różanej Zagrodzie, gdzie ukryłem mój skarb. Będę tam na ciebie czekał w niskiej parterowej sali.

— Dlaczego mamy się tam spotkać? — zapytała Gillonna z lekkim drzeniem, nie mogąc zrozumieć myśli Malingre'a.

— Podzielimy się uczciwie naszym majątkiem. Ażeby ci dowieść czystości mych intencji, masz — oto sakiewka, jaką dziś dostałem od pana hrabiego, zanim kazał przywołać ciebie do gabinetu! Jest prawie pełna! To złoto...

Oczy starej błysnęły chciwością i wyciągnęła zakrzywione jak szpony palce, pragnąc pochwylić sakiewkę, którą Malingre trzymał cały czas w przyzwoitej od niej odległości,

— Widzisz — mówił Szymon dalej widzisz, że jestem szczery. Nie wiedziałas przecież, że dostałem to od hrabiego. Gdybym ci tego nie powiedział, nie dowiedziałabyś się nigdy.

— To prawda — rzekła stara, na której jego wspaniałomyślność wywarła silne wrażenie.

— Jestem zdecydowany na szczerość i uczciwość w stosunku do ciebie na te kilka godzin życia, jakie nam jeszcze pozostały.

— Jak mam to rozumieć?

— Wytlumaczę ci za chwilę. A tymczasem przelewam zawartość tej sakiewki do naszej wspólnej kasy.

Z tymi słowami schował sakiewkę do kieszeni. .

Widząc to, stara pomyślała: „He, he! Czyżby nasza kasa mieściła się w jego kieszeni?”

Co prawda Malingre miał zamiar wręczyć sakiewkę Gillonnie, jednak w ostatniej chwili przestraszył się jej chciwości. Teraz ciągnął dalej swe wyjaśnienia:

— W Różanej Zagrodzie rozliczymy się ostatecznie, a potem będziesz mogła wybierać: albo się pobierzemy i udamy do Flandrii, gdzie będziemy mogli żyć sobie spokojnie, albo też po uregulowaniu wszystkich naszych spraw każde z nas uda się w swoją stronę i urządzi sobie życie tak, jak będzie uważało za najlepsze. Mam wrażenie, że ta druga kombinacja przypadnie ci bardziej do gustu, dlatego też wyraziłem się, iż pozostało nam zaledwie kilka godzin wspólnego życia. Cóż ty na to?

Gillonna, zdawało się, namyślała się, potem widocznie znalazła dobry sposób uniknięcia wszelkiego niebezpieczeństwa, odpowiedziała bowiem bardzo uprzejmie z uśmiechem:

— Owszem, twój plan przypadł mi do gustu. Uczynię tak, jak sobie tego życzysz, i o siódmej będę w Różanej Zagrodzie wraz z moimi oszczędnościami. Co zaś do twej propozycji zawarcia związku małżeńskiego...

— Postanowimy i to — przerwał Malingre — postanowimy, kiedy uregulujemy nasze rachunki... Chcę pozostawić ci trochę czasu do namysłu.

„Ejże — pomyślała — czyżby był w tej chwili szczerzy?”

— Ponieważ wszystko, jak na razie, zostało omówione, rozejdźmy się... Czas nagli.

— Dobrze — oświadczyła Gillonna — ja idę pierwsza.

— Idź, jeśli ci się tak podoba. Do wieczora więc.

— Do wieczora, Szymonie...

Do siódmej.

Gillonna stała już w drzwiach, gdy Malingre przywołał ją.

— Ach! Zapomniałem ci powiedzieć, że z chwilą, gdy przekroczysz próg domu, dwaj oddani mi ludzie ruszą za tobą jak dwa cienie, które nie odstąpią cię ani na krok.

— Co? — zdziwiła się stara, wstrząśnięta tą nowiną do głębi duszy.

— Cóż mam począć? Zabezpieczam się... a to wszystko ze względu na pieniądze, jakie przypadają mi z twojej części. Uprzedzam cię, że jeśli zapomnisz o godzinie naszego spotkania lub jeśli zapomnisz o przyniesieniu swoich pieniędzy, pan hrabia będzie o wszystkim powiadomiony, a ja jakoś się wybronię. A teraz możesz odejść.

Gillonna była przerażona. Pokornie, z poddaniem spuściła głowę, postanowiła bowiem na razie nie myśleć o zemście i odłożyć ją do czasów, kiedy znajdą się oboje poza zasięgiem wpływów strasznego hrabiego de Valois. Oddaliła się w milczeniu. Malingre odprowadził ją spojrzeniem, gdy zaś pozostał sam, wzrok jego błysnął triumfem. Wybuchnął szyderczym, ostrym śmiechem, przerywanym bełkotem:

— Ach! Ślicznie wyprowadziłem ją w pole! Teraz wpadła ta mała w moje sieci!... Nie wymknie mi się!

V

SŁÓW PARĘ O SZKATUŁCE, GWIZDKU I ZASŁONIE

O umówionej porze zasiadł Malingre w niskiej sali parterowej w Różanej Zagrodzie, wyczekując na Gillonnę z niecierpliwością i niepokojem.

— Jestem pewien, że przyjdzie... Nastraszyłem ją dokumentnie... Nie może zrobić zawodu... Oho! Już idzie! Teraz porachujemy się.

Gillonna istotnie weszła do ogródka. Była owinięta w szeroki, czarny płaszcz, szła powoli, ostrożnie.

Malingre pośpieszył na jej spotkanie, a gdy weszła do wnętrza domku, zaryglował starannie za nią drzwi.

— Widzisz, Szymonie, że jestem słowna!

— Wiedziałem, że tak będzie — odpowiedział ze śmiechem. Był bardzo wesół. — Czy przyniosłaś pieniądze? — zapytał z odcieniem niepokojem w głosie.

W milczeniu odsłoniła brzeg płaszcza i pokazała mu sporą szkatułkę, którą trzymała pod pachą.

— Zaczekaj, pomogę ci... Ta szkatułka jest za ciężka... Zwłaszcza dla tak słabej kobiety jak ty, moja słodka Gillonno.

Oczy błysnęły mu chciwością, śmiał się krótkim, urywanym śmiechem.

Już wyciągnął po szkatułkę chciwe ręce, Gillonna jednak przytuliła ją do piersi jak matka, która broni swego dziecka, i powiedziała:

— Nie, nie, zatrzymam ją.

— Jak chcesz, moja miła. — Wskazał na zasuwę u drzwi i wyjaśnił. — Musiałem pomyśleć o zatarasowaniu drzwi; należy mieć się na baczności.

Kiwnęła głową na znak zgody; nie przyszło jej wcale na myśl, że jest to pułapka zastawiona na nią.

Tymczasem Szymon Malingre zaczął się krzątać, wesoło zacierając ręce:

— Zapalę pochodnię... O tej porze roku szybko się ściemnia... Już gotowe, teraz przynajmniej widzę twoje oczy... Lubię w nie spoglądać. Siadaj... Nikt nam tu nie przeszkodzi. Pamiętaj o tym, że jest to dom czarownicy... Brr! Nikt się tutaj nie odważy przyjść.

Usiadł z dala od niej, po drugiej stronie stołu, od strony drzwi. Rękami wsparł się na rękojeści szpady, oparł na nich podbródek i spoglądał na nią, uśmiechając się.

Śmiech ten dziwnie niepokoił Gillonnę. Siedziała wyprostowana, sztywna, rozglądając się niespokojnie. Obu rękami przyciskała wieko szkatułki trzymanej na kolanach.

— Jestem zadowolony, że przyszłaś.

— I ja również — odparła, nie mogąc zrozumieć i wytłumaczyć sobie zachowania się Malingre'a. „Czyżby zwariował?” — myślała. „Ano, zdarza się i to. Może postradał zmysły z żalu, że utracił stanowisko na dworze hrabiego?”. Po chwili głośno dodała: — Musimy jednak zbierać się do drogi. Lepiej nie zwlekać. Ale gdzie jest twój skarb? Ja przyniosłam moje oszczędności; musimy jak najprędzej dokonać podziału.

— Jeszcze nie wykopałem swego skarbu.

—Hm... — mruknęła Gillonna.

Oko jej błysnęło zimnym ogniem, jeszcze silniej przycisnęła do siebie szkatułkę.

— Możemy tymczasem sprawdzić zawartość twojej skrzyneczki, potem pójdę do ogrodu po moje pieniądze.

— Nie zobaczysz moich wcześniej, zanim nie przyniesiesz twoich oszczędności.

— Widzę, że mi nie ufasz. To źle, a przecież proponowałem ci dzisiaj sakiewkę pełną złota. To kupa pieniędzy. Weź, sprawdź, porachuj... Ja tobie ufam.

Z tymi słowami wysypał złoto na stół.

Gillonna nie mogła oprzeć się pokusie. Wypuściła z rąk szkatułkę i zaczęła rachować leżące na stole pieniądze.

— Sto dukatów jak obszył — westchnęła radośnie.

— Tak jest, ładna sumka! Połowa należy do ciebie. Co zrobisz z tymi pieniędzmi? Nieufność kobiety zmniejszyła się.

— Mój Szymonie, mogę więc te pieniądze zabrać?

— Zaraz, zaraz, najpierw zobaczymy, co jest w twojej szkatułce.

— Idź i wykop swój skarb, w przeciwnym razie nie tkniesz moich pieniędzy.

— A ja ci mówię, że mi nie przeszkodzisz — krzyknął Malingre, rzucając się na Gillonnę ze sztyletem w rękę.

Gillonna ku wielkiemu jego zdumieniu pozwoliła odebrać sobie szkatułkę bez oporu. W czasie gdy Malingre usiłował otworzyć ją, Gillonna zbliżyła się do okna i wydobyła zza gorsu mały gwizdek po czym podniosła go szybko do ust.

Tymczasem Malingre przekonał się, że skarbczyk jest zamknięty na klucz. Z groźną miną podszedł do Gillonny i rzekł ochrypłym głosem:

— Klucz... Dawaj klucz!

Gillonna bez sprzeciwu rzuciła mu kluczyk, który złapał w powietrzu i włożył do zamka. Gdy już miał podnieść wieko, Gillonna rzekła:

— Zaczekaj i posłuchaj.

Spojrzał na nią i zauważył, że zachowanie jej niezmiernie się zmieniło. Wyczuł jakiś brzydki kawał z jej strony. Pozostawiwszy szkatułkę na stole, przyłożył palec do nosa, jak to zwykł był czynić rozmyślając, a po chwili odezwał się szyderczym tonem:

— Mogę poczekać... Mów, nic nie nagli,

— Otóż posłuchaj. Zbyt dobrze cię znam, aby nie przedsięwziąć środków ostrożności.

— Tak? A cóż to za środki? — zapytał spokojnie.

— Widzisz, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, przywiodłam ze sobą oddanych mi ludzi i umieściłam w pobliżu. Wystarczy, abym gwizdnęła, a zjawią się tutaj i poradzą sobie z tobą. Wszelki opór będzie daremny.

„Powinienem był przewidzieć, że ta małpa coś takiego wymyśli” — rzekł w duchu Malingre, głośno zaś dodał:

— Zanim jednak przybędą na pomoc, wpakuję ci w gardło ostrze tego oto sztyletu.

— To się jeszcze okaże... A gdyby nawet, moi stronnicy, widząc, że nie żyję, zamordują cię bez litości. Moja śmierć będzie twoją śmiercią. Widzisz więc, że los naprawdę połączył nas pod każdym względem.

„Bodajby piekło pochłonęło tę babę!” — pomyślał Malingre, pociągając się za nos.

— To jeszcze nie wszystko... Na odgłos gwizdka jeden z moich ludzi pobiegnie do Temple i sprowadzi żołnierzy hrabiego. A więc, Szymonku, czy dobrze obmyśliłam całą sprawę?

Gillonna nie skłamała. Za parę dukatów zjednała sobie czterech żołnierzy z garnizonu i udała się wraz z nimi do Różanej Zagrody, pozostawiając ich przed domkiem na czatach. Nie przewidziała jedynie tego, że Szymon nie przyniesie do domku złota i że na całej tej sprawie może wobec tego nic nie zarobić.

Malingre tymczasem spoglądał na nią i z namysłem pocierał nos.

— Widzisz, Szymonie, że jestem równie przebiegła i ostrożna jak ty. Nie jest bezpiecznie wchodzić mi w drogę.

— To prawda — oświadczył Malingre — jesteś sprytniejsza niż przypuszczałem.

— Wobec tego sprawa załatwiona. Myślę, że zechcesz teraz przynieść swój skarb.

— Przysięgam ci, że po przerachowaniu twoich pieniędzy, wydobędę z ukrycia mój kuferek.

Przystąpiono do obrachunku. Tu jednak sprawa znowu się pogmatwała. Gdy już zawartość kasetki została podzielona, współnicy zaczęli się kłócić, gestykulować, spoglądając groźnie na siebie, zapominając o wszystkim. Nikt nie był zadowolony z podziału. Zaczęto więc dzielić na nowo i znowu rozległy się krzyki i złorzeczenia.

— Bandyto, łotrze, powiadam ci, że okradasz mnie! Widziałam, widziałam dobrze, jak ukryłeś jedną monetę — wrzeszczała Gillonna, mieszając poukładane na stole stosiki złota.

— A więc na nowo! Nie pozwolę okradać się, jak przed chwilą... Aha! Mam nareszcie!

Słowa te padły z ust Malingre'a w chwili, gdy udało mu się zerwać z szyi Gillonny zawieszony na cienkim łańcuszku gwizdek. Umyślnie robił zamieszanie i nieprawidłowo układał pieniądze, aby odwrócić jej uwagę. Teraz trzymał gwizdek w ręku.

— No i co, moja słodka, co mi teraz zrobisz? Wołaj swoich przyjaciół! Ho, ho, chytry z ciebie lis, ale ja jestem jeszcze chytrzejszy!

Schował gwizdek do kieszeni.

Gillonna była przerażona. Dobrowolnie wpadła w pułapkę, a teraz zdana była na łaskę i niełaskę swego wroga.

Malingre mówił dalej:

— Możesz teraz rachować i przekładać swoje złoto. Nie będę ci przeszkadzał. Widzisz jednak, że jestem lepszy od ciebie.

Tak przemawiając do Gillonny, jedną ręką wrzucał złote monety do szkatułki, z drugiej zaś nie wypuszczał sztyletu.

Przerażona Gillonna zapytała drżącym głosem:

— Czy miałbyś serce zabrać mi wszystko?

— Tak, moja droga, wystarczy mi na to serca.

— Ależ to niepodobna... Pozostaw mi chociaż kilka dukatów... Chociaż te srebrne monety! Nie zabieraj mi wszystkiego, ty bandyto, nędzniku!

— Cóż robić, moja droga, tak widać chciało przeznaczenie.

— Nie zabijaj mnie... Przecież jesteśmy przyjaciółmi... Mieliśmy się pobrać... Czy już zapomniałeś o tym?

— Co znowu! Byliśmy istotnie dobrymi przyjaciółmi, tak dobrymi, że za twoją namową hrabia kazał mnie wtrącić do więzienia ku twojej wielkiej radości.

„Słodki Jezu — pomyślała nieszczęśliwa Gillonna — zdaje mi się, że przyszła moja ostatnia godzina. Nie udało mi się”. Potem głośno dodała:

— Uwolnienie jednak zawdzięczasz mnie... Sama przyszłam cię uwolnić.

— Nie gadaj! Przyszłaś naigrawać się ze mnie, a jeśli jestem wolny, zawdzięczam to jedynie swemu sprytowi.

— Ależ to był tylko głupi żart z mojej strony. W gruncie rzeczy kochałam cię i kocham dziś jeszcze.

— A więc z miłości zadenuncjowałam mnie przed naszym panem wczorajszego wieczoru, tak że gdyby nie mój spryt, siedziałbym już dziś w celi więziennej, a ty pośpieszyłabyś do Różanej Zagrody po mój skarb.

— Aniołowie niebiescy, on wie wszystko! Jestem zgubiona!

— Zdaje mi się, że tak — odpowiedział zimno Malingre. — Chciałaś zabrać mój skarb, więc teraz ja odbiorę ci twój i zatrzymam go. Chciałaś wydać mnie hrabiemu, a to ja trzymam cię teraz mocno i nie wymkniesz mi się.

— Żebraku! Psie przeklęty! Tak dręczyć biedną kobietę!

— Nie jesteś kobietą, tylko jędzą z piekła rodem! Pójdiesz za chwilę smażyć się w piekle.

— Żebyś ty tam nie trafił przede mną!

— To się jeszcze okaże. No, wybieraj rodzaj śmierci!
— Ja nie chcę umierać! Nie chcę!
— Stul pysk!
— Śmierć moja będzie pomszczona.
— A któż będzie tym mścicielem?
— Oddani mi ludzie, którzy czekają na mnie. Jeśli nie wyjdę stąd przed północą, wpadną do Różanej Zagrody.
— Gwizdź na nich! Jeszcze nie ma jedenastej. O północy będę już daleko, no, wybieraj! Milczysz... Jesteś uparta... W takim razie, powieszę cię... To będzie najprostsze.
— Powieszysz mnie? Tutaj!
— Tak, tutaj!
— Nie będziesz mógł tego uczynić... Nie masz ani sznura, ani miejsca na to.
— Już ty się oto nie martw. Powieszę cię tutaj, a nikt cię nie usłyszy i nie przyjdzie ci z pomocą.

Po tych słowach podszedł, nucąc jakąś piosenkę, do grubej zasłony we wnęce okiennej i wskazał na sznur zwisający aż do ziemi.

— Spójrz tylko, jaki śliczny sznur. Kat nie miewa lepszego... A ta belka u góry, czyż nie może zastąpić szubienicy? Ho, ho, wszystko pójdzie jak po maśle.

— Łaski! Szymonie, łaski!

Nie zwracając uwagi na jej jęki, ciągle podśpiewując pod nosem, Malingre przyniósł mały stołeczek, który postawił pod belką przeznaczoną na szubienicę, po czym rzekł do siebie:

— Usiądę sobie tutaj, aby przyjrzeć się grymasom, jakie będzie stroiła, dyndając na końcu sznura.

— Łaski! — zawyła znowu Gillonna, padając na kolana.

Szymon z szyderczym uśmiechem ukłuił ją ostrzem sztyletu, zmuszając tym do powstania z ziemi, a potem wskazał palcem na sznur.

— Ruszaj! Żywo!

Gillonna wrzasnęła, lecz nie ruszyła się z miejsca.

— Ruszaj! — powtórzył Malingre, kłując ją jeszcze silniej.

Zaczęła iść powoli, półprzytomna, rozczochrana, spoglądając błędnie przed siebie. Zbliżyła się do sznura, zatrzymując się co chwila.

Malingre tymczasem wyśpiewywał jakąś ponurą pieśń wisielca: o szubienicy, kacie i powrozie.

Wreszcie Gillonna stanęła przy stołku.

— Wejdz — rozkazał, zasłaniając równocześnie okno portierą, jakby w obawie, aby jakieś niedyskretne oko nie podpatrzyło tego, co się dzieje.

Gdyby nie ten niefortunny pomysł, ujrzałby otwierające się drzwi szafy i rękę, która wysunęła się z niej, pochwyciła stojącą na stole kasetkę i zniknęła.

Tymczasem Malingre wciąż stał groźnie nad Gillonną i kłując ją sztyletem, wołał:

— Wejdz na stołek!

Nieszczęsna kobieta musiała wykonać jego rozkaz, podnosząc do nieba przerażone spojrzenie i jęcząc rozpaczliwie.

Malingre spokojnie podśpiewywał, potem zarzucił delikwentce pętlę na szyję, owinął drugi koniec sznura dokoła rąk, związał je, po czym usiadł nie opodal.

— A teraz pogadamy jak dwoje dobrych przyjaciół; Czy pamiętasz, moja luba... Hola! Co ci się stało? Nie wierć się tak! Hej! Suko! Ścierwo!

Okrzyk ten wywołany został niespodziewanym rozwojem wypadków. Gillonna, stojąc na stołku z pętlą na szyi, zemdląła ze strachu. Stołek przewrócił się... Bezwładne

ciało obsunęło się na dół i zawisło w powietrzu, drgając kurczowo. Gillonna wisiała, powiesiła się sama.

Malingre prędko ochłonął ze zdumienia, umocował koniec sznura, aby podtrzymać wiszącą w powietrzu ciało, potem stanął na wprost swej ofiary i zaczął się jej przyglądać z dziką radością:

— Zawsze musisz robić kawały! Tyle miałem ci jeszcze do powiedzenia... Brr! Za życia nie grzeszyłaś urodą, teraz jednak jesteś ohydna... Nie mogę na ciebie patrzeć... Mdl mi.

Z tymi słowami skierował się w głąb pokoju, zasłaniając wiszącą Gillonnę portierą.

VI

MALINGRE NIE POSIADA SIĘ ZE ZDUMIENIA

Podszedł do stołu, aby zabrać spadek po Gillonnie — szkatułkę ze złotem. Tu jednak otworzył szeroko oczy:

— Czyżbym śnił? Przecież szkatułka stała na stole.

Kasetka znikła bez śladu.

Zaczął szukać, zaglądnij pod stół, pod meble i ciągle powtarzał:

— Przecież pozostawiłem ją na stole... Tak... Jestem tego pewien... Nie śpię... Jeszcze nie oszalałem.

Coraz większy ogarniał go lęk; nie miał odwagi zajrzeć za zasłonę, za którą wisiała Gillonna.

Nabrał nawet przeświadczenia, że był to kawał nieboszczki, która nie mogła rozstać się ze swym skarbem nawet po śmierci. Spojrzał na portierę i osłupiał. Zaczęła się poruszać, a za nią rozległ się głos Gillonny powieszony przez niego przed kwadrans. Głos ten mówił:

— Tak, to ja odebrałam ci mój skarb. Nawet śmierć nie może mnie z nim rozdzielić... Szukaj, lecz nic nie znajdziesz! Zabrałam to, co do mnie należało.

Rozległ się diabelski śmiech, a potem brzęk przesypywanego złota.

Przerażony Malingre zaczął drzeć się jak opętany:

— Precz, wstrętne widmo, zabrałaś swoją własność, nic ci się już ode mnie nie należy... Pozostaw mnie w spokoju. Zobowiązuję się poświęcić połowę mojego majątku na zakupienie mszy za twoją duszę... Pozostaw mnie tylko w spokoju!

Wybiegł z pokoju, zamknął za sobą drzwi na klucz i stał pod nimi, szcękając zębami i nie mogąc postąpić jednego kroku naprzód. Serce waliło mu jak młotem.

Nagle przez dziurkę od klucza rozległ się znowu szyderczy głos nieboszczki:

— Powiedziałaś: z twego majątku! Biegnij! Szukaj twego majątku! Nie wiem tylko, czy znajdziesz!

Był jak zahipnotyzowany. Nie przyszło mu nawet na myśl uciekać. Sparaliżowało go przerażenie, że przepadł również jego skarb. Wpadł do ogrodu i ostrzem sztyletu zaczął kopać ziemię, ciężko dysząc. Wykopał już duży dół, a kufierka jeszcze nie było. Tymczasem usłyszał znowu głos Gillonny:

— Nie znajdziesz nic! Wszystko zabrałam!

Kopał dalej uparcie. Po czole spływał mu zimny pot, na usta wystąpiła piana, był straszny: cały okryty błotem i krwią, bowiem kopiąc pośpiesznie, pokrwawił sobie ręce. Ale kopał wytrwale dalej. Po chwili jednak musiał zrezygnować. Teraz wiedział już na pewno, że kufierka nie znajdzie. Jęknął:

— Okradła mnie! Ta baba okradła mnie... Zabrała mi wszystko!
Gdy tak lamentował, nagle czyjaś ręka spoczęła mu na ramieniu, a ochryply głos zawołał:
— Oho! Ależ to mój towarzysz, Szymon Malingre! Co tu robisz o tej godzinie?
Malingre spojrział na mówiącego i poznał w nim Lancelota Bigorne'a.
Los najwidoczniej nie sprzyjał mu tego wieczoru, tak jednak był zgnębiony utratą pieniędzy, że nie pomyślał nawet o nowym niebezpieczeństwie, tylko wskazał ręką na pusty dół i rzekł płaczliwym głosem:
— Ta łotrzyca okradła mnie.
— To jeszcze nie powód do ryku! Nie jesteś cielęciami, które wiodą do rzeźni... Nie należy budzić ludzi ze snu. Chodź ze mną.
Teraz dopiero Malingre poznał Bigorne'a i zrozumiał, w jaką wpadł matnię.
Tymczasem Lancelot, trzymając go za kołnierz, wyjął mu z rąk sztylet.
— Oddaj mi tę zabawkę, bo może być wypadek. Wiem, że jesteś nieostrożny. Nie stawiaj oporu, bo inaczej zapoznasz się z moją szpadą.
Malingre usłuchał rozkazu, widząc jednak, że Bigorne prowadzi go do sali, w której wisiała Gillonna, pełen przerażenia zaczął błagać:
— Wszędzie, tylko nie tam... Tylko nie tam...
— Popatrzcie go, cóż masz przeciw tej sali? Tam się bardzo pięknie rozmawia.
Malingre ciągle jeszcze jęczał:
— Tam ona czeka na mnie, pochwyci mnie w swoje szpony, jak pochwyliła szkatułkę ze złotem.
— Bredzisz, przyjacielu — rzekł Bigorne, wprowadzając Malingre'a do pokoju i zamykając drzwi na zasuwę. — A teraz pogadajmy.
Szymon był nieprzytomny ze strachu.
— Mój drogi, chyba jesteś wcielonym diabłem — mówił dalej szyderczo Lancelot.
— Jesteś wszędzie obecny, zawsze przykładasz rękę do jakiegoś brudnego interesu! Niebezpieczny z ciebie gad!
Malingre milczał dygocąc na całym ciele.
Nie doczekawszy się odpowiedzi, Lancelot mówił dalej:
— Zawsze stajesz na naszej drodze, postanowiłem więc rozprawić się z tobą i ukreć ci łeb jak kurczakowi. Albo nie! Powieszę cię.
— Powieszysz mnie tutaj?
— Tak, łotrze... Za tą portierą.
Malingre zaczął się śmiać.
— Co takiego? Śmiejesz się? Nie boisz się śmierci?
— Nie powieszysz mnie tutaj — mówił Malingre, wciąż się śmiejąc. — Nie... Miejsce jest już zajęte, ona tam wisi!
— Dobrze! Dobrze! Widzę, że masz bzika — odpowiedział Lancelot, podnosząc się z miejsca i odsuwając portierę.
Malingre szeroko otworzył usta i padł na ziemię z jękiem.
— Do cholery z takim tchórzem! — wykrzyknął Lancelot. — Wiedziałem, że obleci go strach.
Podniósł Malingre'a z ziemi, obrócił twarzą w stronę niszy i rzekł:
— Spójrz tylko, wszystko gotowe na twoje przyjęcie.
Malingre spojrział i osłupiał ze zdumienia.
Sznur wisiał od sufitu ku ziemi. Tuż pod sznurem stał mały stółek. Gillonny nigdzie nie było!
Malingre hic nie rozumiał.
— No — rzekł surowo Bigorne — ruszaj!

Powtórzyła się scena wieszania. Tym razem jednak Malingre był ofiarą, a Lancelot przykładał mu ostrze do szyi ze słowami:

— Ruszaj!

Kiedy fatalny powróż ścisnął mu gardło — uczuł gwałtowny ból, potem jego ciało zawisło w próżni...

*

Ani Malingre, ani Gillonna nie rozstali się jednak z życiem.

Lancelot Bigorne ukryty w jednej z olbrzymich szaf, stojących w parterowej sali Różanej Zagrody, podsłuchiwał całą rozmowę godnej siebie pary. Korzystając z tego, że Malingre był zajęty wieszaniem Gillonny, porwał szkatułkę z pieniędzmi i dalej przyglądał się z ukrycia scenie egzekucji.

Gdy Malingre zasunął zasłonę, zdjął z powroza nieszczęśliwą Gillonnę, ocucił ją i podszeptnął jej słowa, które tak przeraziły Malingre'a.

Potem powierzył babę opiece Wilhelma Wichury, który umieścił ją w piwnicy sąsiadującej przez ścianę ze Stragildem. Następnie sprytny sługa Buridana pognął za Malingre'em do ogrodu i zaaranżował później całą scenę mieszania, zdejmując w samą porę delikwenta z powroza. Odprowadzono go do tej samej piwnicy, w której siedziała już Gillonna.

Silny wstrząs nerwowy, jakiego doznał Malingre, pomieszał mu zmysły. Gdy już w piwnicy ocknął się z omdlenia, spostrzegł, że otaczają go nieprzeniknione ciemności. Był przekonany, że nie żyje i że jest to mrok mogiły.

Powoli wzrok jego oswoił się nieco z ciemnością i ujrzał Gillonnę, która przerażona przykucnęła w kącie i przyglądała mu się ze strachem, a jednocześnie z tajonym zadowoleniem.

Widok Gillonny do reszty zmaćcił mu jasność myślenia. Wyobraził sobie, że jest w czyścicu i że dusza Gillonny chce go pociągnąć do piekła. Zaczął wskazywać na nią palcami i wołać:

— Ohyda! To widmo! Zabrałaś mi moje złoto! Zabrałaś mi życie... A teraz chcesz jeszcze mojej duszy. Chcesz oddać ją na pastwę szatana! Precz, jędzo z piekła rodem! Precz! Nie dam ci mojej duszy! Nie! Nie dostaniesz jej! Niedoczekanie twoje!

Teraz Gillonna zrozumiała, że sąsiad jej jest obłąkany. Zadrzała ze strachu i jęknęła:

— Wariat! Oszalał! Słodki Jezu! Ależ on mnie udusi... Pożre mnie. Nie chcę siedzieć z nim w jednej celi... To straszne... Ja sama przy nim oszaleję!

Rzuciła się do drzwi. Jęła walić w nie pięściami i drzeć się wniebogłosy.

Tymczasem wariatowi przywidziało się, że musi stoczyć walkę z widmem. Przykucnął w kącie piwnicy i zaczął pomrukiwać:

— Chcesz mnie pokonać? Chcesz mnie zwyciężyć?!? Ależ ja jestem mężczyzną! Jestem silniejszy od ciebie, babo! Piekielnico! Zbliź się tylko do mnie... Niech no cię tylko złapię w moje ręce, zobaczymy, kto jest silniejszy! Musisz powiedzieć mi, gdzie ukryłaś moje złoto! Zapłacisz mi za twoją zdradę gardłem! Zbliź się tylko!

Gillonna, rzecz oczywista, ani myślała się zbliżyć. Wariat jednak nie uspokoił się, tylko sam zaczął skradać się do niej. Schwycił ją wreszcie i zawołał:

— Trzymam cię! Trzymam dobrze! Teraz zobaczymy, kto z nas dwojga jest silniejszy! Aha! Moje złoto! Gdzie jest moje złoto? Powiesz mi czy nie?! Gdzie? Czekaj, czekaj! Przyduszę cię jak się patrzy... Ty, zdrajczyno! Wiedziałem, że przypłacisz swoją zdradę gardłem. Wiedziałem, że jestem silniejszy od ciebie!

Wpuścił ją wreszcie z uścisku swych rąk. Gillonna już nie żyła.

Nie zwracając na nieboszczkę najmniejszej uwagi, rzucił się w jeden z kątów piwnicy i zaczął paznokciami rozgrzebywać ziemię, warcząc gniewnie:

— Moje złoto jest tutaj! Wiem o tym! Tu ukryła moje złoto... Zmusiłem ją do wyznania mi, gdzie kryje mój skarb! Teraz muszę tylko kopać... kopać... kopać... Jaka twarda ta ziemia... jaka twarda... Nic to... niech tam... Obym tylko znalazł moje złoto!

Kopał zapamiętałe. Spod paznokci płynęła krew. Nie widział tego i nie czuł... Kopał... ciągle kopał

— Już... już... jeszcze trochę... jeszcze trochę...

Kopał coraz zapamiętałej. Rozrzucał ziemię dokoła siebie. Dół stawał się Coraz głębszy.

Długo jeszcze w ciemnej piwnicy rozlegał się jego wściekły, zwierzęcy pomruk:

— Znajdę moje złoto... znajdę je.

Po jakimś czasie zamilkł i znieruchomiał w wykopanym przez siebie rowie.

VII

POMYSŁ BURIDANA

Jan Buridan po złożeniu u stóp księcia Egiptu zdobytych na Stragildzie worków ze złotem opuścił Dzielnicę Cudów. Uczuł ulgę, widząc, że się pozbył tych pieniędzy, splamionych krwią niewinnych ofiar. Wiedział, iż pozostawił swych towarzyszy bez grosza. Wierzył jednak w ich pomysłowość i obrotność, nie przejmował się więc zbyt ich sytuacją.

Spokojnie kierował się w stronę Bramy Malarzy. Właśnie otwierano wrota. Najspokojniej pod słońcem przejechał przez bramę, a nikomu nawet nie przyszło do głowy, że ten młody, elegancki szlachcic jest ściganym przez; prawo przestępcą stanu.

Gdy się już znalazł poza murami miejskimi, skierował swego rumaka do Montmartre. Musiał zobaczyć się z Myrtillą. Potrzebna mu tak była do szczęścia jak słońce i powietrze. Nie był bynajmniej sentymentalny. Miłość w jego życiu nie grała głównej roli. Myrtilla jednak stała się częścią jego jaźni, żył z nią, jakkolwiek nie zdawał sobie z tego sprawy.

Serce zaczęło bić mu silniej, gdy znalazł się na pochyłości wzgórza, na którym rozsiadły się nędzne domki wieśniacze. Z pobliskiego lasu wybiegła jakaś biała ubrana postać niewieścia, rzuciła mu się na szyję i zawołała:

— Jak się masz, Janie! Witaj!

Była to Myrtilla, która ujrzawszy nadjeżdżającego, pocieszyła na jago powitanie. W ślad za nią ukazała się Anna de Dramans odmłodzona prawie o dwadzieścia lat, tak zmieniło ją szczęście z odzyskania syna.

Weszli ha szczyt wzgórza,.

— Czy widzisz tę skałę? — zapytała Myrtilla Buridana. — Tam mieszkam.

— Jak to?

— Przez cały czas tam czekamy, spoglądając w kierunku Paryża — odpowiedziała Anna de Dramans z uśmiechem.

Cała szczęśliwa trójka udała się do chatki, w której zamieszkały obie kobiety. Buridan, zasiadłszy do stołu, przypomniał sobie o swoich towarzyszach, którym w tej chwili może głód ścisnął wnętrzności. Nie zmartwiło go to jednak. Wiedział doskonale że Bigorne, a i reszta zuchów, na pewno nie umrze z głodu. Odrzucił od siebie wszystkie smutne myśli, postanawiając przynajmniej jeden dzień przeżyć szczęśliwie i spokojnie w towarzystwie kochającej matki i narzeczonej.

Wieczorem przygotowano mu łoże w jednej z izdebek wiejskiej chaty. Poślanie to stanowiła duża wiązka siana przykrytego prześcieradłem.

Spał jak król.

Nazajutrz Mabel zaproponowała, aby wyjechali razem. Przystał na jej propozycję, lecz odłożył to na później. W tej chwili nie mógł tego uczynić. Gautier i Filip byli w więzieniu. Musiał również pomyśleć o Marignym. Pozostał jeszcze na jeden dzień w Montmartre.

Mabel była zdziwiona jego zachowaniem. Myrtilła jednak uważała, że życie jest bardzo piękne, i nie trapiła się niczym. Horyzont jej szczęścia zaciemniała jedna jedyna chmura — rozłąka z ojcem. Ale ciągle miała nadzieję, że Marigny kiedyś zmięknie i pogodzi się z Buridanem.

Przyszła wreszcie chwila, w której Jan oświadczył, iż musi wracać do Paryża. Gdy matka zaczęła go pytać o powody, odpowiedział:

— Jeśli mamy uciekać, potrzebujemy pieniędzy. Muszę więc pomyśleć o tym, aby je zdobyć.

Mabel uśmiechnęła się, wzięła syna za rękę i podprowadziła go do dużej dzieży. Kiedy podniosła wieko, ujrzał pod kupą gałganów dwie skrzynki napełnione klejnotami i złotem. Krzyknął radośnie i zaczął napełniać kieszenie.

— To się chłopaki ucieszą — powiedział. — Zabieram ze sobą i moich kolegów. Nigdy nie opuścili mnie w potrzebie.

— Masz słuszość. Wystarczy dla wszystkich. Nie widzę teraz żadnej przeszkody do odjazdu, uprzedź przyjaciół, każ im przybyć tutaj i jedziemy.

Buridan odciągnął matkę na stronę.

— Nie wyjadę wcześniej, aż Filip i Gautier odzyskają wolność. Poza tym muszę ci jeszcze coś powiedzieć o ojcu i matce Myrtilli.

— Co się stało z Enguerrandem do Marignym?

— Aresztowany.

— A Małgorzata Burgundzka?

— Aresztowana.

Mabel spojrzała w niebo. Nienawiść jej, jakkolwiek prawie wygasła, błysnęła raz jeszcze dawnym ogniem. Nie okazała jednak nic po sobie i zaczęła jedynie wypytywać Buridana o szczegóły.

Słyszac, że ojciec Myrtilli padł ofiarą nienawiści hrabiego de Valois, Mabel zbladła, lecz przyjęła wiadomość równie spokojnie jak pierwsze wieści ze świata.

Potem Buridan opowiedział matce o tym, jak chciał szukać pomocy u królowej i o tym, co zaszło w wieży Nesle.

— Co za ironia losu! — szepnęła Mabel po wysłuchaniu jego opowiadania. — Przez piętnaście lat obmyślałam plan zemsty. Każdy wydawał mi się chimeryczny i niewykonalny, a tymczasem przypadek dokonał tego, czego nie mogły dokonać siła ani spryt ludzki. Dotknął jej palec boży, tak jak właśnie o tym marzyłam. Tam gdzie sobie zaplanowałam, że musi ponieść karę. A przy tym z czyjej ręki! — Przez kilka minut Mabel milczała pogrążona w rozmyśleniach. Potem zwróciła się do syna ze słowami: — Nie przypuszczam, żebyś upierał się koniecznie przy ocaleniu Marigny'ego.

— Nie moja matko. Uczyniłem, co mi nakazywał mój obowiązek. Sądzę, że żadna siła ludzka nie jest zdolna przeszkodzić królowi w wymierzeniu mu kary. Teraz należy czekać na bieg wypadków.

— A może chciałbyś uratować i królową, choć w sercu jej nie pozostała żadna serdeczna myśl ani uczucie w stosunku do Myrtilli?

Buridan spuścił głowę na piersi i szepnął:

— Jak Myrtilła będzie cierpiała!...

— Nie mów jej nic o tym! — rzekła żywo Mabel. — Podejmuję się zawiadomić ją o śmierci Marigny’ego i Małgorzaty, gdy będzie już po wszystkim. Na razie niech nie wie o niczym. Po pewnym czasie może uda mi się wmówić w nią, że matką jej nie była królowa, lecz jakaś inna kobieta, która zmarła, wydając ją na świat. Cała tragiczna przygoda minie jak sen. O śmierci ojca dowie się kiedyś, a w sercu jej będzie żyło wspomnienie jedynie o Klaudiuszu Lescot, kochającym ojcu, a nie o Enguerrandzie de Marignym, groźnym ministrze.

Po długiej naradzie postanowiono, że kobiety pozostaną w tej samej chatce. Mabel żywiła w głębi duszy nadzieję, iż Myrtilła przeciwstawi się zamiarowi Buridana i nie puści go do Paryża. Dzielna dziewczyna jednak, dowiedziawszy się o aresztowaniu Filipa i Gautiera, wykrzyknęła:-

— Musisz ich uwolnić! To twoi przyjaciele, twoi bracia. Są ci oddani. Musisz przyjść im z pomocą!

Buridan uściśnął serdecznie narzeczoną i spojrzął z triumfem na matkę. Z nadejściem wieczoru pożegnał kobiety i wrócił do miasta jeszcze przed zamknięciem bram.

Ktoś ukryty w zaroślach przyglądał się temu pożegnaniu, a gdy Buridan odjechał, wyszedł z ukrycia. Mężczyzna miał na sobie strój wieśniaka. Twarz jego była posępna. Spojrzął gniewnie w kierunku, dokąd odjechał młodzieniec, potem odwrócił się w stronę wioski, wybuchnął śmiechem i szepnął:

— Teraz wszyscy są moi, wszyscy! Wszyscy!

*

Przyjaciele powitali Buridana entuzjastycznymi okrzykami. Wilhelm omal go nie udusił w swych potężnych ramionach. Gdy się dowiedzieli o tym, że wraca z Montmartre, Bigorne zawołał:

— A co, nie mówiłem? Przed chwilą właśnie wspomniałem o tym! Wilhelm wydzierał sobie włosy z głowy i nie chciał jeść wspaniałego pasztetu. Riquet wzdragał się przed pićciem, a obaj wyli jak dzikie osły: „Już koniec! Nie ujrzymy już więcej Buridana, pochwycono go, zadynda na szubienicy, obedną go żywcem ze skóry, posiekają na kawałki!” Ja na to mówiłem: „A ja wam powiadam, że jest w Montmartre!”

— Co znaczy ta uczta? — zapytał Buridan, spoglądając na stół zastawiony jedzeniem i trunkami. — Widzę, że zdobyliście skądś pieniądze. Oznajmiam wam więc, że od teraz koniec z tułaczką i nędzą! Jesteśmy bogaci! Oto złoto!

Zaczął wysypywać na stół pieniądze.

Bigorne wzruszył ramionami z pogardą, a Wilhelm i Riquet wykrzywili się.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Buridan.

— prychnął Wilhelm Wichura. — Tym mi nie zaimponujesz!

— Te marne kilka groszy! — dodał Riquet.

— Poszaleliście? Czy jesteście pijani? — rzekł zdziwiony Buridan. — Przynoszę im tyle złota, ile jeszcze nigdy nie widzieli, a oni robią miny.

Bigorne zamiast odpowiedzi postawił na stole szkatułkę Gillonny. Potem wysypał jej zawartość na stół. Przyszła kolej na kuferek Malingre’a.

— Co to ma znaczyć? — Buridan zmarszczył brwi.

— To skarb Malingre’a i Gillonny — odpowiedział Bigorne.

— Przyłapaliście tych nędzników? — zdziwił się Buridan. — Zapłacą oni za swoje!

— Już się stało! — oznajmił Bigorne.

— Jak to?

— Ano, posłuchaj.

Tu zaczął opowiadać o przygodach obojga.

Buridan słuchał uważnie.

— Zatrzymajmy ich pod kluczem przez kilka dni jeszcze, potem będzie ich można wypuścić, zaopatrując w kilka dukatów na drogę.

— Wypuścić, to zbędne. Już zwiali...

— Dokąd? — r zapytał Buridan.

— Na tamten świat. Służą teraz innemu panu — samemu szatanowi.

Opowiedział w kilku słowach tragiczne przygody Gillonny i Malingre'a. Później zakomunikował, że zwłoki obojga zostały pogrzebane na pustkowiu, do którego przylegał ogród otaczający Różaną Zagrodę.

— Buridan — nagle zagadnął go Wilhelm z niepokojem w głosie — chyba jednak nie powiesz, że to ich złoto jest, jak pieniądze Stragilda, splamione krwią.

— To spadek! — wykrzyknął Bigorne. — Ta godna para uczyniła nas swymi spadkobiercami. Na świętego Barnabę — to uczciwie zdobyte pieniądze. Proboszcz; kościoła św. Eustachego nie dostanie z nich ani grosza.

Buridan wybuchnął śmiechem.

— Czekajcie, moi drodzy. Przede wszystkim muszę pogadać ze Stragildem. Coś mi się widzi, że może dopomóc nam w ocaleniu naszych nieszczęśliwych przyjaciół.

— I ty masz nadzieję, że on nam pomoże?

— Może nie z własnej woli, ale...

— Słuchamy, słuchamy! — rzekł Bigorne, układając starannie złoto w kasetkach.

— Pomysł mój jest bardzo prosty. Chcę przy pomocy Stragilda dostać się do gubernatora Tempie... do hrabiego de Valois — dodał z westchnieniem.

— Chcesz udać się do Tempie? — zapytał Bigorne.

— Tak albo sprowadzić tutaj hrabiego — odpowiedział zimno Buridan. — Gdy się z nim zobaczę, będę wiedział, jak go przekonać, aby pomógł w ucieczce Filipa i Gautiera. Teraz, kiedy Małgorzata Burgundzka jest zgubiona, można łatwiej zagrozić hrabiemu de Valois.

— Jak na abiturienta wcale niezły pomysł — bąknął Bigorne bez wielkiego przekonania. — Lecz jak zmusić do pomocy Stragilda? Już widzę, że chcesz go pan wysłać jako ambasadora do hrabiego, który darzy go zaufaniem.

— Złoto będzie najbardziej przekonującym argumentem — odparł Buridan, wskazując na obie szkatułki.

Cała trójka zaprotestowała jednogłośnie.

— Uspokójcie się — dodał Buridan — to dopiero połowa mojej myśli...

Nie zwracając uwagi na ich krzyki i na gwar, jaki podnieśli, Buridan zszedł do parterowej sali, wziął klucze od piwnicy, latarkę i udał się do podziemi. Stał pod drzwiami tej części piwnicy, w której był uwięziony Stragildo. Zaczął nadśledzić. Za drzwiami panowała głucha cisza. Dobył sztyletu i otworzył drzwi. Z piersi jego wyrwał się głośny okrzyk.

Piwnica była pusta.

VIII

PIWNICA RÓŻANEJ ZAGRODY

Stragildo był zamknięty tuż obok... przez ścianę z Szymonem Malingre'em i Gillonną. Piwnice małego domku nie były wcale przystosowane do warunków więziennych, nigdy bowiem na więzienie ich nie przeznaczano, Jedyńm otworem, przez który przedostawało się do wnętrza trochę świeżego powietrza, było nie okienko, lecz szpara pod drzwiami. Mury były bardzo grube. Loszek, w którym osadzono więźnia, znajdował się w głębi długiego korytarza, tak że więzień mógł krzyczeć i wzywać pomocy nadaremnie.

Stragildo po ocknięciu się z omdlenia nie uważał za wskazane płakać i rozpaczać. Przeciwnie, zaczął od razu rozmyślać nad sposobami ucieczki. Tu jednak spotkał go zawód, ściany były grube, jedynie murek dzielący jego loszek od tego, w którym siedzieli Malingre i Gillonna, był cienki, a nawet tak zmurszały, że w niektórych miejscach można było przesunąć rękę przez dziury w ścianie. Drzwi mocne, dębowe, okute, a kłódka — olbrzymia. Wydostać się z zaimprovizowanego więzienia było niepodobna. Można było najwyżej przebić sobie drogę do sąsiedniej piwnicy. Lecz i to nie przydałoby się mu na nic, zamieniłby jedynie celę...

Na tych smutnych rozmyślaniach upłynęły dwa długie dni. Na trzeci dzień drzwi sąsiedniej celi otworzyły się. Nadstawił ucha. Zza ściany zaczęły rozlegać się jęki, pogróżki i klątwy.

Chciał najpierw przedostać się do sąsiada, później jednak zmienił swój zamiar i nadśluchiwał z uwagą. Po pewnym czasie usłyszał znowu skrzypnięcie drzwi. Do celi obok wtrącono drugiego więźnia.

Byli to Malingre i Gillonna.

Teraz nie odchodził już od otworów w ścianie. Słyszał, jak Malingre rzucił się na Gillonnę, dusząc ją w napadzie furii. Nie przyszło mu przez myśl przyjąć nieszczęśliwej kobiecie z pomocą. Nie przeszkadzał również wariatowi, gdy ten zaczął kopanie dołu w poszukiwaniu swego skarbu. Przeciwnie, scena ta zainteresowała go bardzo i rozweseliła. Zacierał ręce, mrużąc:

— Kop... Kop... Pracujesz dla mnie... Pewnie szatan przyszedł mi z pomocą i zesłał tu ciebie.

Radość jego wynikała stąd, że zauważył w półmroku panującym w piwnicy, iż szalencie kopie ziemię pod samymi drzwiami swej celi. Pomyślał sobie:

„Pozwólmy mu wszystko przygotować, a potem możliwe, że uda mi się skorzystać z jego szaleństwa. Gdyby mi przeszkadzał...” Bezgłośny śmiech zakończył jego myśli.

Teraz zaczął grzebać w stosie rupieci leżących w jednym z rogów piwnicy. Znalazł wreszcie kawałek żelaza, pochwycił go skwapliwie i rzekł:

— Zawsze to już coś... Ale jakoś nie słyhać mego pomocnika... Czyżby się zmęczył?

Zaczął wyłamywać przepierzenie dzielące jego piwnicę od sąsiedniej. Gdy się nareszcie przedostał do celi Malingre'a, ujrzał go leżącego na ziemi bez życia. Podszedł do wariata i potrząsnął nim gwałtownie.

— Patrzcie! — rzekł obojętnym tonem. — Wyzionął ducha!

Odsunął na bok zwłoki i zaczął przyglądać się dołowi wykopanemu przez biedaka. Otwór był pod samymi drzwiami celi. Stragildo zaczął teraz kopać dalej, a po kilku godzinach usilnej pracy stał już na korytarzu. Odetchnął z ulgą i otarł spocone czoło.

— Jeśli drzwi wyjściowe są zamknięte na klucz, zginąłem — szepnął.

Ruszył po omacku w górę. Wszedł na schody i stanął pod drzwiami. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

— Przekleństwo!

Starannie obejrzał zamek i wkrótce uśmiechnął się z zadowoleniem. Dopomagając sobie znalezionym kawałkiem żelaza, podważył zamek, drzwi otworzyły się.

Był wolny. Pierwszym jego odruchem była chęć natychmiastowej ucieczki. Powściągnął ją jednak, zawrócił, przymknął drzwi i zamyślił się. Teraz zaczął się skradać w stronę parterowej sali. Była pusta. Na jednym z krzeseł leżała szpada i sztylet. Złośliwie uśmiechając się, schował sztylet za pas i szukał dalej.

— Chodźmy wyżej, parter jest nie zamieszkały.

Na schodach usłyszał stłumione echo rozmowy. Wszedł na pierwsze piętro.

— Siedzą na strychu — szepnął zadowolony.

Wdarł się na strych. Na palcach, z niezwykłą ostrożnością, jął skradać się do drzwi. Nagle przystanął, jakby przykuty do miejsca. Usłyszał wyraźnie rozmowę. Widocznie to, co doleciało do jego uszu, uradowało go bardzo, zatarł ręce z zadowolenia i mruknął:

— Nie muszę iść dalej... Trzymam wszystkich w ręku.

Zszedł ostrożnie na dół, wkrótce znalazł się w ogrodzie, a po chwili na drodze. Odwrócił się po raz ostatni w stronę domku, pogroził pięścią i powtórzył:

— Trzymam ich wszystkich w ręku. Wszyscy są moim łupem. — Ruszył szybko naprzód, mrużąc pod nosem: — Montmartre! Niech i tak będzie, chodźmy do Montmartre, tam przyłapię wszystkich na pewno.

IX

STRAGILDO DZIAŁA

Gdy Buridan oddalił się w stronę Paryża, Stragildo wyslizgnął się ze swej kryjówki i pokiwał głową.

— Sprawdźmy najpierw, czy panienka jest w chatce, a potem pomyślimy, co zrobić dalej.

Wspiął się na wzgórze, ukrył się za skałą, skąd mógł obserwować wieś i zbocza góry. Nie upłynął kwadrans, gdy ujrzał dziewczynę siedzącą na kamieniu i spoglądającą w kierunku Paryża. Do Myrtilli podeszła w tej chwili Mabel.

— Czarownica! — warknął gniewnie Stragildo. — Mam więc w swych sieciach wszystkich: Buridana, jego towarzyszy, panienkę i starą. Świetnie się składa.

Tymczasem Mabel mówiła do Myrtilli:

— Chodźmy do domu, moje dziecko. Nie mamy już teraz powodów do żadnych obaw. Buridan mówił przecież...

— Kochana matko — odpowiedziała Myrtillą drżącym głosem — nigdy się jeszcze tak nie bałam jak w tej chwili. Mam wrażenie, że straszne nieszczęście grozi Buridanowi i nam.

— To rozstanie z narzeczonym tak cię usposobiło. Bądź pewna, że czeka cię szczęście... Będiesz szczęśliwa z moim synem... Wierzę w to głęboko.

Objęła Myrtillę wpół i ruszyła wraz z nią do jednej z pobliskich chatek.

Stragildo odprowadził je wzrokiem, a potem zaczął rozmyślać, chcąc ułożyć plan działania. Z góry już cieszył się myślą o zemście na Buridanie i jego towarzyszach. Żałował jedynie tego, że zdradził królową zbyt pośpiesznie. Był pewny, że król udusił ją, zastawszy w wieży Nesle. Nie wiedział, do kogo ma się teraz zwrócić. Do króla? Nie ufał mu. A więc do kogo? W czyim interesie było pochwylenie Buridana i Myrtilli?

Wybuchnął śmiechem. Znalazł wyjście. Teraz już bez namysłu ruszył w stronę Paryża.

Zapadła noc. Gdy stanął pod bramami miejskimi, były już zamknięte. Uśmiechnął się, wyjął z kieszeni jeden z glejtów królewskich, które miał przy sobie, podszedł do łuczника stojącego przy bramie i podał mu go ze słowami:

— Z rozkazu króla!

Brama otworzyła się, a oficer, który wyszedł przed wartownię, poznał posiadacza glejtu królewskiego.

— Dobrze — powiedział — możesz iść.

Stragildo ruszył pędem w stronę Tempie... do hrabiego de Valois. Gdy już był przy samej fortecy, ujrzał na placu około stu jeźdźców w barwach królewskich. Wszyscy byli z pochodniami. Stali milcząco, posepnie, tylko rzenie koni zakłócało od czasu do czasu ciszę.

— Król jest w Tempie! — pomyślał z mimowolnym dreszczem.

Cofnął się w cień i postanowił przeczekać do chwili, aż król się oddali.

Godzina płynęła za godziną, a król nie ukazywał się przed fortecą. Na niebie zajaśniał już świt. Stragildo nie posiadał się z niecierpliwości. W głowie jego zrodziła się szalona myśl zbliżenia się do orszaku królewskiego i zawołania: „Aresztujcie mnie! Róbcie ze mną, co wam się podoba, lecz udajcie się bez chwili zwłoki do Różanej Zagrody i pochwyćcie Buridana, Bigorne’a i innych! Pośpieszcie do Montmartre, a znajdziecie tam czarownicę, która godziła na życie króla”.

Nagle ujrzał Ludwika, wychodzącego z Tempie. Był blady, smutny, zgarbiony. Na twarzy jego rozlał się wyraz posepnej rozpaczki. Stragildo cofnął się w cień i szepnął:

— To moje dzieło!

Króla odprowadzał hrabia de Valois, który mówił coś do synowca po cichli, na co Ludwik odpowiadał kiwaniem głowy. Wreszcie dosiadł konia i odjechał powoli, a za nim ruszyła jego eskorta.

Hrabia de Valois odprowadził wzrokiem odjeżdżającego... Uśmiechnął się.

— Sądzę, że nasz król nie przeżyje tego ciosu — szepnął jeden z oficerów.

Valois zdrzął. Wzrok błysnął mu złowieszczym ogniem. Podniósł dumnie czoło, jak zwycięzca... jak triumfator. Pomyślał: „Wszyscy wrogowie moi zgnębieni... Wszystko dokoła mnie zapadło się w gruzy. Ja tylko dotrwałem do końca, ja triumfuję. Jednego mam tylko wroga, którego nienawidzę z całego serca... Wrogiem tym jest... mój... syn...” Zawrócił do Tempie. Wtedy z mroku wynurzył się Stragildo. Podszedł do hrabiego i szepnął mu na ucho:

— Wiem, gdzie kryją się Buridan... i Myrtilla! Wydam ich panu.

— Stragildo! — wykrzyknął ze zdumieniem Valois. — Panowie — zwrócił się do otaczających go oficerów — to wierny sługa. Proszę nie czynić mi nic złego!

Orszak hrabiego rozstał się i hrabia wraz ze Stragildem ruszyli do wnętrza Tempie. Gdy już zostali zupełnie sami, hrabia zapytał:

— Co masz mi do powiedzenia?

— To tylko, jaśnie wielmożny panie, że Buridan, Bigorne, Wichura i Haudryot są w tej chwili w Różanej Zagrodzie, a Myrtilla we wsi Montmartre, dokąd mogę zaprowadzić pana hrabiego.

Na te słowa Valois zapukał gwałtownie w stół ręką swą szpady. W progu stanął służący.

— Przywołać kapitana moich łuczników — rozkazał gubernator Tempie.

— Co chcesz uczynić, panie? Proszę o wysłuchanie mnie... Znam dobrze tych ludzi, to przebiegłe lisy... Nie należy ich płoszyć.

Przywołany przez służącego kapitan wszedł do gabinetu. Hrabia, nie zwracając uwagi na molestowanie Stragilda, zawołał:

— Weź pan dwudziestu, nie, pięćdziesięciu żołnierzy, ilu zresztą chcesz, udaj się do Różanej Zagrody, pierwszego domku na lewo od fortecy przy drodze Vieille-Barbette i przyprowadź do mnie wszystkich, których znajdziesz w tym domku.

Kapitan wybiegł pośpiesznie z gabinetu. Stragildo wzruszył ramionami i mruknął pod nosem z gniewem:

— Powiniennem był działać sam! Wszyscy królowie, szlachta i możnowładcy nie znają się na zemście. Nawet najlepszy z nich powierza ją swemu kapitanowi, a ten znowu sierżantowi...

W gabinecie zalegała cisza, przerywana jedynie brzękiem ostróg, biegającego nerwowo po pokoju Valois, który po pewnym czasie zatrzymał się przed Stragildem.

— Powiadasz więc, że Myrtilla?...

— Jest w Montmartre. Jeśli jednak postąpi pan z nią tak jak teraz z Buridanem, może wymknąć się panu z rąk na zawsze. Należało mnie słuchać...

Valois rozpoczął znowu swój spacer po pokoju, nasłuchując, czy kapitan nie wraca jeszcze.

Zaległa cisza. Wreszcie w progu stanął kapitan i zaczął zdawać raport:.

— Jaśnie wielmożny panie, wykonałem ściśle rozkaz i otoczyłem Różaną Zagrodę. Przeszukałem ją ad góry do dołu, lecz nie znalazłem ani żywej duszy.

Valois poczuł dziwny niepokój, który ścisnął go za gardło. Chciał odprawić kapitana, ten jednak dodał:

— Znalazłem jedynie...

— Co? — zainteresował się żywo Valois.

— Dwa trupy.

Słowa te zabrzmiały w uszach jak zapowiedź dzwonów pogrzebowych.

Stragildo stał milczący i posepny. Usta jego wykrzywił ironiczny uśmiech.

— Dwa trupy? — wyjąkał hrabia.

— To trupy pańskich ludzi: pani Gillonny i pana Szymona Malingre'a.

Valois westchnął z ulgą. Mało go to obchodziło. Jednak tajemnicza śmierć Gillonny i Malingre'a, zamordowanych niewątpliwie przez Buridana, zdawała się groźbą skierowaną w jego stronę. Odprawił kapitana i zwrócił się do Stragilda:

— Czy jesteś pewny, że buntownicy byli w Różanej Zagrodzie?

— Widzę, że mi pan nie ufa — odpowiedział dozorca lwów z goryczą. — Teraz wszystko mi jest obojętne... Nie cenię życia... Niech się dzieje, co chce.

Hrabia pomyślał, że ten zrozpaczony człowiek nie może być nieszczerzy.

— Jeszcze nie wszystko stracone! — zawołał. — Istotnie, należało usłuchać ciebie. Może jednak...

— Tak, jaśnie wielmożny panie, może jednak! Może jednak się uda, jeśli zaufasz mi i jeśli nie będziesz powierzać nikomu tego, co musisz uczynić sam.

— Dobrze. Mów, co mam robić!

— Przede wszystkim należy zamknąć na cały dzień bramy miejskie. Potem porozlepiać obwieszczenia przy wszystkich bramach, że najbliższej nocy każdy będzie mógł swobodnie wchodzić i wychodzić z miasta. Partie hrabio, nie wahaj się, nie namyślaj! Już świta, bramy miejskie zostaną otwarte i może być za późno.

— Kapitanie! — wrzasnął Valois. Kapitan znowu stanął w gabinecie. — Roześlij konnych do każdej z bram miejskich. Każ pozamykać je na cały dzień. Nikomu nie wolno opuścić Paryża.

— Nikomu — dodał Stragildo — nawet królowi!

Kapitan spojrzał na gubernatora ze zdziwieniem.

— Czyj to jest rozkaz? — zapytał. — Królewski?

— Mój! — rzucił dumnie Valois. — Kapitanie, udaj się na miesiąc do aresztu za to, że ośmieliłeś się zadawać mi pytania. A teraz jeszcze coś: niech herold stanie przy

każdej bramie i niech co godzina obwieszcza, że bramy w dzień są zamknięte, w nocy natomiast staną przed wszystkimi otworem. Możesz odejść. Jest to rozkaz Karola de Valois.

Kapitan oddalił się, zezując gniewnie w stronę Stragilda.

— A teraz wytłumacz mi — zapytał hrabia — jaki masz plan.

— Bardzo prosty. Buridan i jego towarzysze, ukryci w pobliżu Różanej Zagrody, widzieli na pewno przysłane przez pana wojsko. Buridan zechce niewątpliwie udać się do Myrtili, a ponieważ bramy miejskie są zamknięte, nie będzie mógł tego uczynić. Wyczeka chwili, kiedy staną otworem, to znaczy w nocy...

— Wspaniały plan! — zawołał Valois, spoglądając z radością na Stragilda.

— To jeszcze nie koniec. Przeczekamy dzień, o zmroku opuścimy miasto, udamy się do Montmartre, porwiemy Myrtilę i w chatce, w której mieszka, doczekamy się przybycia Buridana.

— Wspaniale! — powtórzył Valois.

— Może mój plan jest dobry, lecz jednocześnie drogi.

— Ile?

— Tysiąc dukatów to chyba nie jest za dużo?

— Tysiąc dukatów! — wykrzyknął hrabia, podrywając się z miejsca. Uspokoił się jednak natychmiast i rzekł: — Nie, to nie za dużo, jutro każę wypłacić ci tę sumę.

— Dziękuję. A teraz jeszcze jedna uwaga. Jeśli udamy się do Montmartre na czele oddziału żołnierzy, wyprawa będzie nieudana. Wystarczy, abyś był ty, panie, ja i jeszcze dwóch na wszystko zdecydowanych ludzi.

Valois skinął głową na znak zgody. Przez cały dzień płonął z niecierpliwości.

Nadszedł wreszcie wieczór. Zakaz otwierania bram miał już być cofnięty, gdy mały oddziałek jeźdźców stanął przy Bramie Malarzy. Byli to: Valois, Stragildo i jeszcze dwaj mężczyźni. Hrabia kazał otworzyć sobie bramę i rzucił rozkaz:

— Za godzinę, nie wcześniej, otworzyć bramę dla wszystkich.

U podnóża góry Montmartre zsiadli z koni i przywiązali je do drzew. Stragildo podniósł rękę i wskazał hrabiemu na nikle światło migocące w dali u szczytu góry.

— Myrtila! — rzekł półgłosem.

— Naprzód! — zawołał Valois radosnym głosem.

Zaczęto wspinać się na szczyt góry.

X

CELE WIĘZIENNE TEMPLE

Po nieudanym zamachu Lancelota Bigorne'a, mającym na celu porwanie nieszczęśliwego Filipa z Tempie, Gautier, jak już wiemy, został otoczony przez strażników i żołnierzy i wzięty do niewoli. Wtrącono go do ciemnej i wilgotnej celi.

Gdy ocknął się z omdlenia, zaczął obmacywać członki, po czym stwierdził, że kości nie są pogruchotane i że nie otrzymał żadnej rany prócz kontuzji głowy.

— Żyję jeszcze — szepnął do siebie — kto wie jednak, czy nie lepiej by było, gdybym zginął?

Przez całą godzinę rozważał rodzaje śmierci, jakie mu teraz groziły jako zbrodniarzowi politycznemu. W końcu jednak uczucie głodu wzięło górę nad wszystkim. Oblizał się na myśl o smakołykach, jakie w tej chwili mógłby spożywać na wolności. Nagle wzdrygnął się i zerwał na równe nogi. Wydało mu się, że w głębi celi rozległ się jakiś głuchy jęk i westchnienie.

— Hola, czy jest jeszcze jeden potępieniec w tym piekle?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, jedynie świszczący oddech jakiejś niewidzialnej istoty.

— Człowieku, czy też zwierzę, odpowiedz mi na moje pytanie! — zawołał znowu, ogarnięty zabobonnym strachem.

I znowu rozległo się coś. Ni to sapanie, ni to charczący oddech cierpiącego człowieka.

Gautier przeżegnał się ze słowami:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, mów, kim jesteś, nakazuję ci mówić albo odejść! Nie odchodzisz? W takim razie zapoznasz się z moją pięścią. Powiedz szczerze, czy jesteś człowiekiem z krwi i kości!

Zamilkł na chwilę i słuchał. I znowu tajemniczy oddech rozległ się w rogu celi.

Mrok zaczął powoli rozpraszać się. Do celi jęło zaglądać światło dnia. Teraz Gautier mógłby już przyjrzeć się tajemniczej istocie, ogarnięty jednak strachem, zamknął oczy i nie miał odwagi ich otworzyć. Powtarzał jedynie coraz to zapamiętałej modlitwy, wezwania do Ojca, Syna i Ducha Świętego i nie przestawał żegnać się. Wreszcie mruknął:

— Pokażę szatanowi, że nie boję się... Nawet piekła!...

Otworzył oczy... spojrzał i zobaczył...

Straszliwy krzyk wydarł się z jego piersi. W rogu celi leżał na ziemi wychudły młodzieniec z boleśnie wykrzywionymi ustami. Jego oczy, błędne i zapadnięte, były całą otchłanią cierpienia. Ubranie miał poszarpane na strzępy. Twarz okryta była zablizniającymi się ranami. Owym nędznym łachmanem w ludzkiej postaci był piękny ongiś Filip d'Aulnay.

— Filipie! — krzyknął Gautier, poznając brata.

Filip otworzył usta, lecz jedynie głuchy jęk wypłynął z jego piersi.

— Filipie! — powtórzył Gautier, dławiąc się przerażeniem.

Filip spuścił głowę na piersi i przykucnął w rogu celi. Jednym susem Gautier znalazł się przy nim, poddźwignął go z ziemi, porwał w objęcia i szlochając zaczął wołać:

— Co ci się przytrafiło? Co oni ci zrobili? Czy to na pewno ty? Mów! Powiedz jedno słowo, bodaj jedno słowo.

Znowu wargi Filipa rozchyliły się i Gautier ujrzał jego biedne usta, które były jakąś czarną jamą... Z jamy tej płynęły jedynie urywane dźwięki... niesamowity bełkot.

— Wielki Boże! Wyrwali mu język!

W celi rozległo się teraz szlochanie, potem przekleństwa, później znowu płacz... Powoli zaczął się uspokajać. Już z zimniejszą krwią przyglądał się bratu, mówiąc do siebie:

— Mój biedny Filipie! I pomyśleć, że byłem na ciebie zły. Przebacz, och, przebacz mi! Biedny bracie! Pokochałeś tego potwora... Dręczono cię bardzo, prawda? No, ale teraz jesteśmy razem. Możemy umrzeć razem, osłodzi nam to zgon. Czy cieszysz się chociaż trochę na widok twego brata? Nie możesz mówić, daj mi przynajmniej znak jakiś, pozwól wyczytać mi z twoich oczu, co myślisz! Przemów do mnie wzrokiem... zrozumie cię.

Filip nie odpowiedział na jego słowa ani mrugnięciem powiek. Był obojętny, nieruchomy jak rzecz, nie jak człowiek. Gautier ułożył brata tak, by światło padało mu prosto na twarz. Zaczął wpatrywać się w niego. Patrzył uważnie... całą duszą... potem nagle zerwał się z głuchym okrzykiem... Zrozumiał! Z młodości, urody i siły Filipa d'Aulnaya nie pozostało nic... Było to jedynie ciało bez duszy... Filip postradał zmysły!

Upłynęły długie godziny straszliwego sam na sam z obłąkanym bratem. Filip nie ruszył się ze swego kąta. Wzrok jego był ciągle martwy. Czasem tylko spoglądał w

kierunku drzwi, a wtedy twarz jego rozjaśniała się na chwilę. Zdawało się, że widzi jakąś cudną wizję. Potem znowu zapadał w nicość.

Gautier starał się zmusić brata do zjedzenia chociaż kawałka czarnego chleba. Przez chwilę Filip był posłuszny i jadł, potem nagle poniechał jedzenia. Na widok podawanego sobie chleba potrząsał jedynie przecząco głową.

Gniew Gautiera zastąpiła rozpacz. Płakał nad losem brata. Gdy dozorca otwierał okienko, aby podać im chleb, zaczynał go błagać o litość dla brata. Dozorca jednak był niewzruszony i oddalał się bez słowa.

Czas mijał... Gautier nie wiedział, jak długo jest w celi... Ile upłynęło godzin... dni... czy też tygodni.

Pewnego dnia Filip nie podniósł się z ziemi. Gautier klęczał przy bracie, podtrzymując opadającą mu bezwładnie głowę... Był świadkiem powolnej śmierci, która przyszła wyzwolić nieszczęśliwego młodzieńca. Chwilami doznawał wrażenia, że sam postrada zmysły.

I znowu z ust Gautiera popłynął potok żalonych skarg i utyskiwań na życie, zły los i jeszcze gorszych ludzi. Podtrzymując głowę Filipa; mówił jękliwie:

— Biedaku, mój drogi biedaku! I pomyśleć, że to ja, twój niedobry, twój wyrodny brat, żywiłem do ciebie śmiertelną urazę... życzyłem ci w duszy śmierci. Jakże drogo muszę teraz okupić te zbrodnicze myśli! A to wszystko przez tę ladacznicę, która ukradła mi twoje serce! Ona stała się przyczyną naszej zguby! Ona! Ten potwór w ludzkim ciele! Teraz umierasz jak nędzarz, a to dlatego, że twoje szlachetne serce, wbrew najoczywistszym dowodom jej podłości, chce bronić przegranej sprawy! Los dziwnie jest dla nas srogi, mój bracie! Widać przekleństwo jakieś zawisło nad nami! Zagłada jest nam sądzona... I za co? Najpierw ojciec i matka... Potem ruina... Potem zatarg z niecnym Marignym... Banicja... Jak psy ścigane, u włóczęgów i złodziei tylko znaleźliśmy przytułek, bo tchórzliwe społeczeństwo, drżąc przed silnym, a gardząc słabym i bezbronny, odmówiło nam swej opieki. I oto teraz finał... Ty, mądry, dobry i szlachetny, umierasz jak nędzarz w zimnej, więziennej celi, a mnie, ostatniego z rodu, czeka również nie lepszy los!

W lochu więziennym rozległo się głośnie łkanie złamanego bólem Gautiera.

Usta Filipa drgnęły, jakby chciał wyszeptać jakieś bolesne słowa pożegnania, czy też błagalnej prośby. Nie mógł jednak wymówić nic.

Nagle drzwi celi skrzypnęły. Gautier nie słyszał tego. Wkrótce drzwi otworzyły się i ostre światło zalało celę. Gautier nie zwrócił na to uwagi. Kilku mężczyzn weszło do środka i stanęło przy drzwiach ze sztyletami w ręku. Jeden tylko spośród nich zbliżył się do Gautiera i dotknął ręką jego ramienia.

Wtedy dopiero młodzieniec podniósł głowę, spojrzął w stronę przybyłego i poznał w nim króla.

— Mości królu — rzekł — patrz, coś zrobił z moim bratem.

Ludwik X rzucił na umierającego obojętne spojrzenie i odpowiedział:

— Patrz, co on zrobił ze mną.

Gautier przyjrzał się królowi uważniej i serce jego wezbrało litością. Młody monarcha postarzał się nagle o wiele lat. Włosy posiwiały mu w ciągu nocy. Był prawie równie blady jak Filip, a we wzroku jego Gautier wyczytał wyraz takiego bólu jak w oczach brata. Milczał... W celi było słychać tylko charkot umierającego... ofiary nieszczęśliwej miłości.

Ludwik X wpadł w zadumę. Zadawał sobie pytanie, po co właściwie tu przyszedł. Przecież teraz wie już, kim jest ta, która go zdradziła. Czarownica wyraźnie mu powiedziała: „Szukaj jej w swoim otoczeniu!” Teraz już wiedział, że zdrajczynią była ta, którą uwielbiał: Małgorzata Burgundzka. Wiedział, że zdrada była cudzołóstwem. Po cóż więc przyszedł tutaj? Czy po to, żeby się nasycić cierpieniem Filipa? Czy po to,

aby go zelżyć? Spoliczkować? Wyznaczyć mu straszliwą karę? Nie! Czego więc chciał? Szukał tego, czego szukają i czego się czepiają wszyscy nieszczęśliwi w miłości, iskierki nadziei! Jeszcze chciał wierzyć, że prawda jest fałszem, że Małgorzata była mu wierna! Po to przyszedł do celi Filipa d'Aulnaya.

Biedny Ludwik Zabijaka, który teraz już nie był wcale zabijaką, pochylił się nad umierającym Filipem.

— *Sire* — szepnął Gautier — mój brat umiera...

— A ja? Ja również noszę śmierć w duszy. On umiera w Tempie, a ja umrę w starym pałacu, stojącym na brzegu Sekwany... Ja umrę w moim Luwrze. To jest jedyna między nami różnica, Daj spokój, Gautierze d'Aulnay, muszę wszystko wiedzieć! — Król mówił tak złamanym głosem, że Gautier cofnął się w milczeniu. Ludwik pochylił się nad umierającym i przemówił do niego: — Ponieważ staniesz za chwilę przed Bogiem, sędzią twoim i moim, zaklinam cię, abys wyznał mi całą prawdę. W obliczu śmierci nie zechcesz skazywać swej duszy na potępienie i kalać ust kłamstwem. Wiem, że nie możesz odpowiedzieć mi słowami, daj więc znak, abym zrozumiał twą odpowiedź.

Filip otworzył oczy i ich spojrzenia spotkały się. Zadrżał... może poznał w pochylonym nad sobą mężczyźnie męża Małgorzaty, wzrok jego bowiem błysnął świadomością.

— Czy poznajesz mnie? — zapytał Ludwik drżącym głosem. — Czy poznajesz we mnie twego króla?

Filip kiwnął potakująco głową.

Pierś króla podniosła się westchnieniem. Stłumionym głosem pytał dalej:

— Czy chcesz opowiedzieć mi całą prawdę w obliczu Boga, który cię słucha w tej chwili i przed którym wkrótce staniesz?

Umierający znowu kiwnął głową na znak zgody. Wyraz jego twarzy był tak poważny i uroczysty, że niepodobna było wątpić w jego szczerść.

Serce Ludwika zabiło żywiej z radości.

— Posłuchaj więc! Wiesz o czym i o kim chcę mówić?

Wzrok Filipa błysnął życiem.

Nagle za plecami króla rozległ się głuchy głos, tchnący nieprzejednaną nienawiścią:

— O Małgorzacie Burgundzkiej! Ladacznicy z wieży Nesle!

Król odwrócił się w stronę Gautiera, z którego ust padły te słowa i wykrzyknął:

— Łiesz! Łiesz! Małżonka króla Francji nie może być taka, jak ją nazywasz!

— Posłuchaj, *sire*! — warknął gniewnie Gautier, zaciskając pięści. — Mam prawo mówić to, co powiedziałem, widziałem bowiem, słyszałem, byłem w Krwawej Wieży! Byłem w sali orgii! Byłem tam wraz z Filipem, nieprawdaż, bracie?

Zwrócił się w stronę umierającego i osłupiał ze zdumienia. Filip stanął na równe nogi i ruszył w jego stronę.

— Mów! Mów! — warknął ze wściekłością Ludwik. — Nawet gdybym miał paść trupem, chcę, rozkazuję, abys mówił, muszę wiedzieć, co widziałeś i słyszałeś w wieży Nesle!

Wtem Filip stanął przy bracie, otoczył ramieniem jego szyję i martwiejącą dłonią zasłonił mu usta. Gautier zrozumiał... Ostatnią myślą umierającego Filipa, ostatnim jego pragnieniem, ostatnią chęcią była chęć ocalenia królowej. Gwałtownie odtrącił rękę umierającego i wykrzyknął:

— Ach! A więc za mało ci jeszcze ofiar! Nie dość ci, że my wszyscy staliśmy się ofiarami ladacznicy, Małgorzaty Burgundzkiej!? Ale ja dłużej nie będę milczał! Cierpliwości mojej przyszedł kres. Musi ponieść karę, musi cierpieć tak, jak cierpiałem ja, jak ty cierpisz. Królu, posłuchaj...

I znowu ręka umierającego zasłoniła mu usta. Wzrok Filipa zwrócił się z błagalną prośbą na Gautiera. Gautier jednak znowu odtrącił rękę brata. Filip padł na kolana ze strasznym charkotem agonii.

— Słuchaj, królu — mówił oszalały z gniewu Gautier — pewnego wieczoru ściągnęła nas do wieży Nesle! Małgorzata, królowa Francji, ściągnęła nas do tego krwawego przybytku, dokąd sprowadzała sobie już niejednego kochanka.

Ludwik X oparł się plecami o ścianę celi. Spuścił głowę na piersi. U stóp jego coś się poruszyło, coś uczepiło się jego kolan, nie zwrócił jednak na to uwagi, słuchał straszliwego oskarżenia Gautiera.

— Owego wieczoru, mości królu, nie było orgii, bo mój brat nie chciał jej! Kochał twoją Małgorzatę — dodał Gautier ze straszliwym śmiechem — a gdy przekonał się, że owa idealna istota jest zwykłą ladacznicą, zaczął schnąć z rozpacz... umierać powolną śmiercią. Spójrz na niego, królu!

Ludwik nie spojrzał jednak w stronę Filipa. Otrząsnął się jedynie nerwowo, starając się uwolnić od czegoś, co czepiało się jego kolan. Był to Filip, który przyczołgał się do nóg króla i w ostatniej jeszcze chwili przed zgonem chciał przekonać Ludwika... chciał wmówić w niego, że Małgorzata jest niewinna.

— Przypomnij sobie, Filipie! — krzyknął Gautier — przypomnij sobie, że zostaliśmy zaszyci w jednym worku. Tak, królu, twoja Małgorzata kazała nas w tym worze rzucić ze szczytu wieży do Sekwany.

Dreszcz grozy wstrząsnął królem. Spojrzał na Filipa, pytając go spojrzeniem, czy Gautier mówi prawdę. Ręka Filipa zaciśnięta w pięść zwróciła się w stronę brata. Potem nagle umierający obsunął się na ziemię i wyzionął ducha. Król pochylił się nad zwłokami Filipa, dotknął; ręką jego czoła, potem podniósł się ze słowami:

— Nie żyje.

Z piersi Gautiera wyrwał się straszliwy śmiech i słowa:

— Jeden więcej, jeden mniej — co za różnica! Gdybyś chciał policzyć wszystkie trupy, rozsiane na drodze życia Małgorzaty Burgundzkiej, oszalałbyś! Zapytaj Sekwanę, niech ci powie, ilu nieszczęśliwych kochanków spoczywa na jej dnie! Mój biedny brat nie żyje! — wykrzyknął nagle ze szlochem. Dzisiaj on, jutro ja! Zabij mnie, królu, zabij! To ja byłem tym, kim Filip nie chciał być! Ja byłem kochankiem ladacznicy z wieży Nesle!

Król słysząc te słowa, zaczął cofać się ku drzwiom chwiejnymi krokami. Jeszcze po wyjściu z mrocznej celi więziennej słyszał biegnące za nim dzikie okrzyki oszalałego z rozpacz i gniewu Gautiera.

XI

WIEŻA LUWRU

Gdy Ludwik X wszedł na pokoje swego stryja, księcia de Valois, ten na widok zmienionych rysów twarzy synowca osłupiał z przerażenia. Wkrótce jednak litość ustąpiła miejsca dzikiej radości. Valois pomyślał: „Nie podźwignie się już po tym ciosie”. Podszedł do Ludwika, który obsunął się bezwładnie na fotel.

— *Sire* — szepnął — widziałeś się z więźniami? Odwagi!

— Daj mi spokój — odparł król pozornie obojętnym tonem. — Żadna siła ludzka nie jest zdolna dopomóc mi w tej chwili. Daj mi spokój! Słuchaj, jeden z nich nie żyje... Długo będę miał tę chwilę przed oczami... Jeśli w ogóle będę w stanie żyć długo!

— Nie żyje? — wybełkotał Valois.

— Tak. Każ go pochować jak na dobrego chrześcijanina przystało. Niech spocznie w poświęconej ziemi.

— Dobrze, *sire*. Wydam odpowiednie zarządzenie. Dziwię się jednak...

— Milcz. Nie zrozumiesz, ale ja... zrozumiałem.

— A drugi? Co mam uczynić z drugim?

— Z drugim?

Ludwik zgrzytnął zębami. Przypomniał sobie ostatnie słowa Gautiera.

— Co mam uczynić z drugim? — powtórzył Valois z gorzką ironią. — Pewnie mam wypuścić go na wolność.

— Niech zostanie w więzieniu aż do końca procesu. Musi być wydany na męki, słyszysz? Milcz tylko, bo nic nie rozumiesz i odejdziesz...

— Jestem posłuszny, *sire*, lecz pomimo całej boleści, jaka szarpie twe serce, nie powinienes zapominać, królu, o interesach państwa. Poproszę jedynie o podpis na papierach, które ci pozostawiam... A może lepiej podpisać od razu... Oto pióro i atrament. Podpisz, królu!

— Cóż to są za papiery?

— *Sire*, nie powinienes zapominać, że mamy w podziemiach Temple zdrajcę, buntownika, człowieka, który roztrwonil dobro publiczne, fałszerza. *Sire*, to człowiek, który godził na twoje życie...

— Szkoda, że bezskutecznie! — szepnął król. — Umarłbym, nie wiedząc o niczym...

— Przyniosłem akt oskarżenia i protokoły posiedzeń sądowych. Sprawa musi zakończyć się szybko. Powinniśmy dać przykład...

— Marigny? — wyjąkał Ludwik, przesuwając woskowo bladą dłonią po czole. — To prawda. Daj pióro!

Valois śledził bacznie ruch ręki króla, a gdy podpis był już złożony, porwał gwałtownie papiery i szybko wyszedł z pokoju.

Ludwik pozostał sam. Długo siedział bez ruchu, bez myśli, chwilami tylko ciężka łza wypływała mu spod powieki i toczyła się powoli po policzku.

O świcie ocknął się z zadumy i pożegnawszy Valois, udał się do Luwru. Zamknął się w swoim pokoju, padł w ubraniu na łóżko i usnął.

Zbudził się dopiero wieczorem. Przywołał kapitana straży pałacowej, Trencavela, i rzekł do niego:

— Pójdziemy do wieży Luwru.

W wieży tej została umieszczona Małgorzata Burgundzka. Na jej więzienie przeznaczono drugie piętro. Apartamenty więzienne królowej były skromne — dwa małe pokoiki. W pobliżu czuwała straż złożona z ośmiu żołnierzy, których zmieniano co dwie godziny. Przy Małgorzacie zostawiono jedynie jej faworytę — Juanę. Spała ona w tym samym pokoju co królowa. Pokój był starannie umeblowany, posiadał szerokie okno, grube żelazne kraty wykluczały jednak wszelką możliwość ucieczki. Z okna roztaczał się widok na rzekę i na... wieżę Nesle.

Małgorzata od chwili uwięzienia spędzała cały czas w fotelu, blada i półmartwa. Gdy Juana podchodziła do niej, dotykając jej ręki, aby się upewnić, czy jeszcze żyje, Małgorzata wzdrygała się gwałtownie, odtrącając dziewczynę i szeptała gniewnie:

— Dajcie mi umrzeć w spokoju!

Czasem znowu zaczynała biegać po swym więzieniu, potrząsając rozrzuconymi na ramionach włosami, łamała ręce i wołała:

— Nie chcę umierać. Nie chcę, aby mnie zabijano. Chcę jeszcze kochać, ciągle kochać!

Kazała zasłonić okno grubymi firankami, aby nic nie widzieć i nic nie słyszeć. Gdy pewnego razu Juana podeszła do okna i dotknęła zasłony, Małgorzata rzuciła się na nią, odepchnęła gwałtownie i krzyknęła:

— Jeśli raz jeszcze dotkniesz zasłony, zamorduję cię...

Wzrok jej błyszczał jakimś posepnym ogniem. Poprzez gęsty materiał firanki zdawała się widzieć czarne kontury przekłętej wieży, pełnej wspomnień orgii i zbrodni,

W dniu, kiedy król wrócił z Tempie, Małgorzata Burgundzka, zdawało się, uspokoiła się trochę. Półożąc na kanapie, rozmawiała z Juaną względnie spokojnym tonem.

— Jak sądzisz, czy długo jeszcze będą mnie trzymać w tym więzieniu?

— Nie przypuszczam! To byłoby niemożliwe! Jesteś pani przecież królową.

— To prawda, jestem królową, lecz jestem również wiarołomną żoną... kobietą występłą — dodała, wzruszając ramionami. — Głupcy, myślałby kto, że instynkt i namiętność rządzące nami są zbrodnią... Jak gdyby miłość była grzechem, za który należy ponieść karę. Czy dlatego, że Filipowi Pięknemu spodobało się ożenić swego syna ze mną, czy dlatego miałabym się wyrzec wszystkiego tego, co było dla mnie życiem? Czy nie kochałam go również? Czy nie darzyłam go swymi pocałunkami? Czy nie kochałam go na tyle, żeby nie okazać mu rodzącego się chwilami w moim sercu wstrętu?! Nie była to hipokryzja z mojej strony... Była to litość. Musi mi być za to wdzięczny, a nie więzić mnie jak zbrodniarkę! — Rozumowała jak lwica, nie jak kobieta. — Jak sądzisz, co zamierza ze mną uczynić? Czy ośmieli się wytoczyć mi proces i skazać mnie?

— To niemożliwe — odpowiedziała zupełnie szczerze Juana, dla której królowa była istotą wyjątkową. — Sądzę, że król da pani godną eskortę i odeśle do Burgundii.

— Tak — szepnęła Małgorzata — na pewno zechce rozwieść się ze mną. Rozwód byłby jeszcze najlepszym wyjściem z tej sytuacji. Och, oddałabym chętnie pięć lat mego życia, żeby wiedzieć, co król myśli.

Nagle w sąsiednim pokoju rozległ się szcęk broni, odgłos kroków i okrzyk straży:

— Król idzie!

Drzwi więzienia Małgorzaty otworzyły się, w progu stanął Ludwik X. Królowa zerwała się z miejsca, starając się nadać twarzy wyraz udręczonej niewinności. Ludwik odprawił ruchem ręki Juanę. Zamknął za nią drzwi i zbliżając się do Małgorzaty, rzekł:

— Oto jestem... Małgorzato, spójrz na mnie...

Wzdrygnęła się... Słodycz, z jaką ten złamany bólem człowiek przemawiał do niej, sprawcy jego nieszczęścia, wstrząsnęła nią do głębi. Czy był to ten sam gwałtowny w swych odruchach Ludwik Zabijaka?! Powoli podniosła głowę i spojrzała na męża. Zapomniała, że jemu przystoi czynić nad nią sąd i skazać ją za popełnione winy. Czuła tylko, że serce jej wzbiera uczuciem dumy i współczucia. Nigdy jeszcze nie widziała twarzy tak pełnej bólu, wyrażającej tak głęboki smutek i rozbitcie duchowe. Z głębi serca szepnęła:

— Jak on mnie kochał!

Ludwik pokiwał łagodnie głową:

— Zmieniłem się? Nieprawdaż? — rzekł z bezgranicznie smutnym uśmiechem.

Milczała. Przyglądała mu się ze zdumieniem. Patrzyła jak na kogoś, o którym istnieniu nawet nie wiedziała... W sercu jej zrodziło się nagle nowe, na razie nie dające się wytłumaczyć uczucie. Szepnęła do siebie:

— Jakżebym go kochała... gdyby...

Zadrzała, a potem sformułowała zrodzoną w głębi swej jaźni myśl: „Boże! Miałabym go teraz dopiero pokochać!? Teraz?” Przerażona tą myślą wzruszyła

ramionami, opierając się całą mocą temu uczuciu, które w jej sytuacji zakrawało na złośliwą ironię losu.

Ona i... miłość do męża! Miłość do tego człowieka, którego imię zbecześciła, którego miłość podeptała, którego zabiła swym postępowaniem! Widziała bowiem na twarzy Ludwika stygmat śmierci! Widziała, że człowiek ten umiera nie ze wstydu, nie z gniewu, lecz z żalu, z miłości! Ścisnęło ją coś za gardło. Wbiła oczy w twarz króla, pełna niepokoju i... miłości. Pełna lęku przed tą miłością!

Ludwik powoli podszedł do stołu, na którym postawił flaszczykę napełnioną jakimś przezroczystym, bezbarwnym płynem. Potem zbliżył się do okna i odsunął firanki. Promienie zachodzącego słońca zalały pokój. Małgorzata odwróciła się gwałtownie plecami do okna. Była odurzona, nieprzytomna. Wyciągnęła ramiona, jakby chcąc odsunąć widmo.

— Wieża Nesle!

Głębokie westchnienie podniosło pierś Ludwika Zabijaki. Małgorzata padła na kolana, ukryła twarz w dłoniach i szepnęła:

— Zasłoń firanki, *sire*, błagam cię. Czy nie widzisz, jak cierpię!

Ludwik pokiwał powoli głową i rzekł:

— Przyznałaś się! Słowa te są dla mnie wyznaniem. Wieża Nesle jest niezbitym dowodem mego nieszczęścia. Cierpisz! Ja już nie cierpię, przebrała się miarka mego cierpienia... Wieża Nesle!... To Gautier i Filip d'Aulnay zaszyli w worek i strąceni z platformy wieży do Sekwany.

Zaszlochała i jeszcze bardziej pochyliła się, jakby przytłoczona jego słowami do ziemi.

— Filip nie żyje — mówił dalej król.

Krzyknęła przeraźliwie. Ludwik mówił dalej, jakby nie słysząc jej krzyku:

— Gautier umrze również. Byli w wieży Nesle, śmierć ich dotknęła, jak wszystkich tych, którzy przeszli przez jej przekłety próg. Patrz, Małgorzato, patrz, tak trzeba! Ja patrzę również!

Przerażona, sterroryzowana, usłuchała go, powstała z ziemi i zwróciła wzrok w kierunku wieży.

— Co widzisz tam? Mów! Jeśli ty nic nie powiesz, ja będę mówił za ciebie!

— Łaski! — jęknęła Małgorzata. — Łaski, Ludwiku!

— Czy widzisz wszystkich tych, których tam znęcałaś? Ilu ich było? Kto zdoła ich policzyć? Kto zdoła policzyć pocałunki, którymi twoje usta zatruwały serca kochanków na jedną noc? Oto Sekwana. Trzeba posłuchać, co ona mówi... wysłuchać wszystkich jej skarg. Widziałem, Małgorzato, widziałem ciebie na obrazie... tam... Och, co ja wycierpiałem... Ile wylałem łez!

Jęk wykrzywił usta Małgorzaty. Wszystko to było straszne. Teraz dopiero zrozumiała, jak niewybaczalną popełniła pomyłkę. Całe zmarnowane życie przesunęło się w jednej chwili przed jej oczami.

Ludwik, jakby powodując się litością, zasunął zasłony. Straszliwa wizja wieży Nesle zniknęła.

— Już koniec. Życie nasze jest skończone. Małgorzato, gdy pomyślę o naszym zmarnowanym życiu, zaczynam odczuwać gniew nie na ciebie, lecz na siebie samego, że nie umiałem odgadnąć wcześniej, jaką jesteś kobietą. Przypomnij sobie; od pierwszej chwili naszego poznania zacząłem cię uwielbiać. Przygotowania do naszego ślubu wydawały mi się zbyt długie, nie mogłem się doczekać ich końca. Cały Paryż rozbrzmiewał moim śmiechem i okrzykami radości. Wtedy to lud nadał mi nazwę Zabijaka, tak byłem gwałtowny w swej radości. Musieliby właściwie przezwać mnie Ludwikiem Zakochanym. Całe moje życie zawarło się w mojej do ciebie miłości,

Małgorzato. A teraz... wszystko umarło... Wszystko rozpadło się w gruzy... wszystko skończone!

Zamilkł.

Małgorzata słuchała oto opowieści o szczęściu, które minęło bezpowrotnie. Gdyby kochała Ludwika! Och!

Nieszczęsna! Zrozumiała w tej chwili, ujrzała jak na dłoni że... kocha go naprawdę. Czuła, że zaczyna go uwielbiać za jego wielką do niej miłość. Kochała go... nie miała już żadnych wątpliwości. Nareszcie przyszła wielka, prawdziwa miłość! Wszystko inne było kłamstwem, tylko jej miłość była wielką i najboleśniejszą prawdą. Kochała go i nie mogła mu tego powiedzieć, właśnie dlatego, że pokochała naprawdę. Gdyby przynajmniej mogła coś udać, odegrać jakąś komedię, może zdobyłaby jego zaufanie... Lecz teraz nie mogła kłamać, mogła z nim być tylko szczerą, nic więcej... Nie była zdolna do grania komedii miłości, bo kochała naprawdę.

Ludwik X znowu podszedł do stołu, na którym postawił flaszeczkę. Wziął ją i zaczął się jej przyglądać. Nagle Małgorzata drżąca, z rozwianym włosom, wspaniała w swej rozpacz, zbliżyła się do niego, padła na kolana, podniosła na męża oczy pełne tragizmu i miłości i wyszeptowała:

— Ludwiku! Kocham cię!

Zadrzał z przerażenia. Kłamstwo w takiej chwili było ohydą.

A jednak Małgorzata nie kłamała. Z ust jej jęły padać gorące, błagalne słowa. Śmiała się, płakała, szeptała, krzyczała... I oto teraz, kiedy była szczerą, nie wierzył jej! Prawdę wziął za niecną obłudę!

— Ludwiku, kocham cię! Od kiedy? Nie wiem sama! Chyba od zawsze! Słuchaj! Na turniejach, kiedy wyjeżdżałeś na swym rumaku z lancą w rękę — byłem wściekła albo zdawało mi się, że nią jestem... Coś jednak szeptało mi jednocześnie na ucho, że cię kocham. Słuchaj! Wyznam ci wszystko! Tak! Byłam zbrodniarką! Mordowałam! Dokoła mnie i we mnie tyle jest widm. Och! Nieszczęsna! Ludwiku! Kocham cię! Zabij mnie! Wydaj mnie na tortury jak występłą kobietę, pozwól mi jednak wykrzyknąć to, że cię kocham! Och! Po raz pierwszy wymawiam je ustami i sercem. Po raz pierwszy poję się nimi. Ludwiku, kocham cię! Zabij mnie, umrę z pamięcią tej błogiej, słodkiej chwili, w której mogłam ci mówić o mej miłości, płynącej z głębi duszy... Duszy pełnej błota... serca pełnego mułu! Jestem ladacznicą z wieży Nesle! Och! Nieznana mi dotychczas prawdziwa miłość oczyszcza moją miłość z błota występku. Ludwiku! Ludwiku! Kocham cię! Boże miłosierny, wszechmocny Boże! Błogosławię cię, będę cię błogosławić nawet na stosie, jeśli mnie stos czeka. Chcę krzyknąć całemu światu, że Małgorzata Burgundzka nareszcie poznała miłość i umrze ze słowami: „Ludwiku, mój najukochańszy, kocham cię...”

Słowa te przerwał wybuch głośnego śmiechu. Podniosła głowę, zajrzała w oczy Ludwikowi i obsunęła się bezwładnie na ziemię. Ludwik nie wierzył temu, co mówiła! Nigdy już nie uwierzy jej słowom.

Uniósł na chwilę zaciśnięte pięści, jak gdyby komedia odegrana przez ladacznicę zbudziła w nim drzemiący gniew. Zdawało się, że zmiążdży Małgorzatę. Pięści jego jednak opadły powoli, znowu zaśmiał się ostro, a śmiech ten rozległ się pogrzebowym echem nad głową leżącej na ziemi Małgorzaty. Nawet zabić jej nie chciał! Nawet tego nie była godna! A więc koniec! Koniec wszystkiego! Świat rozsypał się w gruzy... zapadał się w nieprzenikloną ciemność.

— Żegnaj! — rzekł głucho Ludwik.

Nie podniosła głowy. Leżała jak łachman na ziemi. Słyszała odgłos oddalających się kroków, słyszała jego słowa: „Żegnaj” powiedziane zupełnie tak, jakby żegnał nieboszczkę. Tak! Nie istniała już dla niego!

Na progu Ludwik odwrócił się.

— Małgorzato, ludzie pragną, aby żadna plama nie legła na imieniu królewskim. Żądają wytoczenia ci procesu, a gdy zapadnie wyrok, żądają wykonania kary jak najściślej, jak najsurowiej, aby wszystkim wiadome było, że nikt nie może bezkarnie kłaść czi króla... Lecz ty mnie znasz i rozumiesz... Co mi po czi, gdy miłość umarła? Umyśliłem więc uczynić ci najwyższą łaskę... Kochałem cię bowiem, Małgorzato... Oto, flaszciczka, a zawartość jej pozwoli ci uniknąć skandalu, procesu oraz wstydu, cierpienia i kary... Żegnaj, Małgorzato, żegnaj!

Król wyszedł z pokoju. Gdy przekroczył próg swoich apartamentów, wydawało się, że zapomniał o istnieniu Małgorzaty. Wydał tylko rozkaz, aby zaglądano co godzina do więzienia królowej i aby donoszono mu, co się tam dzieje. Czekał chwili, kiedy przerażony Trencavel stanie przed nim i powie:

— Sire, królowa nie żyje, otruła się!

Chwila taka nie nadchodziła...

Po powrocie od królowej Ludwik zastał na swoich pokojach hrabiego de Valois. Widząc jego pytające spojrzenie, odpowiedział:

— Tak! Skazałem ją na śmierć! Królowa umrze.

— A więc wytoczysz jej proces? — zapytał Valois drżącym głosem.

Perspektywa procesu wcale go nie zachwycała. Małgorzata mogła przez zemstę lub po prostu wzięta na tortury przyznać się do tego, że jej pierwszym kochankiem był Enguerrand de Marigny, a drugim Karol hrabia de Valois, brat Filipa, stryj króla Francji. A wtedy imć pan stryj królewski będzie musiał zrezygnować ze wszystkich swoich ambitnych planów i podzielić los Marigny'ego! Należało za wszelką cenę nie dopuścić do procesu!

Tymczasem Ludwik powtórzył:

— Królowa umrze, powtarzam ci. Może już nawet nie żyje!

— Jak to?

— Pozostawiłem jej truciznę! — odpowiedział krótko.

Valois zdławił okrzyk szalonej radości... Ocalony! Ocalony! Już nie potrzebuje obawiać się denuncjacji ze strony Małgorzaty.

— Sire — rzekł do króla — w nieszczęściu, jakie cię dotknęło, znajdę sposób pocieszenia cię...

— Nie potrzebuję pociechy! — przerwał mu głosem martwym i spokojnym, tak spokojnym, że Valois wzdrygnął się i pomyślał: „Nie podźwignie się! Jego serce otrzymało śmiertelny cios”.

— Sire — dodał głośno — pomimo wszystkich nieszczęść i trosk życie idzie dalej, rodząc przeróżne konieczności i potrzeby. Przewidując, że dziś nie miałbyś głowy do tych rzeczy, wzięłem na siebie zarządzenie pewnych posunięć, których nie wolno nam odkładać do jutra.

— Dziękuję ci, stryju. Twoja życzliwość jest w takiej chwili wyjątkowo ważką i cenną...

— Wydałem rozkaz zamknięcia bram Paryża na cały dzień, w nocy zaś będą otwarte:

— Dobrze. Z góry zgadzam się na wszystko. Czy Buridan ujęty?

— Nie, sire, zawiodły mnie moje nadzieje!

— Jeśli go pochycicie, musi stanąć przede mną... ale nie czyńcie mu żadnej krzywdy!

— Dobrze, sire!

„Może on mnie pocieszy” — pomyślał król. A do Valois rzekł:

— Idź, mój drogi, idź!

Hrabia już miał się oddalić, gdy nagle w głowie jego błysnęła myśl. Przy boku Małgorzaty jest jej faworytka i powiernica. Juana. Jeśli Małgorzata nie zdąży go

zadenuncjować, uczyni to na pewno Juana. Należało, więc usunąć ją z drogi! Zawrócił od progu i znowu zabrał głos:

— Sire, myśl podsunęcia królowej trucizny jest genialna, Gdy sobie odbierze życie, ogłosimy wszem i wobec, i każdemu z osobna, że zmarła na złośliwą gorączkę, i hańba nigdy nie wyjdzie na jaw. Jest jednak przy boku królowej jej zaufana, która zna wszystkie jej tajemnice i może je obwieścić światu. Należy uniemożliwić jej to!

Ludwik spojrział na stryja, pełniącego w tej chwili nieomal funkcję kata i szepnął:

— Uczynisz tak, jak tego będzie wymagało dobro i moje i państwa...

Tego tylko było hrabiemu potrzeba. Oddalił się i z uśmiechem na ustach.

XII

KOLEJE LOSU JUANY

Juana była istotą bez znaczenia. Była cieniem, który przychodzi i... znika. Jakkolwiek, zdjeta litością dla nieszczęśliwego Filipa d'Aulnaya, ośmieliła się poplątać szyki Małgorzaty Burgundzkiej, to jednak była serdecznie i szczerze przywiązana do swej pani. W chwili kiedy Ludwik wszedł do pokoju zajmowanego w wieży Luwru przez królową, oddaliła się, a po wyjściu króla pośpieszyła znowu do swej pani. Zastała ją leżącą w omdleniu na podłodze. Podbiegła do niej strwożona, ocuciła ją i dopomogła dowlec się do łóżka. Nie mogła jednak ani rusz wyciągnąć z królowej żadnych szczegółów tego, co się stało. Małgorzata milczała uparcie, tylko usta i ręce jej drżały nerwowo.

Juana zaczęła płakać. Zrozumiała jednak, że teraz nie pora na wyjaśnienia i że królowej należy przede wszystkim zapewnić spokój. Siedząc przy łożu swej pani, błędziła wzrokiem po całym pokoju w nadziei, że wpadnie na jakiś ślad — na wskazówkę. Nagle ujrzała na stole mały flakonik, pozostawiony przez króla.

Co to mogło być? Przedtem nie było go w tym pokoju!

A więc... zdrząła. Przez myśl przeleciała ognista błyskawica — trucizna. Nie! Nie! Niepodobna, aby król to przyniósł. Co robić? Po długim namyśle powzięła nagle postanowienie. Pochwyciła flakonik, otworzyła okno, wylała jego zawartość, potem napełniła flakonik zwykłą wodą i postawiła na stole na dawnym miejscu. Nie umiałaby wytłumaczyć, dlaczego to uczyniła, coś jednak szeptało jej do ucha: jeśli to jest trucizna, nie zostawiaj jej na stole, sprowadzi to bowiem śmierć królowej. Dlatego też wiedzioną instynktem zastąpiła tajemniczy płyn we flakoniku wodą.

Ujrzała Małgorzatę otwierającą oczy. Obserwowała, jak podnosi się z łoża i wspiera na łokciu. Królowa wpatrzyła się we flakonik, a we wzroku jej błysnęła jakaś dzika radość. Juana podeszła do jej łoża.

Nagle drzwi do przedsionka uchyliły się i oficer pełniący służbę skinął na dziewczynę.

— Chodź, mam ci coś do powiedzenia z polecenia króla...

Juana wyszła do przedsionka, zamykając za sobą drzwi. Tymczasem Małgorzata podniosła się z pościeli, stanęła przy stole, odkorkowała flakonik i bez chwili wahania wychyliła duszkiem całą jego zawartość. Potem z dziwnym uśmiechem położyła się na łóżku i zamknęła oczy,

— Czego chcesz, panie? — zapytała Juana.

— Idź, ślicznotko, za tymi dwoma dzielnymi wojakami — rzekł oficer z rubasznym śmiechem.

Juana zbladła jak śmierć. Nie stawiając oporu poszła tam, dokąd ją pociągnęli żołdacy. Szeptala tylko z lękiem:

— Dokąd mnie wiedziecie, panowie?

— Och! Niedaleko stąd!

Nie było to istotnie daleko! W tej samej Wielkiej Wieży, w podziemiach, do których wtrącono swego czasu Filipa d'Aulnaya.

— Chopin! Hej! Chopin! — wrzasnął żołdak.

— Chopin! — darł się drugi — otwieraj drzwi klatki na przyjęcie ptaszka!

Chopin nie odpowiadał. Nie było go w mieszkaniu. Był to bardzo szczęśliwy dla niego zbieg okoliczności, gdyby bowiem zobaczył, że jego ukochaną chcą wtrącić do więzienia, popełniłby jakiś szalony i groźny w skutkach krok.

Jeden z żołnierzy w zastępstwie dozorca wszedł do jego mieszkania, zaopatrzył się w klucze, które wisiały na kołku, i powiódł całe towarzystwo do podziemi. Pozostawili w lochu nieszczęśliwą dziewczynę i wrócili w chwili, gdy Chopin wchodził do swego mieszkania.

— Hej, tam, Chopin, przyprowadziliśmy ci lokatora!

— Dobrze, lecz dlaczego braliście moje klucze?! Dostaniecie za to dobre cięgi!

— Niech i tak będzie, powiemy jednak wówczas, że nie było cię na stanowisku!

— Wszystkie cele są puste — mruknął Chopin. — Mam prawo spacerować, kiedy w więzieniu nie ma nikogo.

— Dobrze, nie kłómy się już. Oto klucze.

Dozorca porwał je jak skarb, mrużąc kłątwy, potem zapytał:

— Dokąd go wtrąciliście?

— Pod numer 5, jak mi się zdaje — rzekł jeden z żołdaków.

— Ślicznie! — szepnął Chopin, gdy żołnierze odeszli. — Cela nr 5... A więc to jest ktoś, kogo skazano na śmierć, znowu będę musiał wrzucać trupa do Sekwany! Czy ten więzień jest młody, czy stary? Et, co mnie to obchodzi! Zobaczę, kto to jest, kiedy pójde do niego. Założmy się, że ma lat... Ano, założmy się jeszcze, że będzie żył tylko pięć dni.

*

Valois nie wydawał rozkazu wtrącenia Juany do podziemnej celi, miał na myśli jedynie aresztowanie jej i uwięzienie w Wielkiej Wieży. Chciał wy badać ją sam, aby się zorientować, czy dziewczyna zna straszną tajemnicę. Przypadek jednak zrządził inaczej i biedaczkę osadzono w podziemiach Luwru.

Po paru dniach Valois, będąc w Luwrze, chciał rozpocząć badanie. Oficer odpowiedział mu, że dziewczyna jest w celi numer 5. Hrabia, dowiedziawszy się o tym uśmiechnął się i na pytanie oficera, czy ma przyprowadzić uwięzioną, odparł:

— Nie potrzeba. Dobrze jej tam, niech pozostanie wszystko bez zmiany.

„Może to i lepiej” — pomyślał s hrabia. „Jeśli dziewczyna coś wie, tajemnica zostanie i dochowana na pewno; jeśli nic nie wie, też dobrze”.

*

Chopin po wyjściu żołnierza legł sobie na swoim łóżu i zaczął rozmyślać o Juanie. Szeroki uśmiech wypłynął na jego twarz:

— Ciekaw jestem, co robi na górze zamknięta wraz z królową. Dlaczego królową uwięziono? Czy król wie o tym?

Leżenie na łóżku i rozmyślanie było ulubionym zajęciem Chopina w chwilach wolnych od zajęć. Chwil takich miał bardzo dużo. Stanowiły one dziewięć dziesiątych

jego życia. Całe jego zajęcie polegało bowiem na noszeniu jedzenia więźniom z pierwszego piętra podziemi. Jeszcze prostszym stawało się ono, gdy nie miał więźniów, na pierwszym piętrze, lecz na drugim. Wtedy zajęcia służbowe dozorca sprowadzały się do zamknięcia drzwi nieszczęśliwego więźnia na dwa spusty po czym schodził już tylko od czasu do czasu do podziemi, stawał pod drzwiami i słuchał, czy więzień jeszcze żyje.

Kiedy śmierć dokonała już swego dzieła, Chopin wchodził do celi, zabierał trupa i wrzucał go do Sekwany. Tak się działo zawsze wtedy, gdy dozorca osadzał lokatora w celi numer 5 w podziemiach. Nie potrzebował więźniowi zanosić ani chleba, ani wody. Musiał jedynie poczekać chwili, gdy zakończy życie.

Nie mając więc nic lepszego do roboty, Chopin kładł się na swym nędznym łożu i wbijał wzrok w gruby, czarny, zakurzony baldachim pajęczyn zwieszający się z sufitu nad jego głową.

Teraz, leżąc na łóżku, zaczął nucić ochryplym głosem jedną po drugiej piosenki miłosne. Repertuar jego nie był urozmaicony. Składał się z dwóch kupletów, które pozostały mu w pamięci z czasów, kiedy będąc raz na jarmarku, długo przysłuchiwał się zawodzeniom wędrownego minstrela. Gdy już cały ten repertuar został wyczerpany, podrapał się w głowę i zaczął zakładać się z sobą samym. Zakłady były jego manią, a że nie miał nikogo, z kim mógłby próbować szczęścia, więc też wygrywał i przegrywał... do siebie.

A więc najpierw założył się o piędź kiszki kaszanej, że jego nowy więzień zakończy życie z końcem dnia piątego. Potem założył się o kufel miodu, że nowy lokator spod numeru 5 ma czarną brodę. Założył się wreszcie o trzy dzbany piwa, że w kieszeni truposza znajdzie pieniądze, które skonfiskuje przed wrzuceniem trupa do Sekwany.

Gdy pierwsza seria zakładów została wyczerpana, Chopin przeszedł do drugiej, która go wielce musiała cieszyć, uśmiechał się bowiem szeroko od ucha do ucha i szeptał:

— Założę się o wielką miarkę miodu, że zobaczę ją dzisiaj!

Ową „ją” była Juana!

Znowu myśl jego zaczęła krążyć dokoła niepojętego po prostu zdarzenia: królowa uwięziona! Niepodobieństwo, a jednak tak jest istotnie. Słyszał na własne uszy... od oficera straży, od żołnierzy. Dziw nad dziwy!

Zaczął przewracać się z boku na bok... mrużyć... rozważać..., rozmyślać...

I znowu stanął nowy zakład. Tym razem los miał zdecydować, który z Chopinów wygra: czy ten, któryś zapewniał, że król nic o tym nie wie, czy ten, który twierdzi, że coś w tym wszystkim musi być!

Tak czy owak stała się rzecz niesamowita! Królowa Małgorzata, uwielbiana przez dworaków, mieszczan i wszystkich — uwięziona! Chopin nie mógł tego pojąć. Królowa uwięziona! To przechodziło jego wyobrażenie.

— Nie chciałbym być w skórze tego, który to uczynił! Wiem dobrze, jaki nasz król jest gwałtowny! Pewnego dnia tak zdzielił mnie pięścią po nosie, że zacząłem krwawić jak zarzynany wieprz. A za co? Bo spotkał mnie na swojej drodze, a to spotkanie nie podobało mu się. Będzie się miał z pyszna ten, kto wymyślił coś podobnego.

Długo jeszcze rozmyślał nad uwięzieniem królowej, a potem postanowił czatować przy wyjściu z wieży w nadziei, że farsa uwięzienia skończy się prędko i że zobaczy wtedy Juanę, opuszczającą więzienie wraz z królową.

Noc zapadła i ani Juana, ani Małgorzata nie opuściły wieży. Chopin wrócił do swego mieszkania! rzekł do siebie:

— Pewnie wyjdą jutro.

Zaczął przygotowywać sobie kolację, mrużąc pod nosem:

— Przegrałem do siebie miarkę miodu, napiję się jednak, bo chociaż przegrałem dziś, to wygram na pewno jutro.

Dobył z ukrycia duży gąsior miodu i wlał sobie sporą miarkę na konto przegranego zakładu. Potem ukląkł przy ognisku obramowanym wielkimi kamiennymi płytami. Ułożył na gorących jeszcze węglach stosik suchego chrustu. Dmuchiął... Istny huragan wionął z jego szerokiej piersi, a wysoki słup ognia oświetlił fantastycznym jakimś, nieledwie upiornym blaskiem jego szeroką, okrutną twarz. Gdy płonące drewno utworzyło wreszcie stos rozżarzonych węgli, Chopin wdrapał się na taboret i sięgając po ogromny połec słońiny, uciął gruby jej płat. Zawiesił go na sznurku nad ogniskiem i jął obracać. Głucho pomrukiwał, kiedy roztopiony tłuszcz zaskwierczał na węglach albo gdy żarłoczny płomień, podsycony topiącym się tłuszczem, wystrzelił nagle wysoko w górę i liznął podstępnie a natarczywie trzymając słońinę pokraczne, twarde, sztywne i nie grzeszące czystością jego palce.

Gdy już wieczerza była gotowa, to znaczy, gdy słońina przypiekła się dostatecznie, rozsiewając po izdebce smakowitą woń, Chopin, kłapiąc zębami jak zgłodniały pies i przewracając białkami oczu z zachwytu, pochłoniął przyrumienioną i chrupiącą słońinkę, zagryzając ją chlebem. Potem nalał miodu do wyszczerbionego glinianego garnka, wychylił trunek duszkiem i uśmiechnął się radośnie.

Usiadłszy w końcu w kucki przy ognisku, zapuścił palce w swoją rudą, poplątaną i olbrzymią jak strzecha grzywę włosów i jął poić się szczęściem chwili obecnej, innymi słowy, jął trawić. Wreszcie mrucnął pod nosem:

— A może by teraz zrobić mały spacer po moich ogrodach? Czemu by nie? Król i królowa mają ogrody Luwru i pałacu Nesle. Ja mam również ogrody. A jakże! Cała różnica między naszymi ogrodami jest ta, że królewskie są położone na górze, a moje na dole.

Z tymi słowami otworzył żelazne drzwi, zamykające wejście do podziemi Wielkiej Wieży, i nie zabierając ze sobą żadnego łuczywa, zaczął skradać się po cichu jak wilk czyhający na zdobycz. Czasem tylko pod bosą jego stopą chlapnęła woda w kałużę, utworzonej ze spływającej po ścianach wilgoci.

Serce biło mu głucho i radośnie, bo oto zbliżała się chwila, kiedy podejdzie cicho jak duch pod drzwi celi i zacznie poić się muzyką jęków więźnia umierającego w głębi swego lochu...

Zbliżył się do drzwi celi, przyłożył do dziurki od klucza ucho. Wykrzywił się radośnie i szepnął:

— Tam do licha! To ci dopiero wrzeszczy! No, no! Jakby mu kto wbił nóż w gardło! Nigdy nie słyszałem takich wrzasków! Ma mocne gardło.

Ruszył dalej. Po chwili jednak zatrzymał się, nasłuchując.

— Zdrowe gardziółko! Jak żyję, nie słyszałem czegoś podobnego.

Zaśmiał się, po czym nagle spowaźniał, nadstawił ucha i zadrżał... Do serca jego zakradł się dziwny lęk. Znowu zaczął nadśluchować, a potem złapał się za głowę.

— Ależ tam wtrącono kobietę albo więzień ma głos kobiecy! Chciałbym, aby już raz zamilkł.

— Co tu robisz bydlę? Czy zamkniesz wreszcie te drzwi?! — usłyszał z tyłu.

Odwrócił się, warcząc jak pies, stanął jednak w pozycji pełnej szacunku. Ujrzał przed sobą oficera dowodzącego strażą w Wielkiej Wieży. Za oficerem stało dziesięciu żołnierzy, którzy mieli zmienić posterunek.

— Zamknij drzwi! powtórzył oficer. — Ta Juana ogłuszy nas.

Chopin wzdrygnął się i zapytał gniewnie:

— Co takiego? Juana?

Oficer wybuchnął śmiechem, widząc ogłupiałą z przerażenia twarz dozorca, potem wzruszył ramionami i zaczął wchodzić na schody wiodące do wieży. Za nim postępowali żołnierze.

Chopin pozostał w miejscu oniemiały z przerażenia. Nagle ryknął jak ranne zwierzę, wpadł do swego mieszkania, zapalił pochodnię, porwał klucze i zbiegł schodami do podziemi. Otworzył gwałtownie drzwi celi numer 5.

W samym kącie ujrzał skuloną dziewczynę. Usta miała szeroko otwarte. Wydobywał się z nich przeraźliwy, nieprzytomny krzyk... Krzyk niesamowitego lęku. Jej szkliste, obłąkane oczy nie miały w sobie nic z oczu człowieka.

— Juana! — wykrzyknął.

Dziewczyna nic nie widziała, nic nie słyszała... Z ust jej płynął ciągle ten sam monotonny krzyk.

Mężczyzna odrzucił pochodnię, która upadła na ziemię i zgasła. Porwał Juanę w ramiona, podniósł ją i wybiegł wraz z nią z celi. Śmiał się.

— Mam szczęście! Wygrałem! Wiedziałem, że ją zobaczę. Nie krzycz, nie krzycz, rozdierasz mi serce. Jeśli cię usłyszą, wtrącą znowu pod numer 5, a mnie pod 6. Wtedy wszystko się skończy! Milczże, na Boga! Dlaczego cię tu wtrącono? Coś ty zrobiła? Zresztą co mnie to obchodzi. Nie krzycz, nie wrócisz już do celi.

Przerażenie Juany było jednak tak silne, że nie mogła się opanować i wciąż krzyczała.

Chopin wpadł do swego mieszkania i rzucił dziewczynę na łóżko... Zaczął kręcić się po izdebce, pijany lękiem, targając się za włosy.

— Ona nie zamilknie, a jeśli przyjdą... Oto klucz od kraty... Oto klucz od furtki... A ona ciągle wrzeszczy! — Porwał klucze i krzyknął: — W drogę! Żegnajcie, moje ogrody podziemne. Odchodzę z Juaną. Nie chcę, żeby umarła!

Podbiegł do łóżka i porwał dziewczynę w ramiona. W tej samej chwili drzwi od izdebki otworzyły się gwałtownie. W progu stało kilku żołnierzy.

— Nie mówiłem — warknął gniewnie — że cię usłyszą.

Juana ciągle krzyczała.

— Hola, mości Chopin, dokąd tak śpieszysz?

— Na Boga, chce porwać dziewczynę, którą zamknęliśmy.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

Dozorca przerzucił Juanę przez lewe ramię jak toból z bielizną.

— Z drogi — rzekł, zbliżając się do żołnierzy, uzbrojony w olbrzymie klucze od kraty i od furtki. — No, z drogi!

Kochał Juanę i chciał wydrzeć ją śmierci. Cóż może być naturalniejszego.

Żołnierze śmiali się coraz głośniej.

— A teraz, czuły kochanku — wrzasnął jeden z nich pozwól, że cię wsadzimy do ciupy...

Nie zdążył dokończyć zdania. Padł pod ciosem wymierzonym kluczem od furtki. Chopin rzucił się na żołnierzy, powalił następnego. Potem przedarł się przez ich szeregi i pobiegnął szybko w stronę kraty. Otworzył ją, a znalazłszy się po drugiej stronie, zamknął na klucz.

W tej chwili nadbiegli pozostali żołnierze i poprzez zamkniętą kratę ujrzeli spokojnie oddalającego się dozorca. Krata była gruba, mocna, niepodobna jej było wyłamać. Juana przestała krzyczeć — zemdląca. Chopin złożył zemdloną dziewczynę na dnie łodzi, odbił od brzegu, przepłynął Sekwanę i wysiadłszy z łodzi wraz z Juaną zagłębił się w wąskich i krętych uliczkach Dzielnicy Łacińskiej. Od tej pory ślad po nich zaginął.

Dużo później, już za panowania Karola IV, w dzielnicy tej otworzono traktiernię, na której szyldzie widniały dwa na krzyż złożone klucze. Pod kluczami namalowana była czaszka ludzka z olbrzymią dziurą. Napis głosił: „Traktiernia pod maczugą, która otwiera czaszki”.

Właścicielką tej traktierni była wygadana kumoszka, darząca swymi względami natarczywych studentów. Mąż czcigodnej oberżystki był to cichy, nieśmiały olbrzym, szalenie zakochany w swej żonie, która wodziła go za nos. Oberżysta miał manię zakładania się ze swymi klientami. Kto wie, czy nie był to Chopin i jego żona — Juana? Być może oddała mu swą rękę z wdzięczności za uratowanie życia!

XIII

GLEJTY STRAGILDA

Buridan po wejściu do piwnicy nie zastał w niej Stragilda, który ratował się ucieczką. Gdy towarzysze Buridana dowiedzieli się o tym, jakby na dany znak porwali się za ręce, utworzyli koło i zaczęli skakać, wydając szalone okrzyki radości.

— Zwariowaliście? — zapytał Buridan.

— To ty oszalałeś — mruknął Wichura.

— Naucz się logiki — pisnął Haudryot.

— Osioł! — wtrącił Bigorne. — Przypomnij sobie historię o osiołku, jaśnie wielmożny panie! — I zaczął wyjaśniać: — Ponieważ Stragildo zwał, nie musimy go przekupywać złotem mego przyjaciela Malingre’a, toteż jego łupy zostaną dla nas.

— Ja proponuję podzielić pieniądze na cztery części i czterema drogami wymknąć się z Francji, aby w obcych krajach wieść aż do zgonu błogi żywot leniuchów — doradził Wichura.

— Ja radziłbym kupić muła, naładować na niego złoto i wiać... — oznajmił Haudryot.

— Jedźcie więc — odpowiedział Buridan posepnym tonem. — Uciekajcie wszyscy trzej, a zabierzcie również złoto, które przywiozłem z Montmartre. Ja zostanę sam, aby spróbować ocalić Filipa i Gautiera.

— To prawda — westchnął Wilhelm po chwili. — Nie możemy jeszcze wyjeżdżać.

Odkładając do następnego dnia ważne decyzje, czwórka przyjaciół zaczęła dyskutować nad sytuacją, jaką wytworzyła ucieczka Stragilda. Należało przede wszystkim wyprowadzić się z Różanej Zagrody. Nie ulegało wątpliwości, że Stragildo zdradzi ich obecność tutaj i sprowadzi im na kark łuczników królewskich.

— Chodźmy więc! — zawołał Buridan.

— Tak tu było dobrze! — westchnął Wilhelm.

— Zwłaszcza od czasu, kiedy zostaliśmy bogaci — dodał Riquet.

Mimo narzekania wszyscy ruszyli za Buridanem. Wilhelm i Bigorne nieśli kuferek ze złotem.

— Dokąd pójdziemy? — spytał Bigorne. Zaległo milczenie. Wreszcie Bigorne wzruszył ramionami i wskazując palcem na chałupę stojącą na wprost Różanej Zagrody, dodał: — Udamy się tam, nie dalej. Trzeba umieć przewidywać. Ta chałupa jest pusta i możemy w niej obrać siedlisko.

Był to rodzaj stajni z na w pół rozwaloną szopą. Buridan postawił konia przy żłobie. Pozbierano dla niego resztki rozrzuconego siana. Ludzie zaś ulokowali się w Szopie, gdzie kto mógł. Owinęli się w płaszcze i zasnęli, z Wyjątkiem Bigorne’a, który drzemał tylko, siedząc przy okienku i obserwując drogę wiodącą do Różanej Zagrody.

Tuż nad ranem rozległ się tętent kopyt końskich. Bigorne przytknął nos do okienka i w pierwszych blaskach wschodzącej jutrzeńki ujrzał spory oddziałek zbrojny, który zatrzymał się przed Różaną Zagrodą. Zbudził ostrożnie Buridana, pociągnął za nos Wilhelma i Riqueta, nakazując im gestem milczenie, po czym wszyscy zgromadzili się przy okienku. Mogli stąd obserwować całą scenę rewizji w Różanej Zagrodzie. Ludzie Valois nie znaleźli tam nic, odeszli z kwitkiem. Wtedy postanowiono powrócić do Różanej Zagrody.

Była to najlepsza kryjówka, nikomu z pewnością nie przyszłoby do głowy, że prześladowani ponownie się tam schronią.

— Która może być godzina? — zapytał Bigorne, wchodząc do mansardy.

— Na pewno godzina obiadowa — odparli jednocześnie Wilhelm i Riquet.

Bigorne spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi, bo uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Należałoby teraz najeść .się do syta — powiedział Wilhelm.

— I przepłukać sobie gardło! — dodał Haudryot.

— Ano to jedzmy i pijmy — oświadczył Bigorne, wyjmując złotą monetę.

— Idź, Bigorne — rzekli skwapliwie Wilhelm i Riquet — pośpiesz się i wracaj jeszcze prędzej.

— Idę.

— Lancelocie! — zawołał Buridan.

— Jaśnie wielmożny panie?

— Udasz się do Montmartre. Przed samą wsią zobaczysz olbrzymią skałę, a przy niej spotkasz Myrtille albo moją matkę.

— Do Montmartre! Święty Barnabo, przyjdź mi z pomocą! Trzeba stracić dobrą godzinę na drogę tam, a drugą na powrót.

— Więc co?

— A obiad?

— Zjesz go po drodze.

— Rzeczywiście, można i tak.

— A my?! — wrzasnął Wilhelm.

— My też nie umrzemy z głodu, nie ma obawy. Pójdiesz więc do Montmartre, powiesz im, że wróciłem szczęśliwie do Paryża i że zobaczymy się niebawem.

— Idę już! — zawołał Bigorne.

Tuż za nim wyszedł Riquet, udając się na zakupy. Kończyli ucztę, gdy wszedł Bigorne.

— Już — zapytał z niepokojem Buridan — wróciłeś z Montmartre?

— Nie, wielmożny panie podpowiedział Bigorne z jakąś zakłopotaną miną.

— Przede wszystkim zakazuję ci raz na zawsze tytułowania mnie wielmożnym lub jaśnie wielmożnym panem...

— Jakże mam więc pana nazywać, może *sire*? Otóż powiadam panu, że nie byłem w Montmartre z bardzo prostych powodów, bo nie wychodziłem poza mury Paryża, a nie wyszedłem poza mury Paryża z równie prostych powodów:..bo Brama Malarzy była zamknięta.

— W biały dzień?

— Tak. Tłum kłął poganina króla, który może wydać taki rozkaz...

— A inne bramy? — przerwał mu Buridan. — Należało wyjść bramą Montmartre.

— Czekaj, panie. Ludzie kłęli króla, że wszystkie bramy kazano dziś pozamykać aż do wieczora... Nie wiem, czy był to rozkaz Ludwika czy czyjś inny, w każdym bądź razie herby na pieczęci wyglądały na królewskie. Wszystko to jest zastanawiające i groźne.

— A cóż nam u licha może grozić, jeśli nawet bramy będą zamknięte? — wrzasnął Wilhelm.

— Mów dalej, Bigorne — rzekł Buridan coraz bardziej posępnym tonem.

— Cała sprawa jest jeszcze bardziej tajemnicza. Rozkaz brzmi bowiem, iż wszystkie bramy będą otwarte, począwszy od wieczora przez całą noc. Zamknięte na dzień, otwarte na noc... Cały świat do góry nogami... Wygląda mi to na zasadzkę.

— Zasadzka! — zawołał Buridan blednąc.

— Na kogo? — zdziwił się Wilhelm.

Lancelot Bigorne wzruszył ramionami.

— Mów dalej, mów dalej! — przynaglał Buridan.

— Otóż powiem teraz szczerze, że nie jest to rozkaz królewski, lecz hrabiego de Valois.

— Valois! — krzyknęli towarzysze Lancelota. — To sprawa poważna.

Buridan zaczął chodzić nerwowo po izdebce, wreszcie zatrzymał się przed Bigorne'em.

— Co myślisz o tym wszystkim?

— To samo co i pan. Rzecz jasna, Valois chce nam przeszkodzić w wyjściu za dnia, lecz zaprasza nas do wyjścia, gdy zapadnie noc.

— Zaprasza nas — pisnął Riquet — a więc nie przyjmujemy zaproszenia!

Buridan czuł, że pożera go niepokój.

— To jasne, że chce nas zmusić do wyjścia i zarządzenie to wydał jedynie z uwagi na nas!

— Tak, tak, to zasadzka — bąknął Wilhelm. — Należałoby odpowiedzieć mu tym samym. Ale, ale czy zauważyłeś, Buridan, że do tej pory na szubienicy Montfaucon nie powieszono jeszcze nikogo?

— To prawda — mruknął Bigorne.

— To twoja wina! — pisnął Riquet.

— Jak to? — zapytał Lancelot ze zdziwieniem. — Czy koniecznie ja musiałem pierwszy zawisnąć?

— Nie, lecz należało w swoim czasie powiesić imię pana de Valois. Gdybyś go wtedy powiesił, nie potrzebowalibyśmy w tej chwili zadawać sobie pytania, czy możemy opuścić Paryż w nocy czy też nie.

— A jednak wyjdziemy stąd! — zawołał nagle Buridan.

— Co takiego?! — wrzasnął Wilhelm i Riquet.

— Zdaje się, że zaczynam rozumieć, o co mu chodzi — mruknął Bigorne. — Jest równie inteligentny jak ja.

— Moi przyjaciele — rzekł Buridan — wyjdziemy z Paryża, lecz nie wieczorem ani w nocy, ale za dnia, natychmiast.

Był tak blady, że Wilhelm i Riquet zadrżeli.

— Wytlumacz się, ty diabelski studencie. Doprowadzasz mnie do wściekłości swoim przerażonym wyglądem.

— Może się mylę — powiedział Buridan — lecz zdaje mi się, że Valois chce nas zwabić na drogę wiodącą do Montmartre...

— To znaczy...

— Już wiem! — wrzasnął Wilhelm. — Jeśli sądzisz, że twojej Myrtilli coś grozi, śpieszmy niezwłocznie!

Nie zwlekając dłużej, czterej przyjaciele przygotowali się do drogi, zabierając ze sobą sporo złota i srebra, którym wypchali kieszenie. Kuferek z resztą skarbu zakopali w ogrodzie. Teraz należało znaleźć sposób przedostania się przez wały miejskie i przez fosy ochraniające przez żołnierzy. O opuszczeniu Paryża przez bramy nie mogli być w ogóle mowy.

— Chodźcie za mną — rzekł nagle Bigorne.

Wszyscy pośpieszyli na jego wezwanie. Bigorne minął szereg ulic, część wałów miejskich, wreszcie stanął w pobliżu Bramy św. Honoriusza, w jakimś głuchym zakątku. Stali tuż przy schodach. Służyły one łucznikom do wchodzenia na wały w razie napadu nieprzyjaciela.

— Wróć za pół godziny — oznajmił Bigorne. — Czy widzicie tego tam mężczyznę? — zapytał, wskazując na wartownika stojącego u podnóża schodów.

— Tak... a więc?

— A więc — rzekł zimno Bigorne — gdy powrócę, łucznika nie powinno już tam być...

Z tymi słowami odszedł.

— Cóż tedy zrobimy z tym łucznikiem?

— Widzę tylko jeden sposób — odpowiedział Wilhelm. — Jeśli Bigorne nas tu przywiódł, to znaczy, że miejsce to jest odpowiednie do przeprowadzenia naszego planu. Pozbądźmy się łucznika.

— Dobrze, ale jak?

— Zabijając go — odparł Wilhelm.

Haudryot wcale nie był zdziwiony, Buridan jednak wzdrygnął się. Nie była mu miła myśl zabijania niewinnego człowieka.

— Chodźmy więc — zdecydował Haudryot.

— Zaczekaj — powstrzymał go Buridan. Zdjął z głowy beret, wysypał do niego całą zawartość swego mieszka i to wszystko, co miał w kieszeniach. Potem zwracając się do przyjaciół, rzekł: — Teraz twoja kolej, kamracie! Syp! Syp! Riquecie, syp również!

Obaj, choć z wielkim smutkiem, usłuchali jego rozkazu.

— Wolałbym już go zabić! — bąknął Wilhelm. — Ale może masz rację, chcąc go przekupić. Mamy na to dość złota.

— Kto wie? — dodał Haudryot. — A teraz chodźmy!

Podeszli do wartownika.

— On nas puści z torbami! — jęknął Wilhelm.

— Żeby wzbogacać żebraków i strażników królewskich! Tam do licha! Nie ma rady na tego abiturienta!

— Precz! — wrzasnął wartownik, ujrawszy zbliżających się.

Buridan wyciągnął do niego rękę, w której trzymał beret napełniony złotem.

— Mój przyjacielu — powiedział — to wszystkie dla ciebie.

— Dla mnie! — wykrzyknął zdumiony strażnik, otwierając szeroko oczy.

— Tak, za to, że pozwolisz nam wejść na wał.

Łucznik zbladł. Rzucił raz jeszcze chciwe spojrzenie na połyskujące w berecie złoto, potrząsnął jednak przecząco głową.

— Nie, nie mogę, powieszę mnie za to.

— Dołóż jeszcze, Wilhelmie! — rzekł Buridan, nadstawiając beret.

Tym razem głos jego nabrał rozkazujących tonów, tak że Wilhelm spełnił rozkaz bez szemrania.

— Morduj mnie — szepnął tylko pod nosem — im prędzej tym lepiej.

Łucznik przyglądał się temu, drżąc na całym ciele. Ten strumień złota, spływający do beretu, zdawał mu się jakąś cudowną bajką. Buridan podszedł znowu do niego. Łucznik był bład jak ściana. Z czoła spływał mu kroplisty pot. Ponownie jednak potrząsnął przecząco głową.

— Teraz twoja kolej — rzucił Buridan rozkaz Riquetowi.

Ku jego wielkiemu zdumieniu Riquet usłuchał również. Był przeświadczony, że i tym razem łucznik odmówi przyjęcia pieniędzy. Nadzieja ta jednak zawiodła

pocziwego Riqueta. Na widok beretu, z którego przelewało się po prostu złoto, łucznik rzucił nagle pikę i łuk i porywając beret, uciekł co sił w nogach.

Wtedy dopiero Buridan zwrócił uwagę na jęki Wilhelma i Riqueta.

— Czego jęczycie? — zapytał. — Ja przecież straciłem najwięcej, bo mój beret.

Słowa te uspokoiły ich wyraźnie.

W tej samej chwili z wąskiej uliczki wychylił się Bigorne niosąc na ramieniu jakiś olbrzymi pakunek.

— No i co z łucznikiem? — zapytał.

— Ustąpił nam miejsca — odpowiedział Buridan. — Co niesiesz?

— Powróz, nowiutki powróz, za który zapłaciłem całe dwa talary. Na szczęście jesteśmy dosyć bogaci, aby sobie na to pozwolić.

— Tak, lecz będziemy zrujnowani, jeśli w takim tempie będziemy wydawać pieniądze.

— Powróz! — wrzasnął Riquet — czy po to, żeby powiesić tego rozrzutnika Buridana?

— Co takiego?

— Bogaci... — warknął Wilhelm — z tego bogactwa nie mamy ani grosza przy duszy.

— Jak to? — zapytał blednąc Bigorne.

Buridan wybuchnął śmiechem. Wilhelm w dwóch słowach wytłumaczył, o co chodzi. Bigorne oniemiał ze zdumienia i oburzenia. On również uważał, że sztylet wyświadczyłby dużo szybszą, a co najważniejsze — tańszą usługę.

— Chodźmy już — zawołał Buridan — porachujemy się później.

Po kilku sekundach stali u szczytu wysokich schodów. Mały daszek ochraniał tkwiących tam żołnierzy przed nieprzyjacielskimi strzałami.

— Dlaczego przywiodłeś nas tu, a nie gdzie indziej?

— Spójrz tylko na fosę — powiedział Bigorne.

Buridan wychylił się i zobaczył, że fosa była prawie wyschnięta i wypełniona ziemią, tak że przejść tędy można było z powodzeniem. Tymczasem Bigorne rozwinął powróz, przywiązał koniec do grubego kija, a kij wbił w ziemię. Teraz należało tylko zejść na dół. Bigorne zszedł pierwszy. Dopomagając sobie potem rękami i nogami, jął wdrapywać się po zboczu fosy.

W tej samej chwili z sąsiednich wież na wałach zaczęły sypać się na zbiegów strzały.

Wilhelm szedł drugi. Potem Riquet, a za nimi wreszcie Buridan. Wkrótce wszyscy czterej znaleźli się po przeciwległej stronie fosy zdrowi i cali, choć łucznicy nie żałowali strzał.

— Do Montmartre! — zawołał Buridan.

Wyruszyli pośpiesznie w drogę. Okrążyli Paryż i wkrótce stanęli u podnóża góry. Zaczęli się wspinać. Bigorne głośno rachował „zmarnowane” pieniądze. Riquet żuł w ustach przekleństwa. Wilhelm pogwizdywał triumfalnego marsza. Buridan nie mówił nic. Był błady, serce biło mu mocno. „Co zastanę?” — zadawał sobie stale to jedno pytanie. „Może klęskę ostateczną. Jeśli Valois zna kryjówkę Myrtili...? Może już tu był?” Nagle zatrzymał się. Twarz rozjaśniła mu się uśmiechem, choć z czoła spływał pot. Na szczycie skały ujrzał dwie kobiece sylwetki. Były to Mabel i Myrtila. Oparł się plecami o pień starego kasztana i zaczął śmiać się nerwowo, ocierając czoło. Śmiał się również Bigorne, poznając kobiety.

— Możesz teraz ryczeć do woli — rzekł mu wesoło Buridan.

Wszyscy usiedli na pniu drzewa.

— Smutny kraj — rzekł Riquet, przyglądając się krajobrazowi — smutny kraj! Patrzę i patrzę, i nie widzę nigdzie ani śladu traktierni.

Wilhelm kiwnął głową potakująco. On również uznawał jedynie takie miejscowości, w których można było zahaczyć o jakąś oberżę lub szynk.

— Moje dzieci, widocznie omyliliśmy się — rzekł Buridan. — Cała ta historia zamkniętych na dzień wrót miejskich nie była widocznie dla nas, bo oto jesteśmy zdrowi i cali. My, jak również osoby, na których nam zależy. Skorzystamy ze sposobności, kiedy bramy miejskie zostaną otwarte, i wrócimy. Valois na pewno nie przyjdzie. Zresztą jak mógłby się dowiedzieć, że Myrtilła i moja matka są tu?

— Masz rację! — przytaknął Riquet.

— Wspaniale! — dodał Wilhelm z zachwytem na samą myśl, że wróci do Paryża.

— Osły! — ryknął Bigorne.

— Co ci się stało? — zapytał Buridan.

— Podziwiam wasz brak logiki. Wszyscy razem jesteście prawdziwe osły, moi drodzy.

— Wytlumacz to jaśniej — Burknął. Buridan.

— To przecież zupełnie jasne. Valois kazał pozamykać bramy. A więc chce działać za dnia. Gdy swoje zrobi, otworzy bramy i wpadniemy w potrzask, który na nas zastawił. Tym sposobem narzeczony spędzi noc w Tempie, a narzeczona...

— A narzeczona?

— Chyba również w Tempie, tylko nie w jednym pokoju z narzeczonym. To jest tak pewne, jak dwa razy dwa jest cztery.

— Kto jednak mógłby uprzedzić Valois? — zapytał Buridan, drżąc z niepokoju.

— A kto uprzedził go o tym, że jesteśmy w Różanej Zagrodzie?

— Rzecz oczywista, Stragildo!

— Niech tam! Jeśli chcesz, kapitanie, uratować tę piękną panienkę, która chodzi sobie tam po szczycie skały, jeśli chcesz ocalić życie sobie i swoim przyjaciołom, musimy spędzić noc w Montmartre i poczekać na bieg wypadków. Jutro rano zaś powinniśmy umieścić kobiety w jakimś innym, bezpieczniejszym miejscu, a potem powziąć ostateczną decyzję.

— Niech się tak stanie! — rzekł Wilhelm.

— Moi drodzy, przyjmijmy plan Bigorne'a i chodźmy do naszych pań. Tylko nie mówmy im nic.

Z tymi słowami Buridan ruszył na szczyt skały, a przyjaciele poszli za jego przykładem. Wkrótce po radosnym powitaniu całe towarzystwo zasiadło do posiłku, który choć nie grzeszył zbyt wielkim wykwintem, niemniej był bardzo obfity i mógł nasycić nawet tak zgłodniałe jak ich żołądki.

Reszta dnia upłynęła zupełnie spokojnie. Buridan uprzedził jedynie matkę i narzeczoną o tym, że konieczna będzie zmiana miejsca pobytu. Obrano wieś Rouille, gdzie kobiety miały poczekać na przybycie Buridana i jego towarzyszy, aby się potem już nie rozłączać.

Po załatwieniu tych spraw Jan, Myrtilła i Mabel zaczęli snuć promienne plany na przyszłość. Buridan unikał jedynie tematu Marigny'ego i odpowiadał wymijająco na wszystkie pytania dziewczyny.

Nadszedł wieczór. Mabel i Myrtilła zamknęły się w swej chatce. Czterech mężczyzn ulokowało się w nędznej lepiance uprzejmie oferowanej im na nocleg przez któregoś z wieśniaków za cenę jednego dukata. Postanowiono, że każdy z nich kolejno będzie stał na warcie na szczycie skały. Rozlosowano kolejność warty. Los wyznaczył Bigorne'owi czuwanie jako pierwszemu. Pozostał więc na skale, podczas gdy inni wyciągnęli się na wiązce słomy, w chatce. Prawdę mówiąc, gdyby nawet los nie padł na Bigorne'a, nie odstąpiłby nikomu tego obowiązku. Przypuszczał, że z chwilą gdy zapadnie wieczór i bramy miejskie zostaną otwarte, stanie się to, co się miało stać.

Wilhelm i Riquet zasnęli kamiennym snem, Buridan zaś, jak każdy zakochany, nie mógł usnąć i przewracał się na swym posłaniu.

Na dworze panowała niezmacona cisza.

Nagle drzwi chatki otworzyły się gwałtownie. W progu stanął Bigorne i oznajmił ze spokojem:

— Wdrapują się na górę!

— Uwaga! — krzyknął Buridan, budząc swych towarzyszy.

W mgnieniu oka byli już na nogach. Przygotowali się do walki i z bronią wypadli przed chatkę.

— Też maniery, przerywać porządnym ludziom sen — warknął gniewnie Wilhelm.
— Nicponie, zapłacą mi za to drogo!

— Tak, musimy im nakazać sen, i to w dodatku sen wieczny. To nawet dowód wielkiej pobłażliwości z naszej strony, bo moglibyśmy...

Nie miał czasu dokończyć swoich wywodów, w tej samej bowiem chwili tuż przed nim mignęły jakieś cienie, rozległy się krzyki — to Riquet i Wilhelm zwarli się z nadchodzącym nieprzyjacielem.

— Precz, złodzieje! — wrzasnął znajomy dobrze Buridanowi głos.

Był to głos Valois! Jego ojca!

Jednocześnie hrabia spał swego konia tak silnie, że ten stanął dęba. Buridan cofnął się, a czoło jego oblał pot. Odwrócił się jednak w stronę drugiego jeźdźca.

Wszczął się straszny tumult, błysnęły sztylety, rozległy się dzikie ryki Wilhelma Wichury, Riqueta i Haudryota. Potem nagle wszystko ucichło. Cała potyczka nie trwała paru minut.

W nocnym mroku mignęły cienie uciekających, a do uszu Buridana doleciało echo jęku, tchnącego wściekłością i bólem. To uciekał z pola bitwy hrabia de Valois.

Wtem koń hrabiego zachwiał się i upadł, otrzymawszy pchnięcie sztyletem w pierś. Valois zdążył zeskoczyć z wierzchowca i stanąć ze szpadą w dłoni gotów do walki. Obejrzał się i przekonał, że jest sam. Ludzie jego pierzchli w rozsypce. Przy nim nie pozostał nikt.

Wilhelm podniósł już na niego rękę uzbrojoną w sztylet. Hrabia, widząc, że sobie z nim nie da rady, nie próbował nawet walczyć o życie. Nagle dłoń jakaś legła na jego ramieniu i dziwny, głuchy głos warknął:

— Uciekaj, panie, uciekaj! To wszystko, co syn pański może dla pana uczynić!

Valois poznał głos Buridana. Wtedy zaklął straszliwie i zaczął uciekać.

Buridan i jego towarzysze spojrzeli po sobie i stwierdzili, że nikogo z ich grona nie brakuje. Wilhelm został draśnięty w ramię, ale krwawił bardzo obficie. Buridanowi sztylet któregoś z napastników przebił mięśnie lewego ramienia, Riquet zaś siedział na kamieniu ogłuszony uderzeniem maczugi. Gdy Wilhelm podszedł do niego, ujrzał, iż siedzi sobie najspokojniej pod słońcem, trzymając nogi oparte o zwłoki jakiegoś mężczyzny przebitego sztyletem.

— Chciał mnie zabić! — rzekł Riquet.

Bigorne tymczasem bardzo umiejętnie krępował ręce i nogi innego, niewątpliwie zemdlonego jegomościa.

Buridan spoglądał w dal, w stronę, dokąd zbiegł Valois. Smutne myśli tłoczyły mu się w głowie. Nie cieszył się ze zwycięstwa nad nieprzyjacielem. Myśl o uchronieniu Myrtili przed niebezpieczeństwem nie satysfakcjonowała go w pełni. W uszach brzmiały mu słowa Bigorne'a, wypowiedziane ongiś w wieży Nesle: — „Nie wolno ci zabić tego człowieka. Człowiek ten bowiem jest twoim ojcem”. Toteż walka jego z Valois zdała mu się jakąś okrutną igraszka losu. Westchnął i wyszeptał:

— Zginę może w tej walce, lecz nie zostanę ojcobójcą.

Otrząsnął się wreszcie z dręczących go myśli i odwrócił do towarzyszy. Ujrzał, że Wilhelm po obandażowaniu sobie ramienia łapie konie napastników, biegnące luzem.

— Tak, tak, mój zuchu — odezwał się nagle Bigorne, zwracając się do leżącego na ziemi skrępowanego zupełnie jeńca — nie kiwniesz, mój drogi, nawet paluszkami. Dobry łup, mości Buridan!

Buridan podszedł do jeńca i pochylił się nad nim. Poznał go natychmiast.

— Stragildo! — zawołał takim tonem, że dozorca lwów zdrząłby na pewno ze strachu, gdyby był przytomny i mógł ten głos usłyszeć.

— Tak, to on, we własnej osobie! — odpowiedział Bigorne.

— Nie żyje?

— Gdzie tam! Mam przynajmniej nadzieję, że nie umarł! Oto, co się stało. W chwili kiedy zaatakowaliśmy przeciwników, ujrzałem tego ptaszka. Od razu przyszło mi na myśl, że mój nos mnie nie zawiódł i że to on wywachał kryjówkę panienki. Widocznie czujemy z tym jegomościem wzajemną do siebie sympatię, bo zaledwie ujrzał mnie, skierował niezwłocznie swą szkapinę w moją stronę. Potem zeskoczył z siodła i pośpieszył paść w moje ramiona. Ja z wielkiej radości zdzieliłem go ręką i mieczem. Jęknął boleśnie i upuścił na ziemię sztylet. Koniecznie chciał porwać mnie w ramiona, zaczęliśmy się więc szamotać. Nie chciał mnie zabijać — broń Boże! Zwarliśmy się w braterskim uścisku! Mój Boże, co to był za uścisk! Poczulem wreszcie, że mój przyjaciel zaczyna tracić siły, słabnąć, wtedy skrępowałem mu ręce i nóżki...: no i... koniec!

Buridan odetchnął z ulgą i rzekł:

— A wiec żyje? To dobrze!

„Hm! — pomyślał Bigorne — zdaje mi się, że Buridan przygotowuje dla naszego przyjaciela Stragilda jakąś niespodziankę. Nie chciałbym być w jego skórze”.

— Jakie masz, panie, względem niego zamiary? — zapytał głośno.

— Powiedziałem ci to już wtedy, kiedy w Różanej Zagrodzie szliśmy do jego improwizowanej celi w piwnicy!

— Ach! Niby jego pomoc w sprawie Gautiera i Filipa!

— Zresztą — o tym potem. Teraz trzeba się liczyć z tym, że Valois postara się zebrać jak najliczniejsze posiłki i najwyżej za godzinę wróci tu. A więc w drogę!

Bigorne przy pomocy Wilhelma i Riqueta przerzucił zemdlonego Stragilda przez siodło jednego ze złapanych w polu nieprzyjacielskich koni. Potem wszyscy przygotowali się do wymarszu. Na koniec Buridan poszedł po Mabel i Myrtillę. Obie kobiety były już gotowe do drogi. W obecności kilku wieśniaków, przerażonych całą przygodą, ruszyli w kierunku Montfaucon, to znaczy w zupełnie przeciwnym niż to sobie zaplanowali. Dopiero na dole, u podnóża góry, zmienili kierunek i ruszyli w dalszą drogę.

Nie upłynęła godzina, kiedy jak to przewidział Buridan, około dwustu konnych, na których czele jechał Valois, ukazało się we wsi Montmartre. Wdarli się do chatek, budząc uśpionych mieszkańców i grożąc im śmiercią, jeśli nie wskażą kierunku, w jakim udali się zbiegowie. Rzecz oczywista, wieśniacy zaczęli mówić o Montfaucon i Valois niezwłocznie ruszył śladem zbiegów.

Dopiero nad ranem pościg powrócił do Tempie... z próżnymi rękami. Wszyscy byli przekonani, że uciekinierzy znaleźli sobie jakąś kryjówkę w Paryżu.

Tymczasem całe towarzystwo przybyło do Roule. Choć miejscowa oberża była bardzo nędzna, jednak Mabel i Myrtilla postanowiły w niej zamieszkać.

Stragildo odzyskał nareszcie przytomność. Widząc, że sprawy jego źle stoją, opanował wzburzenie i zaczął obmyślać plan ucieczki. Widział, że nikt na razie nie godzi na jego życie. Zwycięzcy wiele już mieli po temu sposobności, a tymczasem żył

jeszcze. Buridan usiłował wydobyć z niego jakieś szczegóły, krótko mówiąc, pociągnąć go za język. Stragildo jednak milczał uparcie. Ale gdy Buridan dotknął ręką jego piersi, jeniec nie mógł powstrzymać się od ruchu ręką, jakby chciał nią zasłonić coś, co się znajdowało w kieszeni kaftana.

— Ma coś w kieszeni — rzekł Buridan.

— Właśnie to samo pomyślałem. — przytaknął Bigorne, po czym przystąpił do osobistej rewizji jeńca. Na piersiach, w skórzanej wewnętrznej kieszeni ubrania, odkrył jakieś dwa pergaminy. Stragildo pienił się z gniewu. — Och! Pieczęcie królewskie! — wykrzyknął Bigorne. — Spójrz tylko, mości kapitanie!

Buridan zaczął czytać dokumenty i ucieszył się niezmiernie. Były to dwa rozkazy z podpisem i pieczęciami królewskimi. Jeden z nich polecał wszystkim prefektom straży i łucznikom wykonywać ściśle rozkazy wydane przez okaziciela niniejszego dokumentu. Rozkaz drugi skierowany był do straży miejskich, których posterunki na moście miały o każdej porze dnia i nocy otwierać okazicielowi bramy miejskie. Buridan nie mógł ukryć swej radości ze zdobycia tak ważnych dokumentów. Złożył je starannie i schował.

Stragildo udawał obojętność. Był spokojny, leżał z zamkniętymi oczami. Z nerwowego jednak drgania twarzy widać było, że dusi go wściekłość. Buridan położył mu rękę na ramieniu. Stragildo drgnął, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza i rzucił na młodzieńca pełne nienawiści spojrzenie.

— Czy to ty sprowadziłeś króla do wieży Nesle? — Stragildo zamknął oczy i zacisnął uparcie usta. Buridan powtórzył: — Czy to ty wskazałeś Valois miejsce, gdzie się ukryła moja narzeczona? — Znowu milczenie. — To ty zaszłyś Gautiera i Filipa d’Aulnayów do worka i strąciłeś ich z wieży Nesle do Sekwany?

Stragildo znowu nie dał żadnej odpowiedzi, tylko po ustach jego przewinał się ledwo dostrzegalny uśmiech.

Wilhelm, Riquet i Lancelot przysłuchiwali się tej scenie z przerażeniem. Buridan mówił bardzo spokojnie, ale czuć było, że nad głową faworyta królowej zawisły groźne chmury.

— Czy jesteś chrześcijaninem? — zapytał Buridan po chwili milczenia.

Stragildo znowu nic nie odpowiedział, widać jednak było, że drży.

— Nie dałbym grosza za jego skórę — szepnął Wilhelm.

— Milczysz? Dobrze! Rób, jak chcesz. Posłuchaj tylko i spożytkuj to, co usłyszysz. Jeśli jesteś chrześcijaninem, postaraj się pogodzić z Bogiem. Jeśli umiałeś kiedyś jakąś modlitwę, przypomnij ją sobie i odmów... Postanowiłem bowiem, że musisz umrzeć! Och! Masz jeszcze czas, nie tu odbędzie się twoja egzekucja.

— Uff — odetchnął Riquet z ulgą.

— A dlaczego nie tu? — zapytał Bigorne.

— Bo mam pewną myśl...

Bigorne pokręcił głową, jakby nie dowierzając pomysłowości Buridana. Stragildo zaś na wieść, że wyrok na nim nie będzie wykonany natychmiast uśmiechnął się ironicznie i znacząco. Buridan nie zwracał na nic uwagi. Pośpiesznie opuścił izbę i udał się do kobiet, pomagając im w zainstalowaniu się w nowej siedzibie:

O świcie czterej towarzysze doli i niedoli wyruszyli do Paryża, zabierając ze sobą Stragilda, który miał ręce skrepowane i knebel w ustach. Aby ukryć fakt, że prowadzą ze sobą jeńca, Buridan zarzucił mu na ramiona szeroki płaszcz i zasłonił twarz kapturem.

Bramą św. Honoriusza wjechano do miasta. Wszyscy, wreszcie już bez przeszkód, dotarli do Różanej Zagrody, gdzie postanowiono znowu zamieszkać.

XIV

W TEMPLE

Buridan po przybyciu do Różanej Zagrody pomyślał przede wszystkim o zamknięciu więźnia, tak aby teraz nie mógł już umknąć. Zakuto mu ręce i nogi w kajdany. Mimo to więzień mógł od biedy poruszać się. Postanowiono również mieć go ciągle na oku, wchodzić ciągle do piwnicy i stać pod jej drzwiami kolejno na warcie.

Bigorne zaraz po umieszczeniu Stragilda w piwnicy pośpieszył do ogrodu, aby wykopać kuferek Malingre'a. Do pomocy zabrał Wilhelma i Riqueta. Spotkało ich jednak straszne rozczarowanie. Kufereka nie było...

Podniosły się wrzaski, jęki i narzekania. Całe przezacne grono posiadało teraz zaledwie to, co Bigorne ocalił przed rozrzutnością Buridana, kupującego po tak wysokiej cenie dyskrecję łuczniaka. Co prawda sumka pozostała w kieszeniach Bigorne'a była wcale pokaźna i dawniej wbiłaby w dumę każdego z towarzyszy Buridana, teraz jednak apetyty się zmieniły i oburzenie ich na nie znanego złodzieja nie miało granic.

— Jesteśmy zrujnowani! — oświadczył Riquet. — Aby móc znieść podobny cios, należy się odpowiednio pokrzepić.

Buridan nie zmartwił się wcale tą wiadomością. Układał plan działania. Wieczorem przygotował się do wyjścia... Ale ujrzeni, że puste zazwyczaj okolice Różanej Zagrody nagle dziwnie się ożywiły. Mnóstwo ludzi zaczęło przechodzić tędy, udając się do Tempie. Jakiś minstrel i jakiś żongler wyszli z tłumu i ulokowali się właśnie przed samą Różaną Zagrodą. Jeden z nich śpiewał piosenki, a drugi usiłował zachwycić przechodniów swą zręcznością. Buridan odłożył wyjście na następny dzień. Nazajutrz jednak powtórzyła się ta sama historia. Tłum cieszył się i hałasował, a przyczyną radości była nienawiść do pierwszego ministra, który jak się wszystkim zdawało, był uwięziony w Tempie.

Rozpoczął się proces Enguerranda de Marigny'ego!

Buridan powoli tracił panowanie nad sobą. Przez cały czas trwania procesu nie mógłby wykonać żadnego ze swych planów, od razu bowiem zostałby rozpoznany i pochwycony.

Minęły kolejne dwa dni.

Piątego dnia, już wieczorem, ujrzano tłum rozchodzący się powoli do domów. Wszyscy szli, wydając okrzyki radości. Widok ten sprawiał przygnębiające wrażenie... No bo przecież pan Enguerrand de Marigny został skazany na powieszenie na Montfaucon...

Dobrze — pomyślał Buridan. Mam trzy dni czasu, jeszcze go uratuję!

Wyczekał, aż zapadnie noc. Na razie okolice Różanej Zagrody były zupełnie wyludnione. Paryżanie wrócili do miasta i czekali z niecierpliwością uroczystego dnia, kiedy ujrzą dyndającego na powrozie człowieka, który ich przez tak długi czas terroryzował. Wtedy Buridan oświadczył swoim przyjaciołom, że chce się udać do Tempie, aby rozmówić się z hrabią de Valois.

Wilhelm zaczął kląć na czym świat stoi. Riquet odgrażał się, że należy związać Buridana, tak jak uczyniono to ze Stragildem. Bigorne, blady i niespokojny, nic nie mówił, wiedział bowiem doskonale, że nic nie zdoła zmienić decyzji młodzieńca.

W oczach wszystkich Buridan był stracony. Gdy już wszelkie argumenty przyjaciół zostały wyczerpane, Wilhelm rzekł:

— Jeśli koniecznie chcesz zginąć marnie, idźmy razem na rzeź!

— Nie, nie razem — odpowiedział łagodnie Buridan. — Zakazuję wam towarzyszyć mi. Zresztą przysięgam wam na Najświętszą Panią, że nic mi nie grozi...

Pożegnał swoich towarzyszy i poszedł.

— Już koniec — zaszlochał Wilhelm — już nigdy więcej nie ujrzymy go!

— Kto wie... — zamyślił się Bigorne.

Tymczasem Buridan pewnym krokiem zbliżał się do Tempie. Silny wiatr wstrząsał konarami starych platanów, okalających główne wejście. Myślał o Filipie, który słucha w tej chwili jęku szarpanych przez wichy drzew. Myślał o rozpaczliwej Myrtili, gdy dowie się o śmierci Marigny'ego. Nie czuł teraz w swym sercu nienawiści do tego, którego ongiś tak nienawidził. Nie czuł również litości ani współczucia... nic... Nie chciał tylko, żeby Myrtila płakała...

Stanąwszy przed głównym wejściem, zawołał ha straż.

— Kto tam?! — krzyknął wartownik po przeciwległej stronie zwodzonego mostu.

— Wysłannik królewski! — odpowiedział Buridan.

Takie hasło wywoływało zawsze błyskawiczny skutek.

Most zwodzony spuszczone. Na powitanie wysłannika królewskiego pośpieszył dowódca straży w towarzystwie kilku łuczników. Buridan w milczeniu podał im odebrany od Stragilda rozkaz królewski. Oficer przeczytał go przy świetle pochodni, którą przyświecał mu żołnierz, potem rzekł:

— Dobrze. Możesz, waść, wejść. Dokąd mam pana zaprowadzić?

— Do gubernatora Tempie — odparł Buridan.

Odpowiedź ta usunęła z serca oficera wszelkie wątpliwości i podejrzenia, gdyby w ogóle je miał. Już sama pieczęć królewska sprawiała, że Buridan stawał się osobą nietykalną.

— Muszę rozmawiać z nim niezwłocznie! Przychodzę w imieniu króla! — dodał.

Po kilku minutach oczekiwania wprowadzono Buridana na salę, w której siedział przy stole Valois i pisał, uśmiechając się.

To, co pisał, to były szczegóły egzekucji Marigny'ego. Nie chciał odstąpić innym przyjemności obmyślenia wszystkiego.

Buridan zatrzymał się o kilka kroków od stołu. Był bardzo blady. Milczał.

Nie podnosząc oczu od pisania, Valois zapytał:

— Co masz mi, pan, do powiedzenia?

Uśmiechając się dalej, dokończył rozpoczęte zdanie: „Po czym mistrz miasta Paryża powiesi go, jak to...”. Nie słysząc odpowiedzi, Valois podniósł głowę zdziwiony i ujrzał Buridana.

Oślupiał ze zdumienia. Ręce zaczęły mu drżeć a nerwowo. Z głuchym przekleństwem sięgnął po młoteczek, aby przywołać służbę.

— Jasnie wielmożny panie — rzekł spokojnym głosem Buridan — możesz mnie wtrącić do więzienia, możesz mnie nawet kazać zabić, przyjdzie ci to z łatwością, uprzedzam jednak, że jeśli ja zginę, pan umrze również.. Nic nie będzie w stanie ocalić pana. Lepiej więc wysłuchaj mnie spokojnie. Nie zabiorę ci dużo czasu...

Valois zrezygnował z wzywania służby. Zadawał sobie pytanie, jakim sposobem Buridan mógł zostać posłem królewskim. A więc widział się z królem!

Buridan nie ruszył się z miejsca.

Valois wstał z fotela i stanął po drugiej stronie szerokiego, ciężkiego stołu. Trzymał w ręku obnażony sztylet.

Gość odrzucił daleko swoją broń i skrzyżował ręce na piersiach.

Wreszcie Valois odezwał się pierwszy:

— Wysłucham cię! Powiadasz, że przychodzisz tu jako wysłannik królewski.

— Tak powiedziałem twoim ludziom, panie hrabio, panu zaś muszę oświadczyć, że przyszedłem we własnym imieniu.

Valois uczył, że oblewa go zimny pot:

— Jak udało ci się tu przedostać?

— Zawdzięczam to temu oto pergaminowi, albo raczej pieczęciom królewskim, w które jest on zaopatrzony.

Nie był to jednak ten rozkaz królewski, który pokazał oficerowi posterunku.

Valois pochwycił papier, przeczytał go i zapytał:

— Czy król wręczył ci ten rozkaz?

— Nie. Odebrałem go pańskiemu wiernemu słudze Stragildowi. Jak widzisz, panie, wykorzystałem go.

Hrabia odetchnął z ulgą. Syn jego nie widział się z królem! Syn jego nie przychodził w imieniu króla!

— Co się stało ze Stregilderri? — zapytał z pozorną obojętnością. — Czy jest w waszej mocy?

— Nie — odpowiedział Buridan również spokojnie. — Stragildo nie żyje, zabiłem go.

Valois ucieszył się. Buridan z młodzieńczą niefrasobliwością utrudniał sobie z każdą chwilą sytuację, pozbawiając się możliwości obrony. Hrabia podszedł do płonącego kominka i rzucił w ogień rozkaz królewski, potem znowu wziął do ręki sztylet. Buridan nie przeszkodził mu ani jednym ruchem. Pozwolił spalić się rozkazowi.

Mam go w ręku! — rzekł w duchu Valois. A głośnie dodał:

— Mów dalej. Czego, chcesz?

— Przyszedłem prosić pana o życie i wolność dla trzech ludzi, trzymanyh przez pana w podziemiach Tempie.

— Tak? Cóż to są za ludzie?

Valois zwlekał z osiągnięciem ostatecznego triumfu. Z dziką radością bawił się sytuacją, jaka się wytworzyła. Stojący przed nim młodzieniec umrze. Nienawidził go jeszcze bardziej niż swego rywala Enguerranda de Marigny'ego. Nabiegłe krwią oczy, uśmiech ostry jak najostrzejszy sztylet, drżenie rąk i pobladłych warg — wszystko świadczyło o tym, jak wielką płonie nienawiścią do Buridana. Och! Bo nie tylko wciągnął go w tę zasadzkę, nie tylko był sprawcą ohydnej i złowrogiej sceny na Montfaucon, która o mały włos nie zakończyła się hańbiącą śmiercią, a co jeszcze gorsza — rzucił mu obelżywie, jak nędzarzowi, łaskę życia. Dalej porażka na Pre-aux-Clercs. Ten sam Buridan wdarł się następnie do hrabiowskiego pałacu z bronią w ręku, wdarł się zuchwale, bezczelnie, uprowadzając jego, hrabiego de Valois, jako jeńca... A potem to naigrzanie się jego towarzyszy łą w wieży Nesle... Wreszcie uwięczenie wszystkiego — porażka na Montmartre, znowu życie w niebezpieczeństwie i znowu upokarzająca wspaniałomyślność wroga, z której małodusznie skorzystał.

I to wszystko uczynił ten włóczęga, to zero, jakiś chłystek, studencina, nędzny żak, Jan Buridan, przyjaciel złodziei, włóczęgów i innych ludzi podejrzanego kondycji.

A jednak ów student bez nazwiska był jego... synem. Miał prawo do umieszczenia na swej tarczy herbów hrabiego de Valois, stryja królewskiego. Herb ten mógł być prawnie przez niego noszony. Tarczę jedynie winna była przepasywać „wstęga bękarcstwa”. Nie było to zresztą wcale obelgą. Syn z nieprawego łoża był tak samo dobrym synem, jak dziecko ze związku małżeńskiego. Posiadał prawa i przywileje, a ojciec miał względem niego obowiązki ojcowskie.

Valois nienawidził swego syna. Każde spojrzenie zdradzało tę nienawiść. Najważniejszym jednak powodem była wzajemna miłość Buridana i Myrtili. Obawiał

się również, aby młodzieniec, uniesiony ambicją, nie zechciał zawołać kiedyś:
„Prawdziwym moim imieniem nie jest Buridan, lecz Valois!”

A teraz ma go w ręku! Nareszcie!

Buridan zabrał głos:

— A więc, przede wszystkim Filip d’Aulnay...

— Z tym będzie trudniej. Nie jestem w stanie wrócić życia i wolności nieboszczykowi!

— Nieboszczykowi? A więc Filip nie żyje?

— Tak! Kim są dwaj pozostali?

— Brat Filipa, Gautier d’Aulnay. Czy on również nie żyje?

Czekał z niepokojem na odpowiedź, sądził bowiem, że dzień dzisiejszy przyniesie mu same złe wieści.

— Nie, Gautier d’Aulnay żyje. Czekają go tortury... No, a trzeci?

— Enguerrand de Marigny.

Valois spojrział na Buridana i zapytał:

— Nienawidzisz, waść, Marigny’ego. Zelżyłeś go publicznie. Gonileś go z bronią w ręku na Pre-aux-Clercs, a teraz żądasz jego życia i wolności?

— Nie chcę, aby córka Marigny’ego płakała. Nie chcę, i by żyła z myślą, że ojciec jej padł pod toporem kata.

Valois zachnął się gniewnie, w wyznaniu tym bowiem był najoczywistszy dowód wielkiej miłości Buridana do Myrtili. Była chwila, kiedy chciał rzucić się na młodzieńca, opanował się jednak i odpowiedział z okrutnym uśmiechem:

— Uspokój się, młodzieńcze. Enguerrand de Marigny nie umrze od topora. Czy to już wszystko?

— Tak, panie hrabio.

— No, a jeśli przystanę, jeśli otworzę lochy więzienne i wypuszczę Gautiera d’Aulnaya, jeśli wywiode Marigny’ego z kaplicy, gdzie u stóp ołtarza błaga Boga o przebaczenie, jeśli mu powiem — idź, jesteś wolny... co uczynisz ze mną?

— Zapomnę wtedy, że jest pan moim ojcem... Ty uczynisz mi łaskę, ja uczynię ją również tobie...

Valois ścisnął w ręku rękojeść sztyletu, skurczył się w sobie, jakby gotując się do skoku.

Buridan skrzyżował ręce na piersiach i zapytał:

— Co postanowiłeś, panie?

— A jeśli odmówię?

— W takim razie udam się do Luwru, do króla... Król każe mnie pochwyć i wydać katowi, przedtem jednak zdołam mu wszystko opowiedzieć. Przekonam go, że królowa, uwięziona w chwili, kiedy nie popełniła względem swego męża żadnego grzechu, że królowa jest może mniej winna niż się zdaje. Pchnął ją w otchłań zbrodni jeszcze jako młodą dziewczynę ambasador króla Filipa przy dworze burgundzkim — Karol hrabia de Valois.

Hrabia osunął się zdruzgotany na fotel. Błądził po pokoju spojrzeniem. Wpatrywał się w drzwi zupełnie tak, jakby się obawiał, że straszliwe słowa, padające z ust Buridana, zostaną podsłuchane przez kogoś z oficerów. Z wielkim wysiłkiem opanował zdenerwowanie i próbował zaśmiać się szyderczo.

— To prawda! Znasz tę tajemnicę. Lecz przypuśćmy nawet, że wyjdiesz stąd cało i że król wysłucha tego, co chcesz mu powiedzieć, mimo to jednak nie uwierzy ci!

Buridan, ciągle spokojny, odparł:

— Król nie uwierzy mi, to prawda! Będzie mógł bowiem przypuszczać, zresztą pan go o tym przekona, że jest to zwykła z mej strony zemsta...

— A więc?

— Ale król uwierzy królowej!
— Królowej?! — wybełkotał Valois, tracąc panowanie nad sobą.
— Królowa jest uwięziona... Król może królową zapytać, czy ja mówię prawdę, czy też nie. Królowa zaś potwierdzi wszystko.

Valois podniósł się z miejsca. Prawda słów Buridana biła w oczy. Jeśli młodzieńcowi uda się dostać do króla — Valois zginie.

— Nędzniku — warknął — nie wyjdiesz stąd żywy!

— Jeszcze ostatnie słowo! — zawołał Buridan. — Jeśli stąd wyjdę, dam panu dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Jeśli nie wyjdę, nie pozostanie panu nawet jedna godzina. Ktoś, kto czeka na mnie, nie widząc mnie wychodzącego, uda się do Luwru... Ów ktoś będzie na pewno przyjęty... Owym kimś jest Lancelot Bigorne!

— Lancelot Bigorne! — wykrztusił Valois oszalały z przerażenia.

— Tak, pański dawny służący!

Zapadło długie i ciężkie milczenie. Valois umierał po prostu z niepokoju i lęku. Wbił szkliste spojrzenie w Buridana, który z kolei przyglądał mu się z litością. Wreszcie Buridan pierwszy przerwał męczącą ciszę.

— Wielmożny panie, pana Marigny'ego mają powiesić na męki za trzy dni. Jeden dzień już prawie upłynął. Daję panu jutrzejszy dzień na wykonanie mojej woli. Jeśli jutro wieczorem o godzinie piątej Gautier i Marigny nie odzyskają wolności, udam się do Luwru i wyznam królowi wszystko. Król zbada Małgorzatę i najbliższą noc spędzisz, hrabio, w podziemiach Tempie...

Pierś Valois podniosła się westchnieniem. Skinął głową na znak zgody, a potem cofnął się w głąb pokoju. Buridan podszedł do niego. Przyglądał mu się jakiś czas, a później szepnął z wielkim smutkiem w głosie:

— Bądź zdrow, mój ojczy.

Wyszedł z pokoju więcej się już nie oglądając. W przedpokoju ujrzał służącego, który odprowadził go dalej. Wkrótce stanął na zwodzonym moście, a niebawem przed Różaną Zagrodą, gdzie grono przyjaciół porwało go w objęcia i zaczęło ścisnąć. Szaleli z radości.

— Do stu tysięcy fur beczek! Do stu tysięcy batalionów diabłów! Siadajmy wobec tego do stołu! — wrzasnął dzikim głosem nieprzytomny z radości Wilhelm Wichura.

— Wiedziałem, że ujdiesz z życiem! — szepnął Bigorne.

XV

NAJWYŻSZY WYSIŁEK

Przy stole Buridan zaczął opowiadać przyjaciołom wszystkie swe przygody.

— Wynika stąd, że uda się ocalić Enguerranda de Marigny'ego! — rzekł Riquet. — Tam do diaska! Tym gorzej, moi państwo, tym gorzej.

— Hm! Nie martwcie się zawczasu! Marigny nie wydostał się jeszcze ze szponów Valois. Z hrabiego stary, szczwany lis. Niejedną sztuczkę ma w pogotowiu — ostrzegwał Bigorne.

— A co powie na to Gautier, gdy się dowie, że pan de Marigny jest uratowany?

— Gdy obaj będą wolni, Gautier będzie mógł go wyzwąć — skonstatował Buridan i zaczął już myśleć o tym, jakby wyperswadować Gautierowi zemstę.

Długo przewracał się w pościeli, rozmyślając o tragicznym losie biednego Filipa d'Aulnaya i o tym, że ani Gautier, ani Marigny nie wydostali się jeszcze, jak to powiedział Bigorne, ze szponów Valois... Wreszcie usnął zmęczony.

Nazajutrz dzień dłużył mu się. W miarę upływu czasu Buridana zaczęła pożerać gorączka niepokoju. Niepodobna było jednak przypuścić, że Valois nie dotrzyma słowa. Chodziło tu przecież o jego życie. O czwartej postanowił wyjść do miasta.

Wilhelm pozostał, aby pilnować piwnicy, w której był zamknięty Stragildo. Riquet miał zająć punkt obserwacyjny na poddaszu i czuwać nad bezpieczeństwem Różanej Zagrody, natomiast Bigorne udał się wraz z nim.

— Zastanówmy się chwilę — zagadnął Bigorne — wyobraźmy sobie, że o piątej na zwodzonym moście Tempie ukażą się Marigny i Gautier. Cóż uczynisz wtedy, panie?

— Udam się na ich spotkanie — odpowiedział Buridan.

Bigorne potrząsnął przecząco głową.

— Wyobraź sobie, panie, że Valois postarał się tak wszystko urządzić, aby uniemożliwić ci widzenie i się z królem! Wyobraź sobie, że w chwili kiedy zaczniesz iść na ich spotkanie, z Tempie wypadnie ze dwustu łuczników, porywając ciebie i obu więźniów! Pozwól więc, panie, że ja będę działać!

— Zgoda, Bigorne! Przyjmuję twoją pomoc w tej trudnej chwili.

— Dobrze. A teraz wyobraź sobie, że drzwi Tempie nie otworzą się i Gautier nie odzyska wolności, nie mówiąc już o Marignym. Co uczynisz?

— Zaczekam aż do szóstej — odpowiedział Buridan — a potem udam się do Luwru.

— Jesteś na to zdecydowany?

— Tak!

— Dobrze. W takim razie pójdziemy tam razem...

Teraz, po omówieniu najważniejszych spraw, milczeli. Byli już zupełnie blisko Tempie. Bigorne podprowadził Buridana aż do gęstego żywopłotu, spoza którego mogli przyglądać się głównej bramie zamku. Usiedli na trawniku. Wpatrywali się w bramę przez otwory w żywopłocie i czekali.

Wbrew zwyczajowi most zwodzony Tempie był podniesiony. Zdawało się Buridanowi, że jest to cicha groźba ze strony Valois. Gdy wreszcie wybiła godzina piąta, uczył gwałtowne wzruszenie. I znowu popłynęły minuty, a most zwodzony nie opadał. Buridan gryzł pięści. Nie zamienili z Bigorne'em ani słowa, tylko od czasu do czasu dłoń Bigorne'a dotykała ramienia Buridana, zmuszając go do tego, aby usiadł. Godzina ta była jedną z najdłuższych, jakie w swoim życiu przeżył.

Wybiła szósta. Buridan warknął wściekle:

— Do Luwru!

— Niech będzie do Luwru! — odpowiedział Bigorne.

Poszli ulicą Vieille-Barbette, potem poprzeczną uliczką wybiegli na ulicę św. Marcina. Buridan nie mówił nic, wyglądał jednak strasznie. Bigorne wzdychał i odmawiał modlitwę za umarłych. Był przekonany, że idzie na śmierć, i modlił się za swą duszę w obawie, że ksiądz nie zajmie się tą sprawą dostatecznie żarliwie. Zdobywał się na wspaniałe gesty. Wierzył w to, że nie ujdzie z życiem z Luwru, a jednak nie wahał się towarzyszyć Buridanowi.

Biegli właśnie ulicą św. Marcina, gdy nagle zagrał dzwon kościelny, zupełnie tak, jakby chcąc spełnić tajemne życzenie Bigorne'a, troszczącego się o zbawienie swej duszy.

— *Mea culpa! Mea culpa!* — mruczał zapamiętale Bigorne.

Zaraz odezwał się dzwon drugi, trzeci, potem wszystkie... Wszystkie dzwony całego Paryża grały teraz ponurą pieśń żałoby!

Buridan i Bigorne przystanęli wsłuchani w głos dzwonów. Na ulicach zaczęli gromadzić się ludzie. Kupcy powybiegali ze sklepów. Każdy pytał się niespokojnie, co się stało. Kumoszki pokłękaly na środku ulicy, modląc się, a hen, wysoko, płynął żałośliwy jęk dzwonów, niosących światu żałobną wieść.

- Och! — szepnął Buridan. — Co się dzieje?
— *Mea culpa! Mea culpa!* — powtórzył Bigorne powściągając wściekłość.
— Zresztą niech się dzieje, co chce. Do Luwru! Do Luwru!

Już chciał biec dalej, gdy nagle z za zakrętu ul. św. Marcina wyłonił się tłum podobny do jakiegoś fantastycznego, sennego widziadła. W miarę tego jak tłum posuwał się naprzód, jęki i rozpaczliwe krzyki wybuchały coraz głośniej. Kobiety, klęcząc, błagały o litość. Mężczyźni szli za ich przykładem. W powietrzu brzmiał jeden wielki, żałośliwy jęk. Cały ten lamentujący tłum przystawał co chwila, wydając pełne bóleści okrzyki, a potem, jakby na umówiony znak, ruszał dalej. Zrównał się wreszcie z Buridanem i Bigorne'em, którzy stali w miejscu, zdjęci jakimś mistycznym lękiem. W sercu obu zrodziło się jeszcze niejasne, lecz już okropne przeczucie nowego nieszczęścia.

Wśród tłumy, idącego środkiem ulicy ze szczególnym lamentem, zauważyli dwunastu chłopców w strojach chórzystów, biorących udział w mszy żałobnej. Jeden z nich szedł na czele z małym dzwonkiem, którym potrząsał co jakiś czas. Za nim postępował zakonnik olbrzymiego wzrostu, z głową osłoniętą czarnym kapturem. W ręku niósł wielki krucyfiks owinięty kirem. Potem szło sześciu ludzi z pochodniami. Za nimi dwunastu halabardników z pochylonymi ku ziemi halabardami. Wreszcie przysięgły herold miasta Paryża na czarnym koniu, prowadzonym za uzdę przez dwóch masztalerzy. Dalej szereg ludzi z pochodniami, znowu dwunastu halabardników... wreszcie tłum. Fantastyczny pochód co dwadzieścia kroków przystawał.

Zatrzymał się tuż przed Buridanem, który na jego widok nie mógł powściągnąć uczucia dziwnego niepokoju.

Herold rozwinął długi zwój pergaminu i krzyknął do nośnym głosem:

— Podajemy do wiadomości wszem i wobec, i każdemu z osobna, naszym panom szlachcom, mieszczanom i kmieciom, wszystkim proboszczom wszystkich paryskich kościołów, że od dnia dzisiejszego począwszy, przez cały miesiąc mają odprawiać się we wszystkich kościołach stolicy i całego państwa nabożeństwa. — Herold zatrąbił w róg, potem rozwinął drugi pergamin i znowu zaczął czytać: — W imieniu króla jegomości, my, Jan-Baptysta Biron, woźny przysięgły miasta Paryża, abiturient uniwersytetu, herold królewski prefektury paryskiej, z boleścią i żalem podajemy do wiadomości wszystkim tu obecnym, że powyższe modły, nakazane przez króla, mają na celu ubłagać Pana Naszego i Stwórcę oraz Najświętszą Pannę Maryję i wszystkich Świętych Pańskich, aby raczyli przyjąć do swej chwały duszę wysoko urodzonej i możnej księżnej Małgorzaty Burgundzkiej, królowej Francji, wielce cnotliwej i umiłowanej małżonki naszego panującego nam z bożej łaski króla Ludwika X, która to księżna i małżonka zmarła w kwiecie wieku w pałacu królewskim — Luwrze dzisiejszego wieczoru, dnia dwudziestego drugiego września roku Pańskiego 1314.

Znowu zatrąbił w róg, a na ten znak wybuchły głośnie lamentsy i okrzyki rozpacz. Księża zaczęli wołać:

— Módlcie się, bracia! Módlcie się, siostry! Módlcie się za duszę królowej!

Niezwykły pochód ruszył, pobłyskując pochodniami, z jękiem i głośnym płaczem, który płynął szeroką falą, zalewając powoli cały Paryż. Żal z powodu zgonu Małgorzaty Burgundzkiej był zupełnie szczery, lud bowiem kochał ją bardzo.

Buridana wieść ta przybiła całkowicie.

— Nie żyje! — warknął. — Małgorzata nie żyje! Valois triumfuje!

— A więc nasza wyprawa do Luwru na nic się nie przyda, panie kapitanie! — rzekł Bigorne z dawną niefrasobliwością w głosie. — Wierz mi, chcesz niemożliwości. Pan Marigny jest skazany i Bóg mi świadkiem, że zasłużył na to... Pomyśl tylko, ilu ludzi kazał powiesić, aby zagarnąć potem ich mienie. Pomyśl o braciach d'Aulnayach! Twoi

przyjaciele... Przysięgam, że gdyby ci się udało uratować mu życie, popełniłbyś zbrodnię...

— To ojciec Myrtili! — odparł głucho Buridan.

— Zresztą tak czy owak Małgorzata nie żyje. Valois już się ciebie nie boi. Nie należy więc upierać się przy swoim.

Buridan w milczeniu zawrócił w stronę Różanej Zagrody. Wrzał z tłumionego gniewu. Los sprawił, że właśnie teraz Małgorzata musiała umrzeć!

— Pozostał mi jeden dzień! Będę mógł jeszcze uratować życie ojcu Myrtili.

Zapadała noc.

Buridan i Bigorne dotarli do ulicy Vieille-Barbettev Z daleka napływało echo jęków i modlitw za duszę zmarłej królowej.

— Ocalę go! — powtórzył z uporem Buridan.

Nagle tuż przed nimi w okolicach Tempie błysnął szereg pochodni. Czy to również pochód żałobny? Przypuszczenie to jednak rozwiało się niezwłocznie; przyjaciele bowiem ujrzeli tłum jeźdźców, posuwający się naprzód zwartymi szeregami. Buridan znowu czuł, że zawisło nad nim nieszczęście. Błędnym wzrokiem wpatrywał się w orszak, opuszczający mury Tempie.

Bigorne szarpnął go za rękę i pociągnął za żywoplot:

— Uwaga! To żołnierze hrabiego de Valois!

Podczas gdy Buridan z lękiem zadawał sobie pytanie, co znaczy taki nocny wypad, Bigorne szepnął mu do ucha:

— Żądałeś od niego życia Marigny'ego! Patrz, panie! Oto, jaką zgotował ci Valois odpowiedź.

Istotnie, za pięćdziesięciu jeźdźcami postępowało dwóch księży! Za nimi szedł kat miasta Paryża, Capeluche, a za Capeluche'em jakiś człowiek boso, w pokutnej koszuli, z powozem na szyi i z gromnicą w ręku! Był to Enguerrand de Marigny!

W ślad za nim jechał hrabia de Valois, wpatrując się w pognębionego wroga z pełnym okrucieństwa uśmiechem. Następnym pięćdziesięciu zbrojnych zamykało pochód.

Buridan wpatrywał się w ten ponury obraz szeroko otwartymi oczami. Stał jak skamieniały.

— Chodź, panie! — rzekł Bigorne, gdy pochód wyminął ich.

Wyszli z ukrycia i zmieszali się z tłumem mieszczan, komentujących to straszliwe widowisko. Buridan zbliżył i się do jednego z nich, grzecznie go pozdrowił, potem zapytał:

— Co to było?

— Widzę — odpowiedział pogardliwym tonem mieszczanin, że pan nie jest paryżaninem! To zdrajca Marigny, ciemiężyciel ludu, kat biedaków. Wiodą go teraz do katedry na kościelną pokutę.

— Ale jak mi się zdaje, skazańcy odbywają pokutę kościelną ostatniej nocy przed egzekucją?

— Tak... No więc co?

— A przecież zdrajca ma być powieszony dopiero pojutrze rano.

— Nie słyszałeś pewnie obwieszczenia, które herold ogłosił w ciągu dnia. Termin egzekucji przyśpieszono. Dziś o świcie pan de Marigny zawiśnie na Montfaucon...

Buridan zadrżał.

— Bigorne, posłuchaj!

Zaczął szeptać coś na ucho Lancelotowi. Ten, zrazu przecząco potrząsnął raz i drugi głową, potem jednak pobiegł za oddalającym się orszakiem.

— Uratuję go! — powtórzył raz jeszcze Buridan z przekonaniem.

Po godzinie był już w Dzielnicy Cudów. Na błotnistym placu stały porozstawiane stoły. Tłum pił i śpiewał, a blask smolistych łuczycy oświetlał groźne twarze włóczęgów i pomięte twarzyczki ladacznicy. Wielka radość panowała dziś w Dzielnicy Cudów. Buridan nie zwrócił na to uwagi, lecz kazał się natychmiast zaprowadzić do księcia Egiptu, którego Dzielnica Cudów obrała na następcę Hansa. Gdy stanął przed nim, ten nie wyraził radości ani zdziwienia, jednak z tonu, jakim poprosił Buridana, aby zajął miejsce w fotelu, z gatunku wina, jakie kazał gościowi podać, widać było, że żywi tajoną nadzieję, iż Buridan powrócił na dłużej do Dzielnicy Cudów.

— Bądź pozdrowiony, kapitanie Buridan — rzekł, trącając się z gościem kubkiem wina.

Buridan spojrzał mu prosto w twarz i odpowiedział:

— Książę, wracam do was...

Książę Egiptu uśmiechnął się i szepnął:

— Och, jeśli kapitan Buridan zechce przyjąć berło króla złodziei, ujrzymy wielkie rzeczy w Dzielnicy Cudów i w całym Paryżu.

— Źle mnie zrozumiałeś — przerwał mu Buridan. — Wróciłem do was nie po to, aby zostać waszym przywódcą, lecz dlatego że potrzebuję pomocy twojej i twoich ludzi.

— Będzie to wielkim szczęściem dla nas dopomóc i kapitanowi Buridanowi. Mów, czego chcesz. Czy naszego życia?

— Książę, wysłuchaj mnie... Czy nigdy j nie miałeś chęci wydrzeć z rąk kata któregoś z waszych ludzi w chwili, gdy szedł na egzekucję?

— Każde życie ludzkie ma jednakową cenę — odpowiedział poważnie książę Egiptu. — Gdy jeden z naszych pochwycony zostanie przez strażników, tym gorzej dla niego. Taka jest nasza zasada. Niech sobie sam radzi. Po co mielibyśmy narażać życie jednego lub kilku spośród nas, aby uratować życie tylko jednemu?

— A gdyby jednak powstała myśl wydarcia z rąk kata takiego, który ma być powieszony... Co by się wtedy stało?

Blady uśmiech wypłynął na usta księcia Egiptu.

— Gdybyśmy powzięli taką decyzję, po paru godzinach więzień byłby wolny. Nie zatrzymałyby go najgrubsze mury więzienne. Raczej z więzienia nie zostałyby kamień na kamieniu. Gdyby postawiono obwinionego pod szubienicą, przedarlibyśmy się przez wojsko, powielilibyśmy kata i uprowadzili skazańca, pozostawiając bodaj nawet tysiące trupów na placu.

— Dobrze! — mruknął Buridan.

Zaległo milczenie. Książę Egiptu bardzo spokojnie czekał na to, co mu powie gość.

— A teraz posłuchaj — rzekł wreszcie młodzieniec. — Czy sądzisz, że twoi poddani zachowali o mnie dobre wspomnienie?

Książę wskazał ręką na główny plac Dzielnicy Cudów, na który wychodziło okno jego domu.

— Jest tam około siedmiu tysięcy ludzi. Wszyscy się bawią. Wydaj im jakiś fantastyczny nawet rozkaz. Każ udać się do Luwru, każ porwać króla Francji i przyprowadzić go tutaj. Nie upłynie pięć minut, a w całym królestwie złodziei nie zostanie ani jeden mężczyzna, ani jedna kobieta lub dziecko. Dzielnica Cudów wyruszy na Luwr, a to dlatego, że tak chce kapitan Buridan.

Oko Buridana błysnęło radością:

— Książę, przyszedłem cię prosić o pomoc, bo oto jeden z moich jest w ręku władz... Mają go powiesić!

— Dobrze, człowiek ten będzie ocalony! W jakimkolwiek bądź jest więzieniu, uwolnienie jego musi nastąpić... Jest to tak samo pewne jak to, że jestem księciem Egiptu. Czy go już prowadzą na szubienicę?

— Tak, ale zdążymy w porę. — Buridan odetchnął p z ulgą.

Książe Egiptu mówił dalej:

— Jeśli będzie potrzeba, zamordujemy kata, rozproszymy straż miejską, lecz skazaniec nie zostanie powieszony.

Buridan pokiwał głową z zadowoleniem.

— Kiedy mają go powiesić?

— Jutro rano o świcie.

— Jutro rano? Na jakiej szubienicy?

— Na nowej, nikt jeszcze nie był tam powieszony!

— A więc masz na myśli szubienicę na Montfaucon, wybudowaną przez pana Marigny'ego?

— Tak!

Książe Egiptu drgnął, potem dziwnym głosem zapytał:

— Imię skazańca?

— Marigny! — odpowiedział Buridan.

Przywódca włóczęgów zamilkł. Widocznie spodziewał się to właśnie usłyszeć, nie okazał bowiem zdziwienia. Twarz jego pozostała nieprzenikniona.

— Co myślisz o tym? — zapytał Buridan ochrypłym głosem.

Książe Egiptu wziął go za rękę i pociągnął do okna wychodzącego na główny plac Dzielnicy Cudów, gdzie przy zastawionych stołach ucztowały tłumy obdartusów.

Zaczął mówić:

— Dzielnica Cudów cieszy się, obchodzi uroczyście dzień stracenia swego śmiertelnego wroga, Enguerranda de Marigny'ego. — Buridan zbladł. Szef włóczęgów mówił dalej: — Jeśli wyjdę w tej chwili przed tłum i zawołam: „Kto chce oddać życie za kapitana Buridana?” — przekonasz się, że wszyscy ci ludzie zerwą się z miejsc i krzykną zgodnym chórem: „Ja! Ja!” A teraz, kapitanie, jeśli ty odezwiesz się do nich: „Chcecie oddać swoje życie za moje, a ja chcę ocalić Enguerranda de Marigny'ego. Kto mi w tym pomoże?” Zobaczysz, że wszyscy oni zerwą się z miejsca i rzucają się na ciebie. Każdy będzie uważał za zaszczyt przebić cię sztyletem. Kapitanie Buridan, pan de Marigny jest skazany!

Młodzieniec w milczeniu wpatrywał się w roztaczający się przed jego oczami obraz. Bo oto tysiące włóczęgów utworzyło olbrzymie koło, pośrodku którego znajdowała się wystawiona na poczekaniu szubienica. Zawczasu przygotowany manekin, wyobrażający człowieka, został postawiony pod szubienicą. Zarzucono mu stryzynek na szyję, a potem manekin zawisł w powietrzu... Straszliwy krzyk towarzyszył tej egzekucji. Banda włóczęgów wieszała wyobrażenie Marigny'ego w oczekiwaniu chwili, kiedy zawisnie on na Montfaucon we własnej osobie.

Buridan, nie mówiąc już ani słowa więcej, owinął się w swój płaszcz i wyszedł na plac poprzedzany przez księcia Egiptu, który go odprowadził aż do granic królestwa złodziei.

Wybiła północ.

Marigny'emu pozostało zaledwie kilka godzin życia, miał bowiem zawisnąć na szubienicy o świcie.

— Ocale go! — szepnął Buridan z niezłomną wiarą we własne siły.

Pobiegł w kierunku Różanej Zagrody. Nie dochodząc do niej, spotkał Lancelota spacerującego po ulicy w oczekiwaniu na jego powrót.

— No i? — zapytał Buridan.

— Nie tylko że wiem, gdzie on mieszka, lecz rozmawiałem z nim... Czeka na pana.

— Śpieszmy więc!

Dookoła Chatelet rozciągał się labirynt wąskich, ciemnych uliczek, otaczających stary gmach więzienia. Uliczki te były cuchnące i brudne. Tylko przed główną bramą Chatelet, na obszernym placu, można było odetchnąć swobodniej. Lancelot Bigorne zaprowadził Buridana na jedną z takich uliczek. Zatrzymali się przed niskim domkiem. Żadne okno nie wychodziło na ulicę. Ciężkie, okute żelazem drzwi były pomalowane na czerwono. Nad drzwiami widniało małe okienko.

Bigorne walnął pięścią w drzwi wejściowe. Po chwili okienko otworzyło się. Ukazała się w nim okrutna twarz, oświetlona blaskiem smolistego łuczywa.

— Otwieraj! — odezwał się Bigorne. — To ja rozmawiałem z tobą przed godziną, w chwili kiedy wychodziłeś z Notre-Dame, dokąd odstawiłeś jutrzejszego skazańca.

Buridan przeżegnał się szybko i wszedł do domku. Za nim pośpieszył Bigorne. Mężczyzna zamknął za nimi drzwi. Trudno się dziwić, temu gestowi Buridana. Był dobrym chrześcijaninem, a domek, do którego wszedł, był uważany za nieczysty, bo zamieszkały przez kata.

Gospodarz wprowadził ich do dużej sali, bardzo czystej, a nawet umeblowanej z pewnego rodzaju zbytkiem. Mistrz Capelucho położył na stole pochodnię, a potem ruchem ręki zaprosił gości, aby usiedli. Buridan i Bigorne uczynili gest przeczący. Capelucho nie nalegał, wszyscy więc stali. Kat nie odłożył trzymanego w ręku sztyletu. Spojrzał na gości pytająco.

— Czy znasz mnie? — zapytał Bigorne.

— Nie — odparł Capelucho.

— Jestem tym, kogo o mały włos nie powiesiłeś na Montfaucon.

Capelucho nacisnął silniej sztylet w rękę i odpowiedział:

— Możliwe. Wydają mi skazanego. Odbieram go i albo ścinam mu głowę toporem, albo zarzucam stryczek na szyję i... koniec.

— Jestem Lancelot Bigorne.

— Możliwe.

— A ja jestem Jan Buridan, którego może kiedyś powieszisz. Na głowę moją bowiem jest wyznaczona cena.

— I to możliwe.

Zaległo milczenie. Bigorne był zdenerwowany. Buridan zupełnie spokojny. Wreszcie Capelucho zapytał:

— Czego chcecie ode mnie?

— Zaraz się dowiesz — rzekł Buridan. — Odpowiedz mi przede wszystkim, ile ci płacą za każdego powieszzonego.

— Czasem więcej, czasem mniej. Zależy to od wartości skazańca. Przeciętnie zarabiam tysiąc liwrów na rok.

Nie każdy mieszczanin Paryża może się poszczycić takim zarobkiem. Nie wchodzi w to wynagrodzenie roczne od miasta, które wynosi dwadzieścia sześć liwrów paryskich.

— Capelucho — mówił dalej Buridan. — A gdybym cię poprosił o niezabijanie Enguerranda de Marigny'ego, co powiedziałbyś na to?

— Nie ma rzeczy niemożliwych.

W sercu Buridana zrodziła się nadzieja.

— Jakbyś się do tego zabrał? — zapytał Buridan.

— Tak jak się zabieram do tego w przypadkach, kiedy żona, syn lub brat skazańca przychodzą mnie prosić o to, o co ty dzisiaj prosisz,

— Aha, a więc to już nie po raz pierwszy...

Capelucho wzruszył w milczeniu ramionami, a potem odpowiedział spokojnie:

— Gdyby nie ten pokątny zarobek, nie miałbym trzech tysięcy liwrów dodatkowo, którą to sumę odkładałam co roku. Skazaniec, któremu ocalę życie, przynosi mi więcej niż skazaniec, którego powieszę.

Wybuchnął straszliwym śmiechem.

— Jak to robisz?

— Gdy skazaniec ma być ścięty, nic nie mogę poradzić...

— Tak! Lecz tutaj chodzi o powieszenie!

— Świetnie! Otóż w takim przypadku podcinam zawczasu sznur, który pęka pod ciężarem ciała. Powieszony odzyskuje po chwili przytomność, nie pociągam go bowiem za nogi. W ten sposób życie skazańca jest ocalone.

— To prawda, to prawda! — szepnął Bigorne, słuchając uważnie kata.

— A potem? — zapytał Buridan.

— Potem? Czasem pakują mnie do więzienia na miesiąc, lecz mało mnie to wzrusza, nie boję się więzienia. Czynią to dlatego, abym lepiej sprawdzał stan moich powrozów.

— A skazaniec?

— Życie jest mu darowane, bo sznur pękł, co jest „dowodem, że Bóg, czy też diabeł chcieli jego ocalenia. Odprowadzają go do więzienia, a dalej już mnie nic nie obchodzi. Później trzeba prowadzić pertraktacje z dozorcami, a wiesz, pan, chyba, że oni są ustępliwi.

Po chwili milczenia Buridan zapytał:

— Zgadzasz się więc postąpić z Marignym tak, jak to uczyniłeś z innymi?

— Tak — odpowiedział Capelucho bez chwili wahania. — W oczach jego zapaliła się jakaś iskierka zwierzęcej przebiegłości. — Tylko że tutaj sprawa jest poważna. To można pan minister. Skażą mnie co najmniej na trzy miesiące kozy, no bo stryczek dla pana Marigny’ego nie może być zwykłym stryczkiem. Buridanowi wydało się, że Capelucho chce się cofnąć. Kat jednak dodał nagle: — Posłuchaj więc, panie. Za przygotowanie stryczka dla mieszczanina biorę trzy sztuki złota, nie mniej. Za stryczek dla szlachcica należy mi się nie mniej niż osiem. Za Marigny’ego — ministra oraz za trzy miesiące kozy po dziesięć dukatów. Stanowi to trzydzieści dukatów ani grosza mniej. W przeciwnym razie — do widzenia!

— Opróżnij swoje kieszenie! — zwrócił się Buridan do Bigorne’a.

— Co takiego? — wykrzyknął zdumiony Lancelot.

— Tak! Masz przecie resztę skarbu Malingre’a! Dawaj!

Bigorne nie oponował. Wzrok jego jednak mówił wyraźnie, że jest zrozpaczony. Zaczął wysypywać na stół pieniądze. Wzdychał przy tym tak żałośnie, że nawet serce Capelucho’a wezbrało litością.

Bigorne opróżnił wszystkie kieszenie. Na stole powstał spory stosik złotych monet. Razem blisko trzy razy tyle, ile żądał Capelucho. Olbrzymie ręce kata zaczęły zgarniać chciwie pieniądze, które wkrótce znikły w czeluściach jego kieszeni.

Wtedy Buridan podeszedł do niego, zajął mu ostro w oczy i surowym głosem rzekł:

— Marigny nie umrze?

Capelucho za całą odpowiedź odwrócił się w stronę krzyża i na znak przysięgi wyciągnął rękę.

— To dobrze — odetchnął Buridan. Skinął na Bigorne’a i opuścili domek kata.

Wracając do Różanej Zagrody, Bigorne mruczał pod nosem:

— Kto by to powiedział, że ja, Lancelot Bigorne, wykupię od śmierci pana de Marigny’ego. Święty Barnabo, przyjdź mi z pomocą! Obawiam się, że dostanę ze wzruszenia ataku febry, a może nawet dżumy!

Po powrocie na strych pan i sługa padli na posłanie i usnęli. Ale już o świcie byli gotowi do drogi.

Jednak tylko Bigorne, Wilhelm i Buridan wyszli z domku. Riquet pozostał, aby pilnować Stragilda. Gdy stanęli przy Bramie Malarzy ujrzeli niezliczone tłumy, zmierzające w stronę olbrzymiej szubienicy, której czarna sylwetka rysowała się ostro na zalanym łuną zorzy porannej niebie.

XVI

OSTATNIE CHWILE MAŁGORZATY BURGUNDZKIEJ

Po odejściu Buridana hrabia de Valois pozostał w gabinecie pogrążony w posepnej zadumie. Dopiero gdy zaświtał dzień, otrząsnął się z odrętwienia. Około ósmej rano do pokoju wszedł służący, prosząc na śniadanie. Hrabia postanowił nie okazywać przygnębienia, uważał to bowiem za zgubne dla siebie. Był przekonany, że każdy powtarza w duchu: „Oto jest ten, który wczoraj jeszcze był najpotężniejszym człowiekiem w całym państwie, a którego dziś powieszają tak samo jak jego rywala, Marigny’ego... Na tej samej szubienicy co Marigny’ego!”

Opanował więc wzruszenie i przeszedł do jadalni, rozmawiając po drodze i wydając, jak co dzień, rozkazy. Zasiadł przy stole pod baldachimem w towarzystwie oficerów załogi Tempie. Spożywał posiłek z apetytem i raz po raz zaglądał do pięknie rzeźbionego srebrnego puchara.

Nikt nie zauważył jego zatroskania. Posiłek pokrzepił go bardzo. Po powrocie do gabinetu poczuł, że przybyło mu nieco odwagi. Zaczął rozmyślać nad tym, jak pochwyć Buridana i Bigorne’a. Stwierdził jednak, że za mało ma na to czasu. Potem przyszło mu do głowy, by opuścić Paryż i ratować się ucieczką, lecz byłoby to wyrzeczeniem się z takim trudem zdobytego stanowiska, a jednocześnie uznaniem niewinności Marigny’ego.

Powziął nawet myśl, by zgromadzić wojsko i ruszyć na Luwr, aresztować Ludwika, przeprowadzić rewolucję pałacową i ogłosić się królem. Myśl ta jednak była ryzykowna. Ludwik X był powszechnie kochany... broniono by go. Przez chwilę chciał nawet ulec życzeniu Buridana i wypuścić z więzienia Marigny’ego i Gautiera. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę z tego, że wolałby raczej umrzeć niż zwrócić wolność człowiekowi, którego tak nienawidził. Chciał wreszcie pójść do Małgorzaty i błagać ją o opiekę. Gdy już zaczął poważnie rozmyślać nad ostatnim planem, nagle błysnęła mu jeszcze jedna myśl, jedynie możliwa i praktyczna. Okrutna radość zalała mu serce. Powstał z miejsca i zaśmiał się złowrogo. Potem przywołał oficera i rzucił rozkaz:

— Przygotować eskortę! Wierzchowca! Jadę do Luwru...

Już po godzinie Valois wchodził do gabinetu króla Ludwika.

— *Sire*, przychodzę zdać ci sprawę z zarządzenia, jakie wydałem w sprawie egzekucji Marigny’ego. Jeśli się zgodzisz na to, przyspieszymy ją. Może dobro duchowe obciążonego grzechami ministra straci trochę na tym, mniej bowiem będzie miał czasu na żal za grzechy, ale zyskamy na spokoju. Wiem, że jego przyjaciele noszą się z zamiarem porwania go. *Sire*, musimy pokrzyżować ich plany. Jutro o świcie sprawiedliwości musi stać się zadość. Niech sobie wtedy ci zuchwalcy zabierają jego włoski...

Ludwik skinął obojętnie ręką na znak zgody. Co go mogło obchodzić, czy chce ktoś porwać byłego ministra, czy też nie? Nie wiedział, co jest ważne, a co bez

znaczenia. Nie był nawet pewny, czy jest jeszcze królem Francji, czy też przestał nim być. Nic już dla niego nie istniało. Wiedział tylko to, że jego miłość do Małgorzaty mimo wszystko jeszcze się wzmogła, że nie wolno mu jej już kochać, że Małgorzata powinna umrzeć, a że śmierć jej będzie również jego śmiercią.

Chwilami znowu miał nadzieję... słabą, bladą nadzieję, że gdy już nie będzie żyła, może, może zdoła ją zapomnieć... W przeciwnym razie pamięć o jej zdradzie będzie żyła w nim wiecznie, zatruje mu życie. Nie miał jednak odwagi sam jej zabić, a ona... nie chciała zażyć pozostawionej trucizny.

Valois przyglądał się królowi z uwagą. Niewątpliwie zrozumiał i odgadł zimną obojętność króla na wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z jego miłością. W tej bezbrzeżnej boleści dopatrzył się pomyślnych dla siebie okoliczności.

— *Sire* — rzekł — jakkolwiek ciężki jest ten obowiązek, muszę wykonać me zadanie do końca.

Ludwik zadrżał i szepnął błagalnie:

— Odejdź, mój Valois. Masz już Marigny'ego. Czego chcesz jeszcze?

— Och, *sire*, dziwne rzeczy mówisz. Ja nie mam Marigny'ego... To nie moja sprawa. Marigny jest zdrajcą. Za zdradę został skazany. Jeśli tylko życzysz sobie, może on odzyskać wszystkie swe dawne prawa, a nawet ukazać się znowu na pokojach Luwru.

— Nie, niech się stanie to, co się stać miało.

— Pytasz, czego chcę jeszcze. Chcę twego spokoju, chcę, aby serce twoje nie cierpiało tak strasznie. Wszystko to jest niemożliwe tak długo, dopóki zbrodnia gnieździ się pod dachem Luwru... dopóki oddychasz powietrzem zatrutym wyziewami występku...

— Ona umrze — szepnął król.

— Powiadasz... ona umrze! Nie ma potrzeby, żeby umierała. Należy tylko postarać się, żeby głośny proces oczyścił twój honor...

— Nigdy! — warknął gniewnie Ludwik, podnosząc się z miejsca. — Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli o tym, co się stało. Nie odważę się pokazać moim paryżanom, jeśli będą wiedzieli o... tym... A potem... potem...

Biedak król wybuchnął płaczem. Valois pochylił się nad nim i szepnął:

— Przyznaj się, Ludwiku, chcesz, żeby potomność nie przeklinała jej pamięci.

Chcesz, żeby Małgorzata pozostała dla twego narodu dawnym uwielbianym przez wszystkich aniołem wszelkich cnót. A więc masz rację. Królowa powinna być wolna od wszelkich podejrzeń!

— Nieprawdaż? — wykrzyknął król, wzruszony subtelnością stryja.

— Lecz aby tak się stało, musi odebrać sobie życie!

— Pozostawiłem jej truciznę... Może w tej chwili już nie żyje!

Valois pochylił się jeszcze bardziej nad królem i szepnął:

— Czy chcesz może, żebym ja to uczynił?

— Nigdy! — wykrzyknął Ludwik z przerażeniem na myśl o tym, że może wejść do pokoju Małgorzaty i ujrzeć ją bez życia na jej więziennym łożu. Zawahał się, potem wtulił głowę w ramiona jak przestraszone dziecko i rzekł:

— Idź!

Valois wybiegł z pokoju z radością w duszy.

*

Małgorzata Burgundzka w ciągu ostatnich kilku dni zesła na samo dno rozpaczy. Chwilami dostawała po prostu napędów obłądu. Był to nie tylko skutek przeżyć ostatnich dni, lecz i wpływ trucizny, która dostała się do organizmu ze źle wypłukanej

przez Juanę flaszeczki. Małgorzata bowiem, widząc pozostawioną przez Ludwika na stole flaszeczkę i domyśliwszy się, w jakim celu to uczynił, postanowiła odebrać sobie życie. Przeświadczona, że lada chwila zakończy życie, odurzona działaniem silnej trucizny zażytej w znikomej ilości, spędziła okropną noc. Walczyła ze świadomością zbliżającego się zgonu i męczarnią zrodzonej w tak tragicznej chwili miłości do męża.

Gdy zza ciężkiej zasłony przy oknie zaczął sączyć się świt, wstała z pościeli, zbliżyła się do okna i odsłoniła firanki... Przed oczami jej roztoczył się piękny widok na Stare Miasto, jego dachy i wieże, pokrętne, wąskie uliczki. Hen, w dali widniały mury pałacu Tempie. Sekwana toczyła wesoło swe szafirowe wody, a tuż na wprost niej czerniała posępna wieża Nesle. Poranek był tak promienny i radosny, że nawet mroczna wieża straciła tego dnia swój grobowy charakter. Zdawało się, że wszystkie widma odeszły, pozostawiając ją w spokoju, zadowolone, że krwawa ladacznica poniesie zasłużoną karę.

Małgorzata stanęła w okiennej niszy, przylgnęła twarzą do krat i długo, długo przyglądała się wieży. Patrzyła na nią w tej chwili bez lęku. W tej godzinie, kiedy miała rozstać się z życiem, nie bała się już żadnych widm ani strachów. Czując jednak, że trucizna jakoś nie działa, pomyślała: „To nie była trucizna! Ludwik chciał wystawić mnie na próbę! Ludwik nie chce mej śmierci! Ludwik wciąż mnie kocha! Będę żyła! Jeszcze będę szczęśliwa!”

Nagle podniosła do czoła rozpaloną rękę. Wydało jej się, że coś poruszyło się w jej mózgu, że rozsadza czaszkę, wwierca się w jej głęb. Wkrótce wrażenie to znikło. Po chwili uczuła znów podobny, tylko jeszcze dotkliwszy ból i znowu wszystko minęło. Wpatrzyła się w wieżę Nesle, jakby chcąc się upewnić, że nie jest już ona dla niej groźna.

Wschodzące złote słońce zalewało stary Paryż powodzią światła i blasków. Tysiące przekupni krążyło po ulicach już od rana, zachwalając swój towar. Sprzedawano wszystko: wodę, wina, korzenie, kapustę, mięswo pieczone i surowe, ciastka, drób... Toteż krzyki, jakimi rozbrzmiewały ulice Paryża już od świtu, były nieraz bardziej ogłuszające niż najgłośniejszy wrzask papug w zwierzyńcach. Nie sprzedawano jedynie chleba. Chleb bowiem wypiekał każdy w domu — najbogatszy i nędzarz. Większość ludności w domu przygotowywała również pochodnie i łuczywa, służące do oświetlania mieszkań. Sama wyrabiała taborety i sandały z juchtowej skóry, aby nie brodzić boso po błocie. W domu także krojono i szyto niebieskie robocze bluzy. Słowem w codziennym życiu każdy biedak, rządził się zasadą samowystarczalności. Tylko bogaci byli klientami właścicieli kramów z przeróżnymi zbytkownymi towarami.

O świcie więc Paryż budził się i wylegał na ulicę, śmiejąc się, głośno rozmawiając i ciesząc się na widok słońca, gdy dzień był pogodny, a kuląc się pod ulewnym deszczem, gdy przyszła burza i szaruga.

Tego dnia, jak co dzień, Paryż był gwarny, ulice i bulwary rojne. Małgorzata nie miała bynajmniej powodu do jakichkolwiek obaw lub nerwowych wstrząsów. Przyczyny jej nastroju tkwiły w niej samej.

Całe życie przesunęło się teraz przed jej oczami. Miłość była główną przyczyną wszystkich jej obecnych klęsk. Miłość! A właściwie namiętność, bo nie kochała dotychczas nikogo. Marigny? Szał... młodej, kipiącej życiem dziewczyny. Valois? Próżność... A potem długi szereg przygodnych kochanków... Długi szereg widm, które padły ofiarą jej miłosnego szału. Na swoim sumieniu miała i siostry, które wciągnęła w swoje błoto... Teraz pewnie są bezpieczne. Zdążyły umknąć i zatrzeć za sobą ślady... Tylko ona padnie ofiarą zemsty losu. Buridan... ten, którego chciała odebrać swej córce, ten był mimowolnym mścicielem. Tak los chciał... Tak się stać musiało. Los zemścił się okrutnie, bo oto teraz ona, która nie wiedziała, co to jest czysta miłość,

kocha i... cierpi. Kocha tego, którego zdradziła, własnego męża, a on nigdy już jej nie uwierzy... Wszystko się skończyło. Przekleństwo Gautiera spadło na nią jak grom.

— Nie, nie, Ludwik nie może mnie odtrącić — szeptała spieczonymi wargami, z trudem łapiąc powietrze. — Kocha mnie ciągle! Och! Jak ja go będę teraz kochała! Jak nigdy nikogo nie kochałam! Przeklęta wieżo, żegnaj!

Nagle stanęła przerażona, zwracając błędne spojrzenie na platformę wieży. Ujrzała tam... wyraźnie... widmo Gautiera d'Aulnaya. Widocznie był to wpływ trucizny, która spowodowała zaburzenia systemu nerwowego. Wkrótce nie mogła już sobie z nimi poradzić. Po halucynacjach wzrokowych nastąpiły halucynacje słuchu, węchu... słowem przyszedł atak obłądu.

Wtedy to ujrzała na platformie wieży sylwetkę mężczyzny. Pewna, że jest to Gautier d'Aulnay, zaczęła drżeć na całym ciele i bełkotać:

— Gautier! Człowiek, który przeklął mnie! Och, dobrze wiedziałam, że zginę prędzej czy później, że przekleństwo spełni się! Błagał mnie... Stragildo, nie zawiązuj worka. Nie chcę, żeby ci nieszczęśni byli wrzuceni do wody! Dostyc ofiar! Dostyc zbrodni! Wszehmocny Boże, dostyc! Za późno! Wrzucił ich!

Widziała teraz Stragilda. Widziała wszystkie szczegóły straszliwego morderstwa niewinnych ofiar. Słyszała okrutny śmiech swego sługi. Widziała zaszywanie Gautiera i Filipa w worku, a potem słyszała plusk wody rozstępującej się pod ciężarem wrzuconych ciał i przenikliwy krzyk.

Wpiła się rękami w kraty okienne, wpatrywała się z przerażeniem w okropny obraz, zrodzony w jej chorej wyobraźni, Słyszała głos Gautiera:

— Zaczekaj, bracie, rozpruję worek, wydobędę się z niego i wejdę do wieży, do Wielkiej Wieży Luwru, gdzie się zemszczę na tej niecnej ladacznicy...

Teraz widziała Gautiera, jak wypełził z worka, przepłynął rzekę i zaczął wdrapywać się po schodach wieży... coraz wyżej, coraz wyżej... Patrzył jej prosto w twarz. Zebrała resztę sił, zasunęła firanki i padła na łóżko. Jak długo leżała, nie miała pojęcia...

Raptownie podniosła się, przycisnęła ręce do czoła i jęknęła:

— Słyszę... słyszę... wchodzi na schody... Idzie... idzie. Nie pozwólcie mu wejść tutaj! Ludwiku! Do mnie! Ludwiku! Łaski!

Chciała uciekać, lecz przerażenie przykuło ją do miejsca. Słyszała wyraźnie kroki Gautiera, który po wejściu do Luwru szedł teraz do niej pochylił się nad jej łóżem.

Tym razem nie była to już halucynacja. Nad łóżem Małgorzaty pochyliła się istotnie męska postać. Był to Karol hrabia de Valois. Zadrzał na jej widok. Widział przed sobą jakąś zupełnie obcą, wychudłą kobietę, półmartwą z głodu, nie jadła bowiem już od kilku dni. Czyżby to widmo było dawną, piękną, dumną i wspaniałą w swej zalotności Małgorzatą Burgundzką? Iskierka nadziei, jaka zapaliła się w sercu Vaiois, równie prędko zgasła. Małgorzata była umierająca! Żyła jednak jeszcze! Jeszcze mogła go wydać! Otarł czoło z zimnego potu i mruknął gniewnie:

— Małgorzato, musisz wypić truciznę!

Zdobyła się tylko na okrzyk:

— Łaski! Gautierze, łaski! Nie zabijaj mnie! Ja... Och! Przecież ty nie jesteś Gautierem! Ktoś ty?! Ach! Poznają cię! Ty jesteś Valois! — Wybuchnęła śmiechem i krzyknęła: — Valois! Mój kochanek! Jego tylko brakowało przy mojej agonii!

— Cicho! — syknął Valois — cofając się z lękiem do drzwi.

— Mój kochanek! — wykrzyknęła Małgorzata. — Przyjdźcie tu wszyscy! Widma tych, których kochałam. I ty, Buridan! I ty, Filipie! Gautierze! Wejdźcie! Wejdźcie! Chcę... żebyście weszli wszyscy!

Naraz głos jej się załamał. Drżąca ręka Valois sięgnęła po sztylet. Odrzucił go jednak. Nie należało rozlewać krwi! Błędym wzrokiem zaczął rozglądać się po pokoju, szukając czegoś, czym mógłby zabić Małgorzatę. Nagle znalazł. Pochwycił jej

zwisające aż do ziemi warkocze — cudne sploty lśniących, jedwabistych włosów. Owinął je dookoła szyi Małgorzaty i zaczął zaciskać węzeł coraz bardziej, coraz bardziej... Potem powoli odwinął z szyi bujne sploty, rozrzucił je na poduszce i z wściekłością spostrzegł, że Małgorzata jeszcze oddycha. Z jej obrzękniętych ust padły ostatnie słowa:

— Myrtilla... miej litość nad Myrtillą... Weź pod swą opiekę moją córkę!
Ciałem jej wstrząsnął przedśmiertny dreszcz... znieruchomiła na zawsze...

Valois cofnął się ku drzwiom, oparł się o odrzwia i wbił osłupiałe spojrzenie w trupa. Stał tak prawie godzinę pogrążony w zadumie. Potem opuścił celę i udał się na pokoje króla. Wyglądał strasznie... był śmiertelnie blady i drżący. Skłonił się przed Ludwikiem i powiedział:

— *Sire*, królowa nie żyje!

Król wyprostował się, wydał przeraźliwy okrzyk i padł zemdlony na ziemię. Valois pochylił się nad leżącym, przyjrzał mu się z dziwnym jakimś, chorobliwym zaciekawieniem i szepnął, podnosząc się z klęczek:

— Najdalej za sześć miesięcy będę królem Francji.

XVII

SZUBIENICA, NA KTÓREJ ZAKOŃCZYŁ ŻYCIE ENGUERRAND DE MARIGNY

Lancelot Bigorne, Wilhelm Wichura i Jan Buridan stanęli przed Bramą Malarzy. Tłum wylewał się z wąskiego przejścia bramy jak wezbrany potok. Wszyscy podążali pod szubienicę na Montfaucon. Wiele osób szło z małymi latarkami, na dworze było bowiem jeszcze zupełnie ciemno. Kobiety dźwigały na ramieniu duże kosze z żywnością. Rozmawiano, śmiano się, kłótlive kumoszki kuksały i biły czepiające się ich sukien dzieci, niejeden chłopak uszczypnął w przejściu ładną dziewczynę.

Przekupki zachwalały swój towar:

— Do kiszki! Do kiszki! Do gęsi z farszem!

— Świetne wino, proszę tylko spróbować!

Mieszczanie nawoływali się:

— Hej tam! Chodźcie tutaj!

Kobiety darły się:

— Wilhelmino, pójdz tu! Skończ już raz paplać, bo potem nie znajdziemy dobrego miejsca.

Wesoło było jak na jarmarku. Wszyscy cieszyli się. Wędrowni śpiewacy układali już pieśni i mowy pogrzebowe na śmierć Enguerranda de Marigny'ego, pierwszego wisielca na wybudowanej jego kosztem szubienicy. Bandy studentów włóczyły się, śpiewając wesoło. Zakonnicy, podkasawszy habity, przechodzili od grupy do grupy, szukając darmowego poczęstunku i oglądając się za najbardziej wypchanymi koszami z jadem. Witano ich chętnie nie tylko dlatego, że towarzystwo zakonnika było zaszczytem, lecz i dlatego, że każdy z nich miał na podorędziu wesoły żart i znał moc wierszy i piosenek, budzących śmiech mężczyzn i kobiet,

Cały Paryż wyległ za miasto i podążał na Montfaucon.

Bigorne nie zwracał na nic uwagi. Nie widział nic. Rozmyślał ze smutkiem o dukatach, które przeszły w ręce Capeluchea, kata miasta Paryża.

— I to aby ocalić życie Enguerranda de Marigny'ego — powtarzał z zimną wściekłością.

Istotnie, Bigorne dwa razy już wzbogacony przez przypadek, dwukrotnie został zrujnowany przez Buridana. Złoto Stragilda powędrowało do Dzielnicy Cudów pod pretekstem, że było splamione krwią! Kuferek Malingre'a, zawierający piękne dukaty, też poszedł na marne.

— Ten nasz abiturient to dziurawy worek, nawet skarbów królewskich by mu nie wystarczyło — mruzczał pod nosem.

Zaś Buridan myślał tylko o jednym — chciał stanąć jak najbliżej, aby widzieć i słyszeć, co powie i co uczyni Enguerrand de Marigny, gdy zorientuje się, że uratowano mu życie. Szukał również sposobu wykradzenia go z więzienia.

Teraz z bram Paryża wyloniły się kompanie łuczników i halabardników, a potem ustawiły się w szeregach u stóp olbrzymiej kamiennej podstawy, na której wznosiła się szubienica.

Buridan stanął od strony wschodniej. Szubienicą była zupełnie nowa i niecałkowicie jeszcze wykończona. Capeluche sam miał przynieść powróż. Nieco już później wprowadzono zwyczaj pozostawiania sznurów na szubienicy.

Tłum rozsiadł się na murawie i zabrał się do spożywania śniadania. Blisko godzinę słyhać było jedynie śmiechy i rozmowy zgromadzonych, którzy jedli i pili za spokój duszy Marigny'ego. Tłumy żebraków snuły się między uczującymi, błagając nosowym głosem o datek, a złodzieje kieszonkowi przystąpili do zbożnej pracy opróżniania kieszeni mieszczan.

Nagle śmiechy ucichły. Wszyscy zerwali się na równe nogi. Ze stu tysięcy piersi wyrwał się okrzyk:

— Idzie! Idzie!

Zaświtał już dzień. Słońce wstało, a promienie jego ślizgały się po olbrzymich słupach i grubych łańcuchach posępnej budowli.

Spojrzenia tłumu zwróciły się w kierunku Bramy Malarzy. Z bramy tej wyszedł pochód: długa procesja księży, zakonników, łuczników, za nimi kat, a za katem skazaniec. Cały ten obraz, z tytanicznym budynkiem śmierci, zalany był padającymi z lazuru nieba promieniami słońca.

W miarę jak pochód się zbliżał, w tłumie podnosił się gwar, płynęły obelgi, klątwy, cała nienawiść Paryża wybuchnęła gwałtownie, plując w twarz Marigny'emu.

Minister szedł pośrodku czworoboku utworzonego z żołnierzy uzbrojonych w piki, po części dlatego, aby uchronić go przed napaścią tłumu, po części, aby przeszkodzić przyjaciółom w porwaniu go. Nie miał na rękach ani na nogach kajdanów. Ubrany był w pokutniczą koszulę i trzymał wielką gromnicę w ręku. Szedł boso. Był bardzo poważny i spokojny. Na twarzy jego rozlał się wyraz wielkiej dumy. Zdawał się nie słyszeć ani złorzeczeń, ani wyzwisk. Patrząc na kata, uśmiechał się, a uśmiech ten był taki sam jak wtedy, kiedy przejeżdżał ulicami Paryża na, czele oddziału rycerzy, otoczony dworakami zabiegającymi o jego względy. Zbliżywszy się do szubienicy, Marigny przyspieszył kroku i rzekł głośno do kata:

— Odsuń się. Zasłaniasz mi widok szubienicy, którą ofiarowałem naszemu królowi.

Capeluche usunął się i pozwolił mu iść przed sobą.

Wkrótce orszak zatrzymał się u podnóża budowli. Dwóch mężczyzn zbliżyło się do skazańca, chcąc go wziąć pod ręce, odsunął ich jednak z powagą, potem wszedł na stopnie wiodące na platformę. Odwrócił się twarzą do tłumu. Wśród zgromadzonych zaległa cisza. Skazaniec wyprostował się, podniósł dumnie głowę do góry, spoglądając z wysokości szubienicy jak z wysokości tronu. Wszyscy zrozumieli, że chce mówić.

W tej samej jednak chwili mężczyzna siedzący na koniu i otoczony uzbrojonymi od stóp do głów żołnierzami skinął ręką. Natychmiast dwudziestu pięciu heroldów

stojących u podnóża szubienicy zaczęło wygrywać głośną fanfarę. Owym jeźdźcem, zakutym w stal, był hrabia de Valois.

Marigny zauważył go i wpił w niego wzrok. W oczach skazańca błysnęła pogarda i obelżywe politowanie. Nawet w obliczu śmierci gardził jeszcze swym wrogiem.

Valois zadrżał z gniewu. To pogardliwe spojrzenie znał już od tylu lat. Znowu skinął na heroldów i znowu zabrzmiały trąbki. Tłum zafalował, runął zwartą masą w kierunku wzniesienia pod szubienicą, gdzie kat ze swymi pacholkami zaczął krępować ręce skazańcowi. Potem nagle między dwoma słupami szubienicy ukazało się ciało wisielca, a u jego stóp stanął Capeluche i szarpnął delikwenta z całej siły za nogi.

Przez tłum popłynął głuchy pomruk...

Capeluche i jego pacholki zeszli ze wzniesienia. Trąby przestały grać. Valois ruszył z miejsca i w otoczeniu swej świty zaczął powoli zjeżdżać ze wzgórza.

Wtedy dopiero entuzjazm zerwał wszelkie tamy. Przed szubienicą zaczęli defilować: kobiety, dzieci, mieszczenie, studenci, włóczędzy, mnisi, złodzieje, żonglerzy, rzemieślnicy, wieśniacy, a każdy z nich, mijając szubienicę, lżył trupa Enguerranda de Marigny'ego, chwiejącego się lekko u szczytu rusztowania.

Buridan widział to wszystko. Widział, jak Capeluche zarzucił skazańcowi stryczek na szyję. Widział, jak mu dopomagali w tej czynności jego pacholki. Widział, jak szarpnięto go za nogi, i aż do ostatniej sekundy nie tracił nadziei. Stryczek na pewno pęknie w odpowiedniej chwili. No bo przecież Capeluche złożył uroczystą przysięgę i został hojnie opłacony.

Stryczek jednak nie pękł.

Wtedy serce Buridana wezbrało litością. Pełnymi łez oczami spoglądał na wisielca i szeptał:

— O, Myrtillo! Biedna Myrtillo! .

Tuż przy nim jakiś mężczyzna padł na ziemię zemdlony. Młodzieniec nie zwrócił jednak na to uwagi, wpatrywał się w trupa Marigny'ego jak urzeczony. Wszystko było skończone! Fatalizm zatriumfował. Marigny nie żyje!

Gdy nieco oprzytomniał, zauważył, że tłum rozproszył się już prawie. U podnóża szubienicy stało najwyżej kilkanaście osób, rozmawiając o straceniu tak niedawno jeszcze wpływowego ministra, a i one wkrótce się rozeszły. Było już południe Słońce lało z nieba strumienie gorącego światła, u stóp szubienicy nie było już nikogo... ani trębaczy, ani księży, ani wojska. Wielka cisza zalegała szeroką przestrzeń pobliskich pól i łąk. Nawet najbardziej ciekawi mieli już dosyć widowiska,

Wtedy Buridan ujrzał, że jakiś mężczyzna wdrapał się po słupie na szczyt szubienicy, aby z bliska przyjrzeć się powrozowi, na którym zawisło ciało wisielca. Przypuszczając, że ma do czynienia z wariatem lub człowiekiem, który chce zbeszcześcić zwłoki, Jan zbliżył się do szubienicy. Nieznajomy zeskoczył w tej chwili zwinnie na ziemię, a Buridan poznał w nim Bigorne'a, który rzekł do niego:

— Chciałem przyjrzeć się powrozowi, który miał być podcięty przez mistrza Capeluche'a, a który jednak nie pękł.

— No i?

— Ano — odpowiedział Bigorne, wruszając ramionami. — Capeluche nie podciął go. Stryczek cały... nie tknięty. Okradziono mnie! Chodźmy! Pociesz się, Tristanie! Co u diabła! Twoje łzy nie wrócą życia twemu panu. Umrzeć od febry czy od stryczka — co za różnica. Jedno warte drugiego. Odwagi, na świętego Barnabę!

Buridan zobaczył wtedy, że Bigorne zwrócił się do mężczyzny, siedzącego na wielkim kamieniu z głową ukrytą w dłoniach. Mężczyzna ten, zdawało się, był obojętny na wszystko, co się dookoła niego działo. Był to stary sługa Marigny'ego — Tristan. On to padł zemdlony, w chwili kiedy jego pan zawisnął na szubienicy. On również chciał wszystko widzieć. Wpatrywał się w trupa. Nie mógł jednak widzieć

twarży swego pana, kiedy bowiem tłum zaczął defilować, jeden z pachołków kata wszedł na drabinę i zasłonił głowę Marigny'ego czarnym kapturem. Dużo później dowiedziano się, że król Ludwik X, wiedziony odruchem litości, wydał ten rozkaz, aby osłonić głowę skazańca przed obelżywymi dowcipami gawiedzi i przed żarłocznością drapieżnego ptactwa.

Buridan pochylił się nad Tristanem, dotknął jego ramienia i zapytał go łagodnie:

— Pójdiesz z nami?

Tristan potrząsnął przeczącą głową.

— Pozostanę tu. Muszę spełnić ostatni obowiązek.

— Jaki obowiązek? Co chcesz uczynić?

— Wyczekać nocy, zdjąć ciało mego pana i pochować go uczciwie. Nie wiem, czy jakieś znaczenie mają modlitwy odmawiane przez laików, ale pragnę, aby ziemia, w której spoczną zwłoki mego biednego pana, była pokropiona święconą wodą.

— Może więc pójdiesz z nami — ciągnął dalej Bigorne. — Zdobędziemy tę wodę święconą!

— Mam ją ze sobą — odpowiedział wierny sługa.

Wyjął spod płaszcza sporą flaszkę, którą przed egzekucją, napełnił wodą święconą, zacerpniętą z kropielnicy Notre-Dame.

Buridan był wzruszony. Bigorne pocierał czoło i mamrotał coś niezrozumiałego. Wreszcie, będąc przeświadczony, iż nie zdoła zmusić Tristana do oddalenia się z miejsca kaźni, rzekł do staruszka:

— Bracie, sprawa, którą chcesz przeprowadzić, wymaga pomocy paru osób... dopomożemy ci!

— Niewątpliwie! — dorzucił Buridan.

— O której godzinie chcesz, zacząć? — mówił dalej Lancelot.

— Gdy tylko ściemni się dostatecznie, aby nie ściągnąć na siebie uwagi.

— Dobrze! Musisz jednak poczekać na nas — oświadczył Bigorne jakimś dziwnym tonem. — Musisz ze wszystkim poczekać na nas! Czy obiecujesz mi to?

— A więc do północy! — bąknął za całą odpowiedź Tristan i znowu pogrążył się w smętnym dumaniu.

Buridan i Bigorne ruszyli razem do Paryża.

— Mistrz Capeluche okradł nas bezczelnie — oświadczył po drodze Bigorne.

— Tak — dorzucił Buridan — przysięgam na Boga żywego, że nie opuszczę Paryża, nie ukarawszy nędznika...

XVIII

O TYM JAK MARIGNY, WISZĄC NA SZUBIENICY, ZOSTAŁ JEDNOCZEŚNIE POGRZEBANY I JAK LANCELOT BIGORNE WZBOGACIŁ SIĘ JUŻ PO RAZ TRZECI

Stanąwszy przy Bramie Malarzy, na skraju doliny, gdzie do zboczy wzgórza przytuliło się kilka nędznych chałupek z szynkiem „Pod beczką, z której płynie”, Bigorne wskazał Buridanowi drzwi szynku.

— Czy przypominasz sobie, panie? — zapytał. — Czy przypominasz sobie starcie w tym miejscu hrabiego de Valois z naszymi przyjaciółmi: Wilhelmem i Haudryotem?

— Tak podparł Buridan posępnym głosem — pamiętam.

— I ja również, do diaska! — rozległ się głos Wilhelma, który ukazał się w progu szynku.

Oczy miał pełne łez.

— Co ci to? — zapytał Bigorne ze zdumieniem. — Tak cię wzruszyła śmierć Marigny’ego?

Buridan zaczął sobie w duchu wyrzucać obojętność, z jaką przyjął ten smutny wypadek.

— Śmierć Marigny’ego! — wykrzyknął Wilhelm. — Chętnie szarpnąłbym go za nogi, aby zgon był pewniejszy! Nie oplakuję bynajmniej tego zdrajcy, tego tchórza, tego wisielca. Tylko kiedy został powieszony, kiedy ujrzałem go dyndającego w powietrzu, poszedłem do tej tu budy i piję! A im dłużej piję, tym bardziej mi się wydaje, że to nasz brat Filip wisi na szubienicy. Biedny Filip! — zaszlochał nagle.

— Milcz, pijaku — szepnął Bigorne. — Wino płynie ci z oczu zamiast łez! Postaraj się jednak wytrzeźwieć, jeśli chcesz być obecny na pogrzebie Marigny’ego.

— Co takiego?

— Mości Buridan — mówił dalej Bigorne — niech pan wejdzie do tego szynku, który był niemym świadkiem naszych bohaterskich czynów, aby poczekać tu na chwilę, w której dopomożemy biednemu Tristanowi w wykonaniu jego smutnej powinności.

Buridan skinął głową na znak zgody.

— A ty?

— Ja mam pewną sprawę na mieście. Bądźcie jednak spokojni, wrócę jeszcze przed zamknięciem bram miejskiej

Z tymi słowami Bigorne ruszył szybkim krokiem prosto do Chatelet i wkrótce dotarł do uliczki, przy której stał domek Capeluche’a. Zaczął walić z całej siły do drzwi wejściowych, malowanych na czerwono, aby każdy wiedział, że wiodą one do mieszkania kata. Istniało bowiem szeroko rozpowszechnione mniemanie, że otarcie się choćby tylko o drzwi mieszkania kata wróży nieszczęścia albo w najlepszym razie jest jego zapowiedzią. Kilka głów ciekawych sąsiadów cofnęło się pośpiesznie na widok śmiałka, dobijającego się do czerwonych drzwi.

Wkrótce okienko otworzyło się, w jego obramowaniu ukazała się okrutna twarz Capeluche’a. Poznał Bigorne’a, lecz widząc, że przyszedł sam, wpuścił go do wnętrza.

— No i co? — zapytał szydlerczo. — Kawał nie udał się? A przecież podciąłem stryczek jak się należy... Diabeł chyba wmieszał się w tę sprawę. Coś podobnego przytrafiło mi się po raz pierwszy w życiu.

— Widzisz, kamracie — rzekł Bigorne — zrobiłeś, co mogłeś — podciąłeś stryczek (wiedział o tym, że Capeluche kłamie bezczelnie). Uczyniłeś wszystko, co było w twej mocy. Nie udało się! Ha! Trudno, o jednego łotra mniej na ziemi.

— A więc nie gniewasz się na mnie, że sznur nie dopisał?

— Ja? Zapominasz pewnie, że z rozkazu pana de Marigny’ego sam omal nie skończyłem na szubienicy!

— To prawda!

— Posłuchaj, kamracie, mój pan wydał trzydzieści talarów na to, aby nie pozwolić na powieszenie Marigny’ego, ja dałbym ci dwa razy tyle, za powieszenie go. Dałbym... gdybym miał.

— A więc nie przyszedłeś z żądaniem zwrotu tej sumy?

— Co znowu? Czy to twoja wina, że diabeł, który wtrącił się w tę sprawę, naprawił przecięty przez siebie powróż!

Tym razem Capeluche wybuchnął śmiechem i schował do pochwy sztylet. Nie miał już żadnych wątpliwości ani podejrzeń. Najważniejsze, że nikt nie domagał się od niego zwrotu wypłaconych mu pieniędzy. Capeluche był bardzo skąpy. Teraz był sam w całym mieszkaniu. W razie jakiegoś przeciw niemu wystąpienia, strzaskałby czaszkę napastnikowi.

— Po co w takim razie przyszedłeś? — zdziwił się.

— Czy jesteśmy zupełnie sami?
— Zawsze jestem sam — odpowiedział Capeluche. — Mów bez obawy.
— Chodzi o olbrzymie pieniądze.
— Oho! Czy znowu jakiś skazaniec, którego stryczek należy przeciąć? — zapytał skwapliwie.
Bigorne potrząsnął przecząco głową.
— Nie! Tym razem chodzi o zdobycie wielkich pieniędzy! Gdybym mógł poradzić sobie ze wszystkim sam, na pewno nie chciałbym się dzielić. Jeśli chodzi o mego pana Buridana... lubił on niezmiernie de Marigny'ego i zabiłby mnie, gdyby się dowiedział o kawale, jaki mam na myśli.
Capeluche przysunął Bigorne'owi stołek. Ten rozsiadł się na nim z nonszalancją.
— Może wypijesz, waść, kubek wina? Mam doskonały muscat. — zapytał uprzejmie Capeluche.
— Chętnie!
Kat pośpieszył otworzyć szafkę, wydobyl z niej flaszkę wina i dwa pucharki cynowe i stawiając jeden z nich przed Bigorne'em, powiedział:
— Jeśli kiedy będę miał sposobność zarzucić ci stryczek na szyję, postaram się uczynić to jak najdelikatniej i... jak najszybciej.
— Dziękuję ci, przyjacielu — rzekł Bigorne, blednąc mimo woli, uśmiechnął się jednak ze stoicyzmem.
— Powiadasz, że można zarobić dużo pieniędzy? — zapytał Capeluche, spoglądając badawczo na Bigorne'a.
— Zarobić?! Nie zarobić, po prostu wziąć! Podnieść z ziemi! Zrozumiałeś? Oto, o co chodzi! Tysiące tysięcy dukatów. Fortuna godna dziesięciu najzaciejszych szlachciców. Czy jesteśmy zupełnie sami?
Capeluche napełnił znowu kubki.
— Powiedziałem ci przecież, że mieszkam sam.
— Dobrze. Wiesz na pewno, że pan de Marigny posiadał olbrzymi majątek, wobec którego skarbiec królewski i jest dziecinną zabawką! Wiesz, że przeszukano cały pałac Marigny'ego od poddasza do piwnicy i nie znaleziono jego skarbów. Otóż, bracie, ja wiem, gdzie one się znajdują.
Capeluche zbladł jak ściana. Ręce zaczęły mu drżeć nerwowo.
— To jest, co wychodzi na jedno, znam takiego człowieka, który wie, gdzie się ten skarb znajduje. To stary i wierny sługa Marigny'ego, niejaki Tristan.
— Znam go — rzekł Capeluche. — W owych czasach, kiedy Marigny wieszał ludzi, Tristan przynosił mi od swego pana rozkazy.
— Ślicznie! Otóż ów Tristan był dziś pod szubienicą na Montfaucon podczas egzekucji.
— Widziałem go. Był blady jak śmierć.
— A ja rozmawiałem z nim. Przyznał mi się, że ma pewien projekt, do którego potrzebuje mojej pomocy.
— Co za projekt?
— Chce zdjąć z szubienicy, kiedy noc zapadnie, zwłoki swego pana i pogrzebać go po chrześcijańsku.
— Aha, a ty obiecałeś mu pomoc. Czy wiesz, że Tristan i ty ryzykujecie w tym przedsięwzięciu życiem?
— Ba, na moją głowę jest już nałożona cena. Ale przecież chcąc zdobyć majątek, człowiek musi coś zaryzykować! Ty ryzykowałeś również, obiecując przeciąć powróż.
— To prawda, ryzykowałem więzieniem... a zresztą, kto udowodni, że to wy właśnie zdjęliście wisielca?! Ja na pewno nie powiem. Przysięgam! — z tymi słowami podniósł rękę bardzo uroczystym ruchem.

— Dobrze, dobrze, znam już to... Nie weźmiesz mnie na twoją przysięgę! — mruknął pod nosem Bigorne. — Otóż rozumiesz już pewnie, o co chodzi? Pójdziemy we dwóch na Montfaucon, spotkamy się tam z Tristanem, pomożemy mu przy zdjęciu z szubienicy zwłok Marigny’ego, a po skończeniu tej sprawy zażądamy od Tristana aby nas zaprowadził tam, gdzie jest skarb, i napełnimy sobie kieszenie złotem.

— Odmówi — bąknął Capeluche.

— Wtedy zarzucimy mu stryczek na szyję, najlepiej żebyś ty to uczynił, bo masz w tym więcej wprawy ode mnie. Zapewniam, że gdy sznur zdusi go za gardło zaprowadzi nas wszędzie, dokąd tylko zażądamy.

— Rany boskie! — zawołał radośnie Capeluche.

— Coś powiedział?

— Powiedziałem... Ach! Do diabła! Muszę cię uściskać!

Capeluche porwał Bigorne’a w potężny ucisk swych herkulesowych ramion. Bigorne uczył, że groza zjeżyła mu włosy, lecz ani mrugnął.

— Jeśli przeznaczone ci, mój drogi, zginąć na szubienicy — mówił dalej Capeluche — licz na mnie. Będiesz miał nowiuśki jak z igły stryczek i księdza... gdybym nawet musiał kupić stryczek za własne pieniądze.

— Dobrze, już dobrze — powstrzymał potok czułości świeżo upieczonego przyjaciela. — Czy znasz oberżę pod „Dobrym Kąskiem” u stóp Montfaucon?

— Byłem tam ze swymi pacholkami, aby im wypłaci należność.

— Będę tam na ciebie czekał. Przyjdź, kiedy noc zapadnie, i nie zapomnij przynieść ze sobą stryczka.

— Bądź spokojny! — wykrzyknął Capeluche z donośnym śmiechem.

Bigorne po opuszczeniu domku Capeluche’a uczył, że teraz dopiero ogarnia go lęk... Opanował jednak swą słabość i zajrzał do jakiegoś napotkanego po drodze szynku, gdzie zabrał się do jedzenia, zakrapiając je obficie winem, był bowiem bardzo głodny i spragniony.

Przed samym zamknięciem bram miejskich ruszył do Bramy Malarzy, minął ją i udał się do szynku, w których miał spotkać się z przyjaciółmi. Zastał już tam Buridana i Wilhelma. Zaczął im opowiadać wszystko, co zaplanował. Plan ten widocznie przypadł do gustu Wilhelmowi, bo wybuchnął głośnym śmiechem.

— Chodźmy już — powiedział wreszcie Buridan.

Wraz z Wilhelmem opuścił szynk i udał się na wzgórze Montfaucon. Bigorne pozostał, oczekując na przybycie Capeluche’a.

Zapadła noc. Niebo było czyste, usiane gwiazdami. Księżyc miał wzejść jednak dopiero koło północy, świat tonął więc w mroku.

Nagle otworzyły się drzwi szynku i w progu stanął Capeluche. Bigorne zerwał się z miejsca, podszedł do niego i pociągnął za sobą ze słowami:

— Pośpieszmy się! Czy masz stryczek?

Capeluche odwinął brzeg opończy i pokazał Bigorne’owi powróż, który miał owinięty dookoła ciała. Ruszyli w stronę szubienicy. Capeluche spojrzał na niebo i rzekł:

— Piękna noc... W taką noc przyjemnie jest nawet umrzeć...

— Tak — odparł krótko Bigorne.

Nie rozmawiali już więcej, tylko czym prędzej podążali na wzgórze, na którym czerniały kontury szubienicy. Bigorne był spokojny i zdecydowany na wszystko. Capeluche drżał.

— Niechby tylko przyszedł... ten Tristan! — szepnął, podchodząc do szubienicy.

— Bądź spokojny, nie omieszka się zjawić! Już jest!

Istotnie, tuż przed nimi jakiś cień wyłonił się z mroku nocy. Był to Tristan, który zbliżył się do dwóch mężczyzn i powitał ich słowami:

— Dziękuję wam, dobrzy chrześcijanie, że chcecie dopomóc mi w moim zbożnym przedsięwzięciu.

— Tak — odpowiedział mu na to Bigorne — człowiek z którym tu przyszedłem, jest niewątpliwie dobrym chrześcijaninem. Bądź spokojny, ojcie Tristianie, zdejmie on nawet bez naszej pomocy zwłoki pana de Marigny'ego, nie uszkadzając ich wcale.

— Podejmuję się tego!

— Czy słyszysz, ojcie Tristianie?

— Słyszę, będziecie za to obaj wynagrodzeni tak, jak na to zasługujecie.

Capelucho z trudem powściągnął okrzyk radości. Tristan szedł powoli w stronę lewego skrzydła szubienicy! Zatrzymał się wreszcie przy kępie gęstych zarośli u stóp skały.

— W oczekiwaniu na wasze przyjście przygotowałem dół — oznajmił.

Tuż przed krzakami ujrzeli świeżo wykopaną mogiłę.

— To się nazywa uczciwy dół — rzekł Capelucho, chcąc zdobyć sobie sympatię Tristana. — Czy mam przystąpić do rzeczy zaraz?

— A na co tu czekać? — odparł Bigorne. — Im prędzej, tym lepiej.

Stanęli pod szubienicą, na której chwiały się zwłoki Marigny'ego.

— Daj mi stryczek — rzekł wtedy Bigorne — będzie ci przeszkadzał przy pracy.

Ten kiwnął głową na znak zgody i oddał mu sznur. Zaczął wspinać się po słupie, czepiając się łańcuchów i przecznicy, potem znikł w górze. Po chwili rozległ się jego głos. Siedząc okrakiem na poprzecznej belce, mówił:

— Uwaga, podtrzymujcie ciało, przecinam stryczek... Nagle z ciemności wyłoniły się jeszcze dwie postacie męskie i stanęły tuż przy Bigornie. Byli to Jan i Wilhelm.

Pochwycono ciało nieomal w locie i złożono na kamiennych płytach platformy. W górze słychać było brzęk łańcuchów... To Capelucho zabrał się do złażenia z wierzchołka szubienicy. Wkrótce zeskoczył na ziemię i zawołał:

— Teraz odnieśmy go... Ach! Co to jest?!

Ryknął wściekle i chciał uskoczyć na bok, lecz Bigorne zarzucił mu z błyskawiczną szybkością stryczek na szyję i szarpnął gwałtownie. Capelucho przez sekundę jeszcze usiłował uwolnić się od konopianego krawatu, czuł jednak, że mu krępują ręce i nogi. Potem ujrzął trzech mężczyzn, którzy otoczyli go zwartym kołem, błyskając złowrogo oczami. Szepnął w duchu:

— Jestem zgubiony! Już po mnie!

Bigorne, wiedząc, że Capelucho już nie jest w stanie się bronić, wdrapał się po słupie na szczyt szubienicy. Podśpiewywał przy tym głośno.

Po chwili kat zawisł w powietrzu. Kilka drgnięć, kilka szarpnięć... i na miejscu, gdzie wisiał trup Marigny'ego, chwiały się teraz trup Capelucho'ego.

Tristan nie brał udziału w egzekucji. Gdy ciało pierwszego ministra spadło z góry, wziął je w ramiona i położył na ziemi. Potem ukląkł przy zwłokach i zaczął z wielkim przejęciem odmawiać modlitwy, wszystkie jakie tylko znał, aby ulżyć duszy, jeśli już nie mógł nic uczynić dla ciała swego nieszczęśliwego pana.

Gdy powstał z klęczek, ujrzął przy sobie Buridana, Bigorne'ego i Wilhelma Wichurę.

— Gdzie jest ten poczciwy chrześcijanin, który zechciał dopomóc nam w ostatniej posłudze? — zapytał.

— Spójrz tam, w górę — rzekł Bigorne.

Tristan podniósł głowę i ujrzął chwiejącego się na wietrze trupa.

— Co to ma znaczyć? — wybełkotał zdumiony i wylęknięty.

— Ten człowiek powiesił pana de Marigny'ego! To Capelucho!

Tristan wydał groźny okrzyk straszliwej radości:

— Capelucho!

— Zdradził nas — powiedział Buridan. — Przysiągł nam, że ocali Marigny'emu życie, i nie dotrzymał przysięgi. Oto dlaczego spotkał go taki los.

Teraz Bigorne zdjął z głowy nieboszczyka kaptur, zasłaniający mu twarz, rozebrał go ze śmiertelnej koszuli i znowu, podśpiewując, jął wdrapywać się na szczyt szubienicy. Po półgodzinie był już na dole.

— Gotowe! — oświadczył krótko.

Oto co uczynił: odarł ciało kata z ubrania, a zarzucił na niego śmiertelną koszulę i kaptur. Dzięki temu manewrowi wszyscy ciekawi, którzy chcieli przyjrzeć się nieszczęśliwemu wisielcowi, nie mogli nawet podejrzewać, że chwiejący się na wietrze trup nie jest trupem potężnego ministra Enguerranda de Marigny'ego.

Jedynie Valois, który następnego dnia przybył na miejsce kaźni, jakby chcąc się upewnić, że nic mu już ze strony rywala nie grozi, spojrzawszy na wisielca; zdziwił się i rzekł:

— Można by rzec, że po powieszeniu urósł...

— Capeluche za silnie pociągnął go widocznie za nogi — zażartował któryś z oficerów jego świty.

*

Pochowano zwłoki Marigny'ego w przygotowanym przez Tristana dole. Stary sługa owinął je w czyste prześcieradło, które przyniósł w tym celu z domu. Zasypano samotną mogiłę. Tristan pokropił ją święconą wodą, przyniesioną z kropielnicy katedry Notre-Dame. Od tej chwili ziemia, w której spoczęły zwłoki Marigny'ego, stała się poświęconą ziemią. Wierny sługa obawiał się, że Valois, ciągle jeszcze żądny zemsty, nie pozwoli księżom na dokonanie kościelnego pochówku.

Gdy już cichy pogrzeb się odbył, wszyscy obecni na nim udali się do wioski, gdzie przeczekali noc, i o świcie, z chwilą kiedy zaczęto otwierać bramy miejskie, wrócili do miasta. Buridan udał się prosto do Różanej Zagrody, gdzie zastał czuwającego nad więźniem Riqueta.

— Chodź teraz z nami — rzekł Buridan do Tristana — za kilka dni opuścimy Paryż. Nie masz tu nic do roboty, najwyżej możesz się narazić na zemstę hrabiego de Valois. Po pewnym czasie będziesz mógł wrócić do Paryża, co jest również i moim zamiarem. Muszę koniecznie uzyskać doktorat.

Wilhelm i Riquet wzruszyli ramionami, Lancelot zaczął ryczeć, naśladując ryk osła.

— Czyż to nie jest najlepsza forma zabezpieczenia egzystencji sobie, no i moim najbliższym? Doktorat Sorbony daje możliwość zarobienia na życie tyle, co zarabia przeciętny oficer załogi Luwru.

— Przyznaj, że przepadasz za wygłaszaniem mów! — zawołał Wilhelm.

— Masz bzika na punkcie Arystotelesa! — dodał Riquet.

— Cóż to za cudny osioł! — zawyrokował Bigorne.

Tristan tymczasem rozmyślał nad propozycją Buridana.

— Niech tam! Będę towarzyszył panu w jego podróży! Muszę jednak pozatławić jeszcze pewne drobne sprawy; na których mi zależy. Za parę dni połączę się więc z wami;

— Nie, jak tylko będziesz już mógł opuścić miasto, udaj się do wsi Roulle, gdzie znajdziesz córkę Marigny'ego. Tam zaczekasz na nas. Jeśli będziesz uważał za potrzebne zawiadomić ją o śmierci ojca, uczyn to, bo ja nie mam odwagi.

— Podejmuję się tego smutnego zadania — odpowiedział stary sługa.

Wyszedł z Różanej Zagrody, dając znak Bigorne'owi, aby udał się za nim.

Buridan został z Wilhelmem i Riquetem.

— Pozostaje nam jeszcze uwolnienie Gautiera. Filip już nie żyje, uratujmy życie przynajmniej temu, który pozostał przy życiu. Oświadczam wam kategorycznie, że nigdzie nie wyjadę, dopóki nie wydobędę go z więzienia... Chyba żeby umarł do tego czasu.

Głos Buridana załamał się, a w oczach błysnęły łzy. . -

— Biedny Filip — jęknął Wilhelm Wichura.

— Tak — dodał Riquet. — Był z niego piękny kawaler, choć słabszą miał głowę od Gautiera. Ejże, Janie, nie martw się, uczynimy to samo co ty... Pomożemy ci uwolnić Gautiera.

*

Lancelot Bigorne, jak to już powiedzieliśmy, udał się za Tristanem.

— Mój przyjacielu, dokąd mnie prowadzisz? — zapytał, gdy znaleźli się już w przyzwoitym oddaleniu od Różanej Zagrody. Upprzedzam cię, że mam bardzo dużo pilnej roboty i że nie mam czasu na zwłokę.

— Dzisiejszego dnia przysiągłem dwom ludziom śmiertelną zemstę — powiedział Tristan.

— Dobrze! A cóż to za ludzie, jeśli wolno wiedzieć?

— Cierpliwości! Jeden z nich to hrabia de Valois, który kazał powiesić mego pana.

— A, a, a...— mruknął przeciągle Bigorne, spoglądając badawczo na Tristana.

— Tak. Drugim był Capeluche, który wykonał ten rozkaz.

— Ten ma za swoje... Już się nie liczy.

— Rzeczywiście — odpowiedział Tristan jakimś dziwnym tonem. — Ma już za swoje... i to dzięki tobie, mości Bigorne. Oto dlaczego prosiłem cię, abyś mi zechciał towarzyszyć. Nie pytaj mnie o nic. Pójdź, a zobaczysz, o co chodzi.

Bigorne w milczeniu szedł za Tristanem.

Doszli wreszcie do ulicy św. Marcina i zatrzymali się przy gruzach i zgliszczach.

— Oto, co zostało z pałacu Marigny'ego — zauważył Bigorne.

Tristan nie odpowiedział ani słowa na tę uwagę. Wszedł do nędznego, nie zamieszkanego domku, nie cieszącego się dobrą opinią, gdzie ukrył się w dniu, kiedy nastąpiło aresztowanie ministra. Po wejściu do wnętrza zapalił pochodnię, zszedł do piwnicy, rozgrzebał piasek pokrywający jej dno, podniósł klapę osłaniającą zejście na dół i zszedł po schodach, wiodąc za sobą Bigorne'a. Już w drugiej piwnicy, uzbrojony w motykę, zaczął kuć mur utworzony z olbrzymich bloków kamiennych. Ku wielkiemu zdziwieniu Lancelota gruby mur pod uderzeniem motyki rozpadł się w kawałki, była to bowiem sprytnie zamaskowana skrytka. Ukazała się olbrzymia skrzynia, solidnie okuta. Tristan otworzył ją. Wnętrze jej było wypełnione po brzegi starannie poukładanymi workami. Tristan podniósł jeden z tych worków i otworzył go, nacinając wiązadło ostrzem sztyletu. Z worka wysypał się strumień złotych monet. Bigorne otworzył szeroko oczy i zadrżał.

— Och! Nie chciałbym już nic więcej tylko jeden taki mieszek! Jest w nim na pewno nie mniej niż trzysta dukatów w złocie!

— Tysiąc dukatów — sprostował z powagą Tristan.— To cały majątek.

Pozazdrościłby go niejeden szlachcic. Pomóż mi, Bigorne.

Sługa zaczął wsypywać z powrotem złoto do worka.

Bigorne pomagał mu, wzdychając ciężko:

— Pomyśleć tylko, że byłbym bogatym człowiekiem, gdybym miał dziesiątą część tego, co znajduje się w tym worku!

Tristan zawiązał wór, podźwignął go z ziemi, podał Bigorne'owi i rzekł:

— Jest twój.

Nogi pod Bigorne'em ugięły się ze wzruszenia. Worek wypadł mu z rąk. Przesunął ręką po czole.

— Tak, ten worek jest twoją własnością — powtórzył Tristan. — Stryczek, na którym zawisł Capeluche, wart jest dużo więcej. Jeśli ci nie ofiarowałem pokaźnej sumy, to tylko dlatego, że muszę rozporządzić majątkiem mego pana sprawiedliwie.

— Moje... moje... jest to całe złoto?

Padł na kolana, otworzył worek... Nigdy jeszcze nie widział tylu pieniędzy naraz. Radość jego wyraziła się i w całej serii skoków, które zaczął wykonywać po piwnicy, w nieartykułowanych wrzaskach, wreszcie w rykach imitujących ryk osła. Nagłe uspokoił się i zaczął ścisnąć Tristana.

— Dzięki tobie będę bogaty do końca mego żywota. Nawet gdybym miał żyć sto lat, czego sobie bardzo 1 życzę, jak również i tobie. Lecz to jeszcze nie wszystko. Znam mego pana. To osioł, prawdziwy uparty osioł, bez najmniejszego szacunku dla pięknych, okrągłych dukatów, tak godnych szacunku. Wyobraź sobie, że dwa razy już się wzbogaciłem. I dwa razy zrujnował mnie do cna. Boję się. Jeśli zobaczy mnie powracającego z workiem pieniędzy, nie chcąc mi przysparzać zmęczenia, ulży mi i rozdzieli pieniądze pomiędzy żebraków, łuczników, każdego, kto mu się pod rękę nawinie.

— A więc? — rzekł Tristan, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— A więc musisz wyświadczyć mi przysługę. Ponieważ masz się z nimi spotkać w Roulle, przechowaj do tego czasu moje dukaty. Zabierzesz je ze sobą, a wtedy już będzie za późno... Buridan nie odbierze mi ich, aby rozdać innym.

— Zastosuję się do twojej woli! — zgodził się Tristan.

Bigorne zamyślił się, jakby nie mogąc się zdecydować na rozstanie z drogocennym workiem. W końcu powypychał kieszenie pieniędzmi, sam wrzucił worek do skrzyni, przed którą złożył głęboki ukłon. Skrzynia została zamknięta.

Gdy wyszli z piwnicy, Bigorne zapytał:

— Drogi przyjacielu, powiedziałaś, że jest na świecie dwóch ludzi, którym życzysz śmierci. Jeden z nich — to Capeluche' ten już ma za swoje. Drugi — to Valois, ten jeszcze nie otrzymał zapłaty.

Tristan podniósł na Bigorne'a rozbłyśniętą radością spojrzenie.

— Może chcesz mi pomóc?

— _ Zemścić się na Valois? Tak. Nie tylko jestem zdecydowany pomóc ci — ciągnął dalej Bigorne — lecz zapowiadam, że zamierzam ukarać Valois tak, jak na to zasłużył. Zabierzemy się do niego we dwóch.

Odbyli więc długą naradę. Właściwie gadał tylko Bigorne, a Tristan kiwał potakująco głową.

— A więc — podsumował Bigorne — jeśli ci się uda zaprowadzisz go aż do drzwi?

— Tak.

— Pozwolisz mu wejść i zamkniesz za nim drzwi.

— Oczywiście.

— Dobrze. Potem udasz się do Buridana do Roulle. Reszta należy do mnie.

Tymi słowami zakończyła się ich rozmowa, po czym Lancelot Bigorne udał się na ulicę Czarodziejów. Była to nędzna uliczka, położona w żydowskiej dzielnicy. Nie cieszyła się ona dobrą sławą. Mieszczanie bali się wejść tam nawet za dnia, chyba że zmuszeni wielką koniecznością, na przykład potrzebując lekarstwa na ostrą febrę lub na inną ciężką chorobę — uliczkę tę zamieszkiwali bowiem znachorzy i czarodzieje.

Do jednego z takich czarodziejów zamierzał zwrócić się Lancelot, polecając swą duszę opiece świętego Barnaby, a dostojnemu proboszczowi kościoła świętego Eustachego ślubując posłać garniec miodu i tłustą gęś. Był to mężczyzna blisko

pięćdziesięcioletni, o łagodnym spojrzeniu, poważnym wyrazie ust i olbrzymiej brodzie.

„To dziwne — pomyślał Lancelot — jak ci czarownicy podobni są do zwykłych ludzi. Przysiągłbym, że jest to chrześcijanin. Lancelocie, trzymaj się ostro — to podstęp diabelski”.

Przeżegnał się trzykrotnie, chcąc odegnać od siebie szatana. Czarodziej, przyzwyczajony widocznie do takiego zachowania, wskazał mu ręką krzesło, prosząc, aby zajął miejsce. Lancelot jednak odmówił. Obawiał się, aby to nie było zaczarowane krzesło, na którym łatwo usiąść, lecz z którego nie można wstać. Uśmiechnął się do czarodzieja porozumiewawczo i wyniośle, jakby chciał powiedzieć: „Niepotrzebna fatyga, nic to wszystko nie pomoże, znam się na tych sztuczkach”. Wyjaśnił cel swej wizyty.

— Dziś rano zakończył życie pewien człowiek. Czy możesz go wskrzesić na kilka dni?

— Nie — rzekł krótko czarodziej. — Lecz co było powodem jego śmierci?

— Tam do diabła! — rzekł Lancelot zdumiony. — Nie możesz więc wskrzesić nieboszczyka na kilka dni, bodaj na tydzień?

— Nie. Powiedz mi, waść, jednak, na co umarł ten człowiek. Może na jakąś chorobę, która wyniszcza organizm i deformuje twarz, czasem jeszcze za życia?

— Umarł od stryczka zbyt mocno zaciśniętego na szyi. Oto cała jego choroba.

— Masz na myśli Enguerranda de Marigny’ego? — rzekł czarodziej, który słuchał bardzo uważnie słów Lancelota.

Bigorne wzdrygnął się i przeżegnał przynajmniej z sześć razy.

— Ach! — zawołał — jesteś prawdziwym czarodziejem, zgadujesz od razu, o kim chcę mówić.

Czarodziej uśmiechnął się i rzekł:

— Mówisz ze mną o człowieku, który umarł dziś rano na szubienicy. Musiałbym być ostatnim głupcem, aby nie zgadnąć, że chodzi tu o Enguerranda de Marigny’ego.

— Istotnie!

— Lecz dajmy temu spokój. Ponieważ chodzi o człowieka, który umarł w pełni sił, nie mogę mu wprowadzić wrócić życia, ale mogę stworzyć takie pozory.

— To wszystko, czego mi potrzeba! — rzekł skwapliwie Bigorne.

— Dobrze więc! Przynies mi jego zwłoki, spreparuję je i zakonserwuję nie tylko na dni, lecz nawet na miesiące i lata. Będzie wyglądał tak, jakby nie postradał życia.

— Do diabła! Muszę przynieść trupa? A nie możesz, waść, czynić swoich czarów na odległość?

— Nie. Tylko tu, u siebie, mogę zabrać się do balsamo... chciałem powiedzieć do czarowania.

Bigorne zamyślił się, potem rzekł zdecydowanym tonem:

— Niech i tak będzie. Dziś w nocy przyjdę z trupem.

Teraz zaczęli targować się o cenę. Czarodziej był umiarkowany i zadowolił się trzema sztukami srebra, które Bigorne wypłacił mu niezwłocznie.

— Cóż za gratka! — ucieszył się czarodziej, gdy już Bigorne wyszedł. — Będę miał możliwość zbadania zwłok Enguerranda de Marigny’ego. Sam zapłaciłbym za to chętnie ze trzy dukaty... Ciekaw jestem, jak temu człowiekowi udało się zdjąć wisielca i jak przyniesie go tutaj. Co chce uczynić z trupem? Zresztą co mnie to wszystko może obchodzić.

Bigorne tymczasem udał się do ogrodnika, mającego kawałek ziemi w pobliżu Tempie, kupił od niego wózek do przewożenia jarzyn i osła do zaprzęgu.

XIX

GAUTIER D'AULNAY

Zdawało się, że Karol de Valois chce zakończyć jak najprędzej rozprawę ze swymi wrogami. Po pozbyciu się bowiem Marigny'ego i Małgorzaty postanowił pozbyć się i Gautiera d'Aulnaya. Bigorne, idąc ulicami miasta, słyszał, jak woźny publiczny obwieszczał paryżanom:

„Jutro rano na placu Martroi-Saint-Jean zostanie wykonany wyrok śmierci na braciach d'Aulnayach, oskarżonych o zdradę stanu na mocy własnych zeznań, spisanych przez Parlament. Ponieważ jeden z dwóch braci, Filip, targnął się na własne życie w więzieniu i sam sobie uczynił sprawiedliwość, zostanie on wydany na męki symbolicznie. Żyjący zaś brat, Gautier, będzie torturowany, tj. obdarty żywcem ze skóry i przed ścięciem wydany na męki katowi”.

Lancelot Bigorne wzdrygnął się, zdjęty lękiem. Mimo woli pomyślał o tym, że Buridan zechce spróbować uwolnić Gautiera. Szanse powodzenia były prawie takie same jak przy porwaniu Marigny'ego. Wzruszył ramionami i przeszedł nad tą sprawą do porządku dziennego..

Woźny ogłosił, że Gautier d'Aulnay będzie jeszcze tego wieczoru odprowadzony na plac Martroi, aby tam czekać na egzekucję.

Bigorne przed udaniem się do ogrodnika wrócił do Różanej Zagrody, aby opowiedzieć Buridanowi o wszystkim. Zastał przyjaciela tak bladego i zrozpaczonego, iż domyślił się, że straszliwa nowina doszła do jego uszu. Buridan słyszał już, że Gautier umrze nazajutrz o świcie i jakiego rodzaju męki będą mu zgotowane. Przybity boleścią i strachem młodzieniec miał jednak w sercu nikłą iskierkę nadziei.

Dzień ten strasznie się dłużył, ale wreszcie się zakończył. Przyszła noc. Riquet Haudryot, wysłany na zwiady, wrócił wkrótce, mówiąc, że Gautier d'Aulnay jest w drodze na plac Martroi-Saint-Jean.

— A więc już czas rzekł Buridan. — Gdzie jest eliksir?

— Jest tutaj — odpowiedział Riquet, pokazując mu flaszeczkę. — Kosztowało mnie to...

— Nic mnie to nie obchodzi! Prędzej, idź prędzej...

— Czy jesteś pewny, że go zażyje?

— Nie pił nic od rana, musi umierać z pragnienia. Wypije, jestem pewny.

Z tymi słowami Riquet wylał zawartość flaszeczki do dzbanka i dopełnił go czystą wodą. Wilhelm przyglądał się tym przygotowaniom, mruczając z rozpaczą:

— Biedny Gautier! Biedny brat! I niech tu kto powie... Sami mu...

Płacz przerwał mu mowę. Tymczasem Riquet zszedł do piwnicy, w której był zamknięty Stragildo, i podał mu dzbanek z zimną wodą, mówiąc:

— Zapomnieliśmy dziś o tobie. To nie nasza wina, jesteśmy zajęci jedną z twoich ofiar.

Stragildo, nie mówiąc ani słowa, porwał dzban i osuszył go do dna. Potem po dawnemu posepny usiadł nieruchomo w kącie piwnicy. Wiedział, że jest skazany na śmierć. Jediną zagadką było, jaką śmiercią ma zginąć.

Wiedział, że nie może liczyć na litość ani zmiłowanie Buridana. Miał skrępowane nogi i ręce, toteż nie było żadnej nadziei na ucieczkę.

Rano tego dnia Haudryot, jak zresztą codziennie, przyniósł mu jeść. Obdarzony dobrym apetytem Stragildo najadł się do syta, a potem rozejrzał się za wodą. Wody jednak nie było. Zaczęło go dręczyć pragnienie, zorientował się, że nakarmiono go bardzo pieprzonymi potrawami. Pomyślał, że chcą go skazać na śmierć z pragnienia,

rodzaj męczarni często wówczas zadawanej. Uczuł strach. Zbuntował się, usiłował zerwać więzy, zaczął wyc i krzyczeć, lecz nikt nie przychodził na jego wołanie.

Gdy noc zapadła i kiedy Riquet przyniósł mu wody, po ugaszeniu pragnienia uczuł, że nadzieja zrodziła się w jego sercu. Może więc nie grozi mu śmierć? Może Buridan oszczędzi go? Zaczął budować plan zemsty. Wkrótce jednak mgła przesłoniła mu oczy, ogarnął go dziwna ocieężałość, chciał krzyczeć, ale język odmówił mu posłuszeństwa.

„Otruli mnie” — pomyślał.

W chwili kiedy myślał, że umiera, uczuł dziwny żal. Nie żałował życia, nie mógł sobie jedynie darować tego, że umiera, nie mogąc zemścić się na Buridanie, który był przyczyną jego nieszczęścia.

Nagle do piwnicy wszedł Buridan. Przez chwilę przyglądał się dozorczy lwów, przyświecając sobie pochodnią, potem zwrócił się do Haudryota i rzekł:

— Przetnij mu więzy.

Riquet pośpieszył spełnić rozkaz: Stragildo ryknął z radości, skupiając wszystkie swe siły, aby przed śmiercią skoczyć do gardła Buridanowi i udusić go. Rzucił się na wroga, a właściwie chciał się rzucić, w rzeczywistości bowiem postąpił zaledwie parę kroków i zatrzymał się.

Chciał podnieść ręce, aby pochwycić Buridana za gardło... ręce jego były ciężkie jak ołów, nie miał siły ich podnieść.

Buridan dotknął palcem jego piersi. Stragildo zachwiał się na nogach. Wściekłość zalała mu mózg, nie mógł jednak jej wyrazić słowem ani krzykiem, bo sparaliżowany język odmawiał posłuszeństwa. Po bladej i nieruchomej twarzy zaczęły spływać łzy. Teraz uczuł, że trucizna zaczyna działać na mózg. Wściekłość, żal, żądza zemsty, chęć mordy, wszystkie te uczucia, które w nim żyły dotychczas, rozwiały się jak mgła. Wola osłabła, przestał płakać, a usta, które dotychczas znały jedynie szydery śmiech i niecne obelgi, rzucane nieszczęśliwym kochankom Małgorzaty, usta te rozchylił błogi uśmiech.

— Chodź za mną — rzekł Buridan, wychodząc z piwnicy na korytarz.

Stragildo ruszył spokojnie za nim. Jeszcze w najgłębszym zakątku duszy czuł wprawdzie lekki bunt, był on jednak coraz słabszy, coraz dalszy, wreszcie znikł zupełnie. Wszedł na schody za Buridanem niepewnym krokiem. Szedł jako tako, wyglądał tylko dość dziwnie. Postać jego była sztywna i martwa. Nie myślał już o ucieczce ani zemście. Buridan, Wilhelm, Riquet zdawali mu się jakimiś cieniami, nie poznał ich. Po kilku minutach poczuł, że dziwna błogość ogarnia całą jego istotę. Ruchy stały się pewniejsze, czuł, że wraca mu zdolność mówienia. Ale wszystko, co działo się dookoła niego, było mu zupełnie obojętne.

— Jak długo będzie działał eliksir? — zapytał Buridan Haudryota.

— Około trzech godzin. Po upływie tego czasu nicponiowi wróci dawna siła i władze duchowe. Wierz mi, należy skorzystać z sytuacji, aby go przenieść ze stanu życia do stanu śmierci.

— Zgadzam się z przedmówcą! — wykrzyknął Wilhelm. — Nędznik nie będzie mógł narzekać na rodzaj śmierci... żadna z jego ofiar: ani Filip, ani...

Buridan przerwał mu:

— Zaczekajcie na mnie tutaj. Jeśli wrócę przed końcem nocy, wyjdziemy razem. Jeżeli nie ujrzycie mnie do rana, udajcie się do Roulle, gdzie Mabel przekaże wam dalsze instrukcje.

Wichura i Haudryot zrozumieli, że Buridan chce się ważyć na jakiś szalony krok. Ponieważ jednak znali jego upór i wiedzieli, że nic nie zdoła wyperswadować mu tego, co sobie postanowił, uścisnęli go tylko serdecznie, nie usiłując nawet wszczynać zbędnych dyskusji.

Buridan szedł wsparty na ramieniu Stragilda, którego owinał w czerwony płaszcz i osłonił mu twarz dużym kapturem. Stragildo nie stawiał najmniejszego oporu. Szli ulicami Paryża, aż stanęli na placu Martroi-Saint-Jean.

Był to mały plac, mniej więcej w kształcie trójkąta. Jego podstawa i wierzchołek były zajęte przez dwie budowle, o których wkrótce będzie mowa. Ramiona stanowiły małe, niskie domki przytulone do siebie. W większości tych domków na parterze były sklepy. Jedną z budowli stojącą u podstawy trójkąta, była więzieniem Martroi. Drugą, znajdującą się przy wierzchołku, był ośmiokątny słup na platformie. Pod tym słupem wystawiano przestępców na pośmiewisko, ku uciesze gawiedzi. Był to jeden z ówczesnych sposobów naprawy obyczajów drogą dawania zbawiennego przykładu. Więzienie było solidnym budynkiem, składającym się z parterowych pomieszczeń. Na parterze znajdowała się kordegarda, w podziemiach kilka cel więziennych. Umieszczano tam jedynie skazanych na śmierć i tylko na ostatnią noc, noc, która poprzedzała tortury i egzekucję. Podobne więzienie znajdowało się też na placu Greves

W jednej z takich cel zamknięty został Gautier d'Aulnay w oczekiwaniu chwili, w której uda się na szafot. Gdy Buridan ze Stragildem ukazali się na placu, zaczęto właśnie budować szafot dla Gautiera. Szukano wszędzie Capeluche'a, lecz nadaremnie. Ponieważ mistrz gdzieś zaginął tajemniczo, a egzekucja nie mogła być z tej racji odroczone, jeden z uczniów miał zastąpić kata. Kilkudziesięciu gapiów przyglądało się z ciekawością pracującym przy blasku pochodni robotnikom. Od czasu do czasu ktoś z tłumu dopomagał im w przeniesieniu lub podźwignięciu ciężkich belek. Nie było bowiem rzeczą łatwą wybudowanie szafotu, który wówczas bywał bardzo wysoki, tak aby cały tłum mógł widzieć wszystkie szczegóły tortur.

Buridan minął plac, wciąż prowadząc pod rękę Stragilda. Szedł prosto do więzienia. Wiedział, że wszystko zależy od tego, czy wystarczy mu stanowczości do przeprowadzenia tego szalonego planu. Najmniejsze wahanie mogło go zgubić. Nie zastanawiał się, czy nie zostanie przypadkiem rozpoznany lub czy jakaś przeszkoda nie stanie na jego drodze. Starał się po prostu nie myśleć o tym. Albo wszystko się uda, albo i on zostanie aresztowany i podzieli los Gautiera.

Wszedł do kordegardy, gdzie kilkunastu żołnierzy grało w kości lub spało.

— Kapitanie! — rzekł rozkazującym tonem.

Jeden z łuczników skoczył do drugiej sali i skinął stamtąd na Buridana, dając mu przez to znak, że może wejść.

Buridan i Stragildo weszli do pokoju, w którym znajdował się kapitan. Stragildo szedł jak we śnie, chociaż wpływ odurzającego napoju słabł.

Oficer spojrział na mężczyznę owiniętego w czerwony płaszcz. Spojrzenie to wyrażało wielkie zaniepokojenie...

— Panie — rzekł Buridan — przychodzę w imieniu króla.

Kapitan powstał natychmiast pełen szacunku dla posła królewskiego. Wiemy już, jakie wówczas miały znaczenie słowa — rozkaz królewski.

— Macie w waszym lochu więźnia?

— Tak, pana d'Aulnaya.

— Nie obchodzi mnie wcale jego imię. Więzień ten jest przestępcą stanu.

— Tak sądziłem, bowiem jutro ma tu przybyć urzędnik królewski aby wysłuchać ostatnich życzeń skazańca.

Buridan trzymał wciąż Stragilda pod rękę. Pochylił się do oficera i szepnął:

— Skazaniec nic mu nie powie, nie chciał bowiem nic powiedzieć samemu panu hrabiemu de Valois. Tylko ten oto człowiek potrafi wydobyć z niego całą prawdę. Życzeniem króla jest, panie kapitanie, aby człowiek ten zobaczył się ze skazańcem. Będę mu towarzyszyć, by wysłuchać zeznam

— Muszę mieć rozkaz królewski na piśmie.

— Oto jest.

Jan rzucił na stół drugi pergamin zabrany Stragildowi. Pierwszy, jak wiemy, spalił Valois. Oficer rozwinął pergamin i zaczął go odczytywać. Buridan stał opanowany, lecz czuł, że serce mało mu nie rozsadzi piersi. Po chwili oficer podniósł, głowę, złożył Buridanowi niski ukłon i zawołał:

Ośmiu ludzi jako eskorta do podziemi!

Wręczył Buridanowi pergamin z pieczęciami królewskimi. Ten, tłumiąc okrzyk radości, zwrócił oficerowi dokument i rzekł:

— Mam rozkaz pozostawienia pergaminu w pańskich rękach. Przedstawisz go jutro Janowi de Precy. Uprzedzam pana jednak, że dzisiejsze widzenie ma być bez świadków.

— Moi ludzie nic nie słyszą. Niech pan będzie spokojny.

Oficer skierował się do drzwi i otworzył je. Zeszli do podziemi. Buridan ciągle trzymał Stragilda pod rękę. Ośmiu łuczników zamykało pochód. Dwóch niesło pochodnie. Drzwi pozostały otwarte.

— Dajcie mi pochodnię — rzekł Buridan do jednego z łuczników.

Wszedł do celi. Zamknął za sobą drzwi. Potem zatknął pochodnię w rogu celi. Wtedy dopiero rozejrzał się. Ujrzał mężczyznę leżącego na posadzce z rękami i nogami silnie skrępowanymi. Zaledwie go poznał. Więzień miał twarz woskowo bladą, był straszliwie wychudły, miał wpadnięte oczy. Był obojętny na wszystko, co go mogło spotkać.

Buridan uląkł, położył więźniowi dłoń na ustach, aby nie mógł krzyknąć, nachylił mu się do ucha i szepnął:

— Milcz! Na miły Bóg, milcz! Jeśli ci życie miłe, milcz! Otwórz tylko oczy i patrz!

Gautier otworzył oczy... oczy błędne, pełne lęku, pełne wizji zbliżającej się śmierci. Ujrzał Buridana. Coś, jakby słaby jęk, wydarło się z jego piersi.

— Ani słowa! Błagam! — upomniał go Buridan. — Czy słyszysz mnie? Czy poznajesz mnie? Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Gautier kiwał potwierdzająco głową.

Wtedy Buridan sztyletem rozciął mu więzy. Po chwili Gautier był już na nogach drżący, osłupiały, lecz płonący oburzeniem i żądzą zemsty. Buridan jednak po raz drugi położył mu dłoń na ustach, nie mówiąc do niego ani słowa.

Po pierwszych chwilach obłędnej po prostu radości, Gautier opanował nieco swe wzruszenie. Przygryzł wargi do krwi. Później rozumiejąc, że sytuacja jest doniosła, oparł się o mur i zamknął oczy... jakby cudowna prawda oslepiała go.

Buridan zdjął ze Stragilda szeroki płaszcz i zarzucił go na ramiona Gautiera, potem nasunął mu na czoło kaptur.

— Czy masz dość siły, aby iść ze mną? — zapytał.

Za całą odpowiedź Gautier uczynił kilka kroków, zachwiał się i oparłszy się głową o drzwi, zaczął płakać.

Buridan ciężko dyszał. Był tak spocony jak po najcięższej pracy. Nie stracił jednak zimnej krwi. Pchnął Stragilda w kąt celi więziennej i położył mu rękę na ramieniu.

— Poznajesz mnie? — zapytał. Stragildo uczynił wysiłek, aby zebrać myśli. Powoli wracała mu świadomość. Warknął głucho. Niewątpliwie chciał krzyknąć zdjęty nagle przerażeniem. — Jestem Buridan. Posłuchaj ostatnich moich słów. Byłeś podły i okrutny przez całe swoje życie. Ja skazałem cię na śmierć. Ale nie zabiłem cię. Pozostawiam ci ostatnią szansę, jeśli los będzie dla ciebie łaskawy. Podziękuj za to Bogu. Uwierzę wtedy w to, że On ci przebaczył. Co do mnie, przebaczam ci w tej doniosłej chwili. Przebaczam ci w imieniu twych ofiar. Po kilku godzinach, może wcześniej, umysł twój odzyska dawną zdolność, będziesz mógł swobodnie chodzić,

mówić, rozumować. Wołaj wtedy, krzycz! Wzywaj pomocy. Krzycz, że nie jesteś Gautierem. Kiedy nareszcie przekonają się, że nie jesteś nim, że nie jesteś tym, kogo mają skazać na śmierć, zwał na mnie całą winę, oświadczył to królowi, powiedział to hrabiemu de Valois... Rób wreszcie, co ci się spodoba. Żegnaj, Stragildo!

Stragildo spoglądał na Buridana osłupiałym spojrzeniem... Chciał uczynić najwyższy wysiłek, aby mówić, krzyczeć, aby go pochwycić i przytrzymać, był jednak jeszcze pod wpływem odurzającego napoju i widział, jak Buridan bierze w ręce pochodnię. Widział, jak wiedzie Gautiera pod rękę... widział ich wychodzących... potem echo ich kroków umilkło w oddali i nie słyszał już nic więcej.

Przechodząc koło wartowni, Buridan trzymał się dzielnie, ale gdy znalazł się już w jednej z ciasnych i ciemnych uliczek, na których o tak spóźnionej porze nie było żywego ducha, rzucił się w ramiona Gautierowi. Wybuch wzruszenia był tak gwałtowny, że teraz Gautier musiał z kolei go uspokajać.

— Wolny! Wolny i żywy! — wykrzyknął z radością.

— Tak, teraz będziemy mogli wyjechać. Dobrze, silne konie czekają na nas w Roule. Za kilka dni będziemy poza granicami państwa.

— Mamy uciekać?! Nie, Buridan, muszę przede wszystkim pomścić mego brata!

— Na kim chcesz pomścić jego śmierć?

— Na Valois! Przede wszystkim!

— Lancelot Bigorne, jeśli się nie mylę, depce mu już po piętach. Gautierze, nie mogę brać udziału w wymierzeniu kary własnemu ojcu.

— Jest jeszcze szatan Stragildo!

— Zastąpił cię w celi więziennej Martroi. Czy go nie poznałeś?

Gautier rzucił na Buridana pełne zachwyty spojrzenie.

— Jak to? Więc to nie sen? Tyś to uczynił? To, czegoś dokonał, tak zuchwały czyn mógł się udać tylko tobie, nikomu więcej na świecie.

— Widzisz więc, że nie ma potrzeby interesować się jeszcze Stragildem!

— Tak, lecz jest jeszcze Marigny! Jest Małgorzata!

— Chodź! Najpierw musisz zjeść porządny obiad, który już na ciebie czeka. Gdy będziesz jadł, opowiem ci, co się stało z Małgorzatą Burgundzką i Marignym.

Gautier poszedł posłusznie za Buridanem. Był zdumiony nieoczekiwanym odzyskaniem wolności i umierał z głodu. Trudno opisać okrzyki, jakie zaczęli wydawać Wilhelm i Riquet na widok Gautiera d'Aulnaya. Odzyskanie przez niego wolności było prawdziwym cudem. Co zaś do Gautiera, po czułym powitaniu, uściskach i pocałunkach usiadł do stołu i zaczął pożerać smakołyki, które przygotował przezorny Haudryot. Potem zapadł w głęboki sen i spał aż do południa dnia następnego, po czym znowu przypuścił atak na nową porcję jadła i napojów. Reszta dnia upłynęła na wzajemnym opowiadaniu tego, co przeżyli, jakie zmiany nastąpiły w okresie spędzonym przez niego w więzieniu.

Wkrótce wszyscy opuścili Paryż, udając się do wsi Roule, gdzie spotkali się z Mabel, Myrtilłą i Tristanem.

Myrtilła była zapłakana... Tristan oznajmił jej o śmierci ojca. W jego jednak wersji śmierć Marigny'ego nastąpiła wskutek apopleksji. Dziewczyna nie dowiedziała się nigdy o tym, że minister został powieszony.

Jeszcze tej samej nocy towarzysze Buridana zakończyli przygotowania do podróży, w którą miano wyruszyć nazajutrz rano, zaraz po powrocie Lancelota Bigorne'a. W nocy również Tristan zaprowadził Buridana do stajni, w której stały konie, i pokazał mu ukryte tam pękate worki.

— Co to jest? — zapytał Buridan.

— Posag Myrtilli! — odpowiedział stary sługa.

Był to skarb Marigny'ego, sławny skarb, którego Valois na próżno szukał w pałacu przy ulicy św. Marcina.

Nieco później Buridan rozdzielił cały majątek na trzy części, do czego został upoważniony przez swą narzeczoną. Jedna część pozostała jako majątek osobisty Myrtili. Drugą przeznaczył na wybudowanie kolegium dla sierot. Trzecią część podzielił pomiędzy Wilhelma Wichurę, Riqueta Haudryota i Gautiera, któremu udało się w kilka lat po tych wypadkach odbudować dwór rodzinny.

Bigorne, jak już wiemy, został wcześniej dzięki hojności Tristana bogatym człowiekiem.

XX

TORTURY D'AULNAYA

Stragildo pozostał sam w lochu więziennym. Minęła godzina i odurzające działanie napoju rozwiało się na tyle, że zaczął rozmyślać o tym, co się z nim działo w ciągu ostatnich godzin. Przede wszystkim wydało mu się, że nie opuszczał wcale piwnicy Różanej Zagrody, a po stwierdzeniu, że nie ma na nogach ani rękach kajdan, pogrążył się w rozmyślaniach na temat możliwości ucieczki.

— Raz już mi się udało, i to jak jeszcze... — mrucał pod nosem dlaczego nie miałbym uciec ponownie?

I to w ten sam mniej więcej sposób?

Nagle zaczęło mu świtać w głowie jakieś mętne wspomnienie... Powoli stawało się ono coraz to jaśniejsze i wyraźniejsze. Zdał sobie sprawę z tego, że znajdował się w stanie dziwnego odrętwienia, że szedł ulicami Paryża pod rękę z Buridanem i że potem razem z nim weszli do tego lochu. Słyszał jeszcze wyraźnie... dźwięczały mu w uszach ostatnie zwrócone do niego słowa Buridana. Zaśmiał się głośno i mruknął:

— A to dobre! Wpakowali mnie do celi na miejsce Gautiera! A przecież nie jestem Gautierem! Jestem Stragildo, dozorca lwów króla i królowej. Jestem ważną osobistością! Ten wariat Buridan wpadł na szaloną myśl zastąpienia Gautiera moją osobą, a ponieważ nie jestem Gautierem pozostaje mi tylko zawołać na służbę! Wpadną do celi... poznają mnie i wypuszczą. A wtedy... och! Wtedy... strzeż się, Buridan!

Jeszcze nie zdawał sobie jasno sprawy z grozy sytuacji, w jakiej się znalazł. Uderzył pięścią w drzwi.

— Hola! Hej! Łucznicy! Otwierać! Otwierać! Niezwłocznie, bo poskarżę się królowej.

Nikt nie otworzył... Nikt nie przyszedł na jego wołanie. Walił w drzwi coraz silniej, wkrótce pięści broczyły mu krwią. Wreszcie wściekłość i strach wyczerpały jego nadwątlone siły i padł jak długi na ziemię.

Gdy ocknął się z omdlenia, z piersi jego wydarł się głośny okrzyk bólu i przerażenia. Działanie narkotyku już minęło. Pamiętał wszystko dokładnie i zdawał sobie ze wszystkiego sprawę. Pozostała mu jedna jedyna nadzieja.

Król nienawidził go z całego serca... To prawda! Lecz Valois? Och! Valois ocali go na pewno, potrzebuje go przecież! Poderwał się z ziemi i przyskoczył do drzwi. Rozpoczęła się straszna, zaciekle walczone walka na śmierć i życie między obojętnymi, mocnymi i nieugiętymi drzwiami celi, a drżącym, z przerażenia człowiekiem. Straszna to była walka!

Naraz zmagając się ze swym wrogiem — okutymi drzwiami, usłyszał odgłos licznych kroków i szcęk broni. Zamilkł i odetchnął z ulgą. Wyglądał okropnie: cały zalany krwią, w poszarpanym na strzępy ubraniu, ze zwichrzoną brodą i włosami. Błogi jednak uśmiech wykrzywił jego twarz. Nareszcie ktoś go usłyszał! Nareszcie przychodzi go uwolnić!

Drzwi otworzyły się, błysnęły ognie licznych pochodni, zamajaczyły na korytarzu zwarte szeregi uzbrojonych łuczników, a później... dwaj pachołkowie kata i jeszcze jakiś czarno ubrany mężczyzna podszli do Stragilda ze słowami:

— Gautierze d'Aulnay, wysłuchaj wyroku, jaki zapadł w twojej sprawie i w sprawie twojego brata...

— Nie jestem Gautierem! — zawył Stragildo! — To morderstwo! Zaprowadźcie mnie do hrabiego de Valois! Jestem Stragildo! Patrzcie na mnie! Patrzcie wszyscy! Gautier uciekł... Wyszedł z więzienia z Buridanem!

Chwila zdumienia, potem okrzyki, bieganina. Ktoś pchnął Stragilda w głąb celi i zatrasnął drzwi. Na jego wściekle wycie nikt nie zwracał uwagi. Jedna rzecz była pewna: Gautier d'Aulnay zbiegł, a zastąpił go w więzieniu Stragildo! Czarny mężczyzna, pachołkowie kata, wreszcie łucznicy, wszyscy poznali dozorcę lwów.

Tymczasem oficer, dowodzący posterunkiem, rzucił się na plac Martroi, na którym roіło się od gapiów. Okna okolicznych kamienic oblepione były głowami ciekawych sensacji paryżan. Tłum wciąż wylewał się na plac z wąskich uliczek, dążąc pod pręgierz i pod szafot. Na szafocie stała już kłoda, a w blaskach zorzy porannej błyskało pięknie wytoczone ostrze katowskiego topora. Obok kłody stała ława, na której przed ścięciem skazańcowi głowy miano go obedrzeć żywcem ze skóry.

Szafot, na który prowadziły szerokie drewniane schody, był otoczony podwójnym szpalerem halabardzistów. Choć wszyscy oni byli rośli, a wysokie hełmy dodawały im jeszcze wzrostu, nie przeszkadzało to jednak tłumowi poić się widokiem tego, co działo się na szafocie. Szafoty bowiem robiono zazwyczaj bardzo wysokie.

U podnóża wiodących na szafot schodów stało kilka osobistości, które z urzędu musiały być obecne przy egzekucji. Wśród nich był również prefekt miasta Paryża, pan Jan de Precy. Wydawał właśnie zarządzenia w sprawie przeprowadzenia całego ceremoniału obdarcia ze skóry.

Jan de Precy na widok pobladłej twarzy dowódcy posterunku zrozumiał, że stało się coś bardzo ważnego. Zsiadł z konia i ruszył za kapitanem, który znalazłszy się w wartowni, opowiedział mu o wszystkim. Jako namacalny dowód pokazał pergamin, pozostawiony przez Buridana. Jan de Precy przeczytał uważnie dokument, potem kiwając głową, rzekł:

— Masz szczęście, kapitanie, żeś zatrzymał ten rozkaz. W przeciwnym przypadku twoja głowa wisiałaby już tylko na włosku. Ten łotr jednak działał w imieniu króla.

— Tak, łotr — odpowiedział ostro kapitan — ale poczciwy i dzielny z niego człowiek. Jemu tylko zawdzięczam życie. Mógł przecież zabrać ze sobą ten rozkaz. Tymczasem sam mi doradził zatrzymanie go! Powiem więcej — rozkazał mi zatrzymać ten dokument! Lecz co pocniemy teraz ze Stragildem? Czy mamy go zwolnić z więzienia?

— Co takiego? — warknął prefekt gniewnie jak pies, któremu chcą odebrać kość. — Posłuchaj, pan, miałem właśnie rozkaz odszukania miejsca jego kryjówki i aresztowania go, aby posłać później na szubienicę. Uczynił bowiem naszemu dobremu królowi Ludwikowi wielki afront.

— No więc dobrze się składa, bo winowajca znalazł się sam. Zabierz go więc i uwolnij wszystkich od niego.

— Ten łotr Stragildo już od dnia swoich urodzin zasługuje na stryczek.

— Każ go więc powiesić, panie prefekcie. Zabierz go na Croix du Trahoit albo na plac Greve. Tu nie ma szubienicy.

— Tak, ale nasz poczciwy ludek paryski niecierpliwi się, czekając na widowisko obdzierania ze skóry. Posłuchaj, kapitanie, zarządzę niezwłocznie poszukiwania Gautiera i zuchwałego żaka Buridana, który wykradł go z więzienia. Nic nie stracą na tym, że się trochę spóźnią na zabawę, która ich czeka na szafocie. Mamy przy tym z Buridanem jeszcze stare porachunki. Odłożyć jednak tortur Gautiera d’Aulnaya nie możemy! Niepodobna!

Oficer otworzył szeroko oczy.

— Na Boga, ci wojskowi, a zwłaszcza żandarmeria, są pozbawieni wszelkiej inteligencji. Nie rozumie mnie pan?

— Nie, mości prefekcie, nie rozumiem — rzekł kapitan, który nie był wcale głupcem — a raczej, nie wolno mi rozumieć... wolno mi jedynie być posłusznym, kiedy ty, prefekcie, wydajesz rozkazy.

— Dobrze, a więc wydaję rozkaz! Zabieraj tego Gautiera, który tam wyje w swym lochu... i... nic mu się w ciągu nocy nie stało..? Zbyt dużo ryzykowaliśmy, opowiadając niepotrzebne rzeczy. Nic się nie stało. Gautier d’Aulnay czeka. Zabieraj go i wydaj w ręce pomocnika Capeluche’a, który drogo zapłaci za to, że się gdzieś zawieruszył. Ach! Kapitanie, można rzec śmiało, że diabli chyba sprzysięgli się przeciw nam. Nawet kat nas zdradził. Każę powiesić tego tam, Gautiera, i nareszcie będzie koniec..

Z tymi słowami prefekt wrócił na plac i stanął u podnóża szafotu, wydając rozkaz, aby wykonano wyrok na Filipie d’Aulnayu.

Pachołkowie kata porwali złożony w wielkim koszu manekin, postawili go na nogi, oddając go na pośmiewisko gawiedzi. Posypały się pieprzne dowcipy, kumoszki zaczęły obrzucać kukłę śmieciami, skorupkami potłuczonych garnków, kamieniami, a wszystkiemu towarzyszył głośny śmiech i okrzyki:

— Zedrzyć z niego suknie!

— Musimy widzieć go takim, jak go Pan Bóg stworzył!

Pachołkowie zadowolili się położeniem manekina na ławie. Jeden z nich porwał topór i zręcznym cięciem oddzielił głowę od tułowia.

Wybuchły znowu śmiechy, a potem nagle zaległa cisza... Tragiczna tym razem... W drzwiach bowiem więzienia ukazał się żywy skazaniec, nie kukła.

W podziemiach więzienia odbyła się straszliwa scena. W myśl zarządzeń prefekta kapitan straży wszedł do wartowni, wołając:

— Wziąć pana d’Aulnaya i powiesić na szafot!

Kilkunastu łuczników pośpieszyło spełnić ten rozkaz. Towarzyszyło im dwóch pachołków Capeluche’a i człowiek w czerni, który miał odczytać wyrok. Łucznicy, pachołkowie kata i człowiek w czerni zeszli do podziemi. Otworzono drzwi lochu, i jak przed paru godzinami oczom ich ukazał się Stragildo zalany krwią, wstrząsany nerwowymi drgawkami, okropny. Korytarzem popłynęło echo rozpaczliwego wycia Strągilda, okrzyków żołnierzy, którzy chcieli go wywlec z celi, klątw pomocników kata, pragnących związać delikwentowi ręce, i pisk czarnego człowieka, który chciał odczytać swój dokument.

— Przecież nie jestem Gautierem d’Aulanyem! — wył Stragildo.

— Ejże, przyjacielu, nie bądź taki twardy... Spokojniej spokojnie! — powtarzali pachołkowie kata.

— Do cholery z tym furiatem — klęli łucznicy.

— Powtarzam wam, że jestem Stragildo — ryczał więzień.

Krzyk jego przeszedł w głuche mamrotanie. Wcisnął się w sam róg lochu, opędzając przed napastnikami. Uderzeniem pięści powalił na ziemię dwóch łuczników. Zębami rozharatał rękę któremuś z pachołków kata. Każdy jego ruch,

każdy krok był groźny. W ciemnym kącie lochu, przy mdłym świetle pochodni, wszczął się niesamowity tumult. Rozlegały się głucho klątwy, okrzyki, obelgi, Trwała straszliwa walka napastników z człowiekiem, który nie chciał umierać. Potem nagle wszystko się uspokoiło.

— Dobrze! Już dobrze! — dogadywał pomocnik kata, krępując ręce Stragildowi.

— Ci d'Aulnayowie to niezłe ptaszki — mówił jeden łucznik do drugiego.

— W końcu skazany jest na ścięcie — kończył nosowym głosem czarny człowiek, który znał już treść wyroku na pamięć.

Stragildo milczał. Wyniesiono go z celi do wartowni jak tłumok związany sznurami. Już w wartowni stwierdzono, że nie żyje. Ciało jego pokryte było przeszło dwudziestoma ranami. Ostrze piki rozdarło mu gardło, pchnięcie sztyletem rozpruło brzuch, twarz cała była posiniaczona, a jedno oko wypłynęło z orbity. W bójce zginęło również dwóch łuczników, a kilku odniosło mniej lub bardziej poważne rany.

Trupa dozorca drapieżników wniesiono na szafot i szybko wykonano wyrok, aby zgromadzonego tłumu nie pozbawić ciekawego widowiska.

XXI

SKARB ENGUERRANDA DE MARIGNY'EGO

W dniu, w którym został stracony Stragildo, Karol de Valois, gubernator Tempie, miał dziwną wizytę. Wrócił właśnie z Luwru, gdzie widział się z Ludwikiem X, bardzo osłabionym na duchu i na ciele. Valois zacierał ręce z radości. Dał do podpisania królowi bon na dwadzieścia tysięcy liwrów, które miał podjąć sam. Udał się następnie do podskarbiego królewskiego po odbiór tej sumy i kazał ją przewieźć na mule do Tempie. Podskarbi wypłacił należność, rzekł jednak do hrabiego z wymuszonym uśmiechem:

— Jaśnie wielmożny panie, jeszcze kilka takich bonów, a będę zmuszony zamknąć kasę.

— Co takiego?! — zawołał z przestrawieniem Valois — czyżbyśmy aż tak źle stali?

— Niestety! — odparł podskarbi z westchnieniem. — Taka bagatelka nie sprawiłaby nam różnicy za panowania nieboszczyka króla.

— Jak sobie z tym radził mój brat?

— Jaśnie wielmożny panie odpowiedział podskarbi — najpierw kazał on wierzyć paryżanom w to, że każda moneta, każdy liwr równa się liwrowi paryskiemu. Potem, aby ukarać paryżan wątpiących w prawdę tego twierdzenia, nakładał na nich podatki: kobiety płaciły za ozdobne pasy u sukni, mężczyźni za kaptury. A gdy paryżanie płacili pokornie, nie mając odwagi ani pisnąć, dobry król Filip, twój, jaśnie wielmożny panie, brat, zaczynał szukać niezadowolonych i jakkolwiek ich nie było, znajdował ich... No, bo podniecali ich do buntu przekłęci Żydzi. Wtedy czcigodny król dawał rozkaz uwięzienia paru tuzinów Żydów, wybierając więźniów spośród tych, którzy posiadali największe majątki. Żydów wieszano albo palono, a pozostałe po nich skrzynie z pieniędzmi wędrowały do Luwru. Oczywiście pokrapiano je najpierw wodą święconą, aby oczyścić pieniądze niewiernych, Pomyśl; panie, jakie z tej akcji wynikały korzyści! Niestety, panuje nam teraz król, który nie zna się wcale na dobrej administracji państwa. Ach! Dlaczego nie mamy króla, który byłby podobny do twego brata?!

— No cóż — wycedził Valois przez zęby. — Życzenie twoje może się ziścić prędzej niż przypuszczasz.

Z tymi słowami Valois udał się do Tempie. Rozmyślał o tym, że jeśli skarbiec królewski jest istotnie prawie pusty, utrudni mu to wielce całą akcję. W Tempie zaczął obliczać własny majątek, aby zorientować się, czy w razie potrzeby wystarczy go na to przedsięwzięcie.

Właśnie zajęty był obliczaniem, gdy nagle zameldowano mu człowieka, który chciał się z nim widzieć niezwłocznie, podając imię Tristan. Na dźwięk tego imienia Valois zerwał się z fotela, zdzielił harapem uprzykrzonego psa, który zaczął łaścić się do niego, i kazał wprowadzić interesanta.

Gdy Tristan stanął w progu, Valois stwierdził z zadowoleniem, że był to istotnie stary sługa pana Enguerranda de Marigny'ego. Tristan był bardzo smutny.

— Co masz mi do powiedzenia? — zapytał ostro Valois.

— Jaśnie wielmożny panie — odparł stary sługa — dowiedziałem się, że kazałeś mnie szukać jako podejrzanego o chęć przywłaszczenia sobie skarbów nieboszczyka, mego pana.

— To prawda. Wiesz chyba o tym, że będziesz powieszony, jeśli nie zwrócisz królowi tego, co jest jego własnością.

— Dlatego też przyszedłem do wielmożnego pana. Lęk zabija mnie. Nie mam odwagi przekroczyć bramy miejskiej, boję się bowiem, że zostanę aresztowany. Nie mam odwagi wyjść z domu na ulicę. Wolę już stryczek niż takie życie. Mam jednak nadzieję, że nie zostanę powieszony.

— Jak to? — zapytał Valois.

— Bardzo prosto! Zwróć królowi to, co należy do niego. Przychodzę z hołdem, a ponieważ wielmożny pan stoi teraz u steru rządu, chcę błagać go o dopuszczenie do króla, któremu wskażę, gdzie jest ukryty skarb mego pana.

Valois dyszał ciężko z emocji.

— A więc ten skarb istnieje? — zapytał głucho.

Czy wątpieś w to, panie?

— Jak jest wielki?

Tristan spojrział Valois prosto w twarz i odpowiedział:

— Zacząłem go rachować pewnego dnia, kiedy mój pan oświadczył mi, że chce uciekać z Paryża. Rachowałem od świtu, noc zapadła, a ja jeszcze nie skończyłem swej roboty.

Valois z drzeniem zaczął rozmyślać nad tym, jak zdobyć ten olbrzymi majątek. Tristan mówił dalej:

— Za odkrycie tajemnicy żądam dwóch tylko rzeczy.

— Mów!

— Przede wszystkim darowania mi życia, a potem wolności i prawa wyjazdu z Paryża.

— A więc bardzo ci zależy na tym, żeby nie być powieszonym? — zapytał Valois, przyglądając się badawczo Tristanowi.

Stary sługa zadrżał i odpowiedział pokornie:

— Jestem stary, wielmożny panie, lecz będąc ciągle zajęty przy moim panu, który nie miał łatwego charakteru, nie używałem wcale życia. Jeśli Bogu się podoba, abym żył jeszcze lat kilka, chciałbym zakończyć żywot spokojnie...

„Dobrze” — pomyślał Valois. „Boi się. Wszystko układa się doskonale”.

— Czego jeszcze żądasz? — dodał głośno.

— Następnie, wielmożny panie, jeśli król daruje mi życie, chciałbym przeżyć ostatnie lata moje w spokoju i bez troski. Żądam sześciu tysięcy liwrów, które mają mi być wypłacone w dniu, w którym wskażę, gdzie jest ukryty skarb.

Valois przez kilka minut milczał, po czym tak przemówił:

— Czy wiesz, że król uważa cię za współnika Marigny'ego i że z jego to rozkazu zarządziłem poszukiwania w całym Paryżu? Czy wiesz, że na pewno nie zechce darować ci życia ani też wyznaczyć ci sumy, której żądasz? Co uczynisz w takim przypadku?

— Niech Bóg ma moją duszę w swej opiece — odpowiedział zimno Tristan. — Wtedy przestanę myśleć o sobie. Być powieszonym! Ostatecznie jest to kwestia kilku minut cierpienia. Połączę się z moim panem i koniec.

— Zgoda, lecz skarb? Co uczynisz ze skarbem?

— Co mam z nim uczynić? Jeśli król odmówi mi życia albo nawet darowując mi je, nie zechce zapewnić spokojnej egzystencji, pójdę na tamten świat z tajemnicą. Ani król, ani nikt na świecie nie zdobędzie majątku zebranego przez mego pana w ciągu tylu lat. Możecie przeszukać cały Paryż, nie znajdziecie skarbu. Mogę przysiąc!

Valois zaśmiał się dziko:

— Zapominasz, ojczyźnie Tristanie, że tortury rozwiążą ci język. — Tristan pokiwał przecząco głową i uśmiechnął się. — Oho — gwizdnął Valois — wierzysz tak bardzo w swoje siły! Wierzysz w to, że jesteś silniejszy niż ból?

— Nie, wielmożny panie, wiem... jestem słaby, tak słaby, że przewidziałem wszystko. Otóż, wielmożny panie, mogę być powieszony, mogą mnie skazać na tortury, nie będę jednak cierpieć...

— Dlaczego? — zapytał Valois ze zdziwieniem.

— Mam przy sobie truciznę, której działanie jest piorunujące. Zamknięta jest w małej kapsułce. Mam ją w tej chwili w ustach. Jeśli król odmówi mej prośbie, jeśli nakaże tortury, zgryzę kapsułkę i padnę trupem. Możecie robić wtedy ze mną, co się wam spodoba. Trup mój dochowa tajemnicy.

Valois rzucił posępne spojrzenie na tego, który wyrzekł te słowa głosem zimnym i stanowczym. Zrozumiał, że człowiek ten nie czuje lęku.

— A jednak on chce żyć! — szepnął do siebie. — Posłuchaj — rzekł głośno — jeśli staniesz przed królem, śmierć twoja jest pewna: albo zginiesz na szubienicy, albo odbierzesz sobie życie. Król jest młody, gardzi pieniędzmi. Wyrzeknie się chętnie skarbu, zadowolając się zemstą. Ale ja pragnę ocalić ci życie. Przede wszystkim dlatego, że nie uważam cię za współnika pana de Marignyego, a także dlatego, iż skrzynie skarbcza królewskiego są puste. Wiem, jak te pieniądze przydałyby się państwu. Jeśli odkryjesz mi tajemnicę, każę cię odstawić poza mury stolicy i dam ci dziesięć tysięcy liwrów zamiast sześcioro, których żądałeś. — Tristan zamyślił się nad tą propozycją, a Valois czekał z drżeniem na odpowiedź. Wreszcie dodał: — Układ ten jednak musi pozostać między nami. — Oczy Tristana błysnęły radością, po chwili znowu zgasły. — No, decyduj się!

— Wybacz, jaśnie wielmożny panie, lecz sprawa jest bardzo poważna. Skoro mój pan umarł, zrozumiałem, że zwracam królowi Francji pieniądze pochodzące ze skarbcza królewskiego. Lecz ty, jaśnie wielmożny panie, nie jesteś królem.

Valois podszedł do Tristana, dotknął ręką jego ramienia i rzekł:

— Jesteś uczciwym sługą. Uspokój się jednak, nie wezmę tych pieniędzy dla siebie. Twój pan, jakkolwiek zawsze życzył mi źle, uznawał moją bezinteresowność.

— To prawda! — szepnął Tristan.

— Widzisz! A więc decyduj się...

— Jest jeszcze pewna sprawa. Wobec króla nie żywiłbym żadnych obaw, chyba że król jegomość postanowiłby wydać mnie na śmierć. W każdym innym przypadku słowo królewskie byłoby dla mnie gwarancją życia i majątku. Jednak...

— Czego się boisz? Czy nie widzisz, że w interesie moim jest dotrzymać danego ci słowa? Niemądry! Czy nie rozumiesz, że jeśli zaprowadzę cię przed króla, możliwość śmierci będzie przynajmniej w połowie pewna.

— A więc, wielmożny panie, przysięgnij mi na krzyż...

Valois obejrzał się dookoła. Nie widząc krzyża, dobył ciężkiej szpady i pokazał jej rękojęść Tristanowi.

— Oto krzyż — powiedział. — Przysięgam na zbawienie duszy, że każę cię odstawić za mury miasta zdrowo i cało, dając ci na drogę dziesięć tysięcy liwrów.

— Dobrze, zgadzam się. Bądź, panie, dziś wieczorem u podnóża Wielkiej Wieży Luwru. Zaprowadzę cię na miejsce, gdzie ukryty jest skarb. Ale mówileś, panie, że układ nasz powinien pozostać między nami. Przyjdź więc sam albo przynajmniej z jak najmniejszą liczbą ludzi.

— Nie, nie — rzekł żywo Valois. — Będę sam. Ty również musisz być sam. Teraz powiedz mi, kiedy chcesz opuścić Paryż.

— Kiedy? Jak najwcześniej. Bodaj nawet jutro o świcie. A dokąd się udam? Chcę na razie do Orleanu. Wyjdę bramą Bourdelle.

— Dobrze. Dziś o dziesiątej wieczorem będę u podnóża Wielkiej Wieży. Jutro o szóstej rano jeden z moich ludzi będzie czekał na ciebie przy bramie Bourdelle. Każę przygotować dla ciebie konia i dam ci go w prezencie. Mój człowiek doręczy ci również obiecane przeze mnie dziesięć tysięcy liwrów. A teraz możesz odejść.

Tristan uklonił się i wyszedł z pokoju wolnym krokiem. Zaledwie znalazł się poza Tempie, Valois kazał przywołać kapitana straży i rzekł:

— Dziś wieczorem mam ważną sprawę do załatwienia. Potrzebuję czterech pewnych ludzi, którzy by szli za mną w pewnym oddaleniu i zbliżyli się tylko wtedy, gdy dam im znak okrzykiem lub gwizdnięciem. Jutro rano w chwili otwierania bram miejskich ustawicie w pobliżu bramy Bourdelle dwóch spośród waszych najbardziej przedsiębiorczych i energicznych ludzi. Poznacie tego człowieka, który dopiero co stąd wyszedł?

— Tak, to Tristan, zausznik przekłętą Marigny'ego.

— Zgadza się. A więc wasi ludzie muszą mnie uwolnić od tego człowieka. Najlepiej to uczynić za pomocą sztyletu. Dla pewności trzeba zakopać zaraz potem zwłoki. Powiedz im, że jeśli sprawa się uda, otrzymają dwadzieścia liwrów. W razie niepowodzenia... stryczek. Możesz odejść.

Nadszedł wieczór. Przed oznaczoną godziną Valois opuścił Tempie i udał się w kierunku Luwru, a za nim postępowali ci, którym wyznaczono rolę straży przybocznej hrabiego. Obszedł starą fortecę, mówiąc do siebie: „Wkrótce zamieszkać tu już jako wszechwładny pan...”.

Serce waliło mu jak młot.

U stóp Wielkiej Wieży Tristan czekał już na niego. Hrabia ucieszył się... Obawiał się bowiem, że stary sługa Marigny'ego nie stawi się na umówione spotkanie. Byстрыm spojrzeniem sprawdził, czy Tristan jest sam. Upewniło go to jednocześnie, że nie potrzebuje się obawiać, iż perspektywa olbrzymiej fortuny jest tylko zasadzką.

— Gdzie to jest? — zapytał krótko.

— Chodź za mną, jaśnie wielmożny panie! — rzekł Tristan, zmierzając na wybrzeże.

— Trzeba przepłynąć rzekę?

— Tak! — przytaknął sługa, wsiadając do łodzi.

Valois przez chwilę wahał się. Jego ludzie nie mogli podążyć za nim. Bo gdyby weszli do jednej z pobliskich łodzi, Tristan dostrzegłby ich. Nie przewidział tego, że skarb może się znajdować na przeciwległym brzegu. Zdając się na los szczęścia i na spryt swej straży przybocznej, wszedł do łodzi. Tristan zaczął wiosłować. Po kilku minutach łódź przybiła do brzegu.

Valois odwrócił się, obrzucił spojrzeniem rzekę i stwierdził, że jego towarzysze nie podążyli za nim.

— Czy to daleko? — zapytał Tristana.

— Nie, jaśnie wielmożny panie, już jesteśmy na miejscu. Skarb jest w wieży Nesle. Pozostaje mi tylko poinformowanie pana, gdzie stoją skrzynie napełnione workami ze złotem.

Teraz wszelkie podejrzenia Valois rozwiały się jak dym, Nie wątpił już w prawdę słów Tristana. Uczuł podziw dla sprytu Marigny'ego, który umyślił obrać wieżę Nesle za kryjówkę dla skarbu. Było to prawdopodobnie jedyne bezpieczne miejsce w całym Paryżu.

Przekroczył pośpiesznie próg przedsionka, nie zastanawiając się wcale nad tym, że drzwi wejściowe są otwarte. Zresztą Tristan, który szedł pierwszy, mógł przecież posiadać klucz. Wszedł więc do wnętrza.

W tej samej chwili Tristan, stojący przed wejściowymi drzwiami, zatrzasnął je, a potem zamknął na dwa spusty...

XXII

WIEŻA NESLE

Hrabia de Valois nie zorientował się na razie, co się stało. Był przekonany, że Tristan wszedł za nim do wieży. Przez chwilę czekał. W przedsionku panował nieprzenikniony mrok. Sklepienie komnaty, jeszcze nie tak dawno rozbrzmiewające echami orgii i żalonych jęków ofiar Stragilda, były teraz ciche i ponure.

— Tristanie! — szepnął hrabia.

Gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, w sercu jego zrodziło się podejrzenie, że padł ofiarą zaplanowanej zasadzki. Mruknął gniewnie. Mimo to jednak żądza zdobycia skarbów zapanowała nad wszystkim. Był dzielny jak wszyscy prawie ówcześni rycerze. Doszedłszy do przeświadczenia, że zastawiono na niego pułapkę, oparł się plecami o zamknięte drzwi, dobył sztyletu, owinął płaszczem lewą rękę i czekał w skupieniu na rozwój wydarzeń.

Minęło kilka minut. Wpatrywał się czujnie w mrok. Powoli wróciła mu pewność siebie. Nikt nie napadł na niego. Było jasne, że w wieży nie ma nikogo. Nastawił ucha, lecz wytężony całą siłą woli słuch nie mógł pochwycić żadnego podejrzanego dźwięku, żadnego szmeru lub skrzypnięcia zwiastującego skradanie się po ciemku wroga.

A więc w jakim celu Tristap przychodził do niego? Po co go tu przyprowadził? Co miał na myśli? Jaki uknuł plan? Może wrogowie jego planują jakiś zamach... jakiś napad na Tempie lub Luwr i chcąc go unieszkodliwić na tę noc, uciekli się do podstępów? Nie mogąc dojść do żadnych wniosków, postanowił w końcu uzbroić się w cierpliwość i doczekać do rana.

Nagle usłyszał dalekie echo uderzeń zegara wieżowego. Wybiła jedenasta.

Z nastaniem dnia wydostanie się z wieży bardzo łatwo. Gdy tylko Paryż przebudzi się ze snu, pierwszy lepszy przechodzień, słysząc jego dobijanie się, wywali drzwi i uwolni go. A wtedy nie ustanie w poszukiwaniach i pochwyci wreszcie Tristana.

Minuta mijała za minutą. Po dawnemu w całej wieży panowała głucha cisza. Hrabia nabierał coraz większej pewności siebie. Schował nawet sztylet do pochwy. Teraz chodziło już tylko o to, aby doczekać dnia. Z wściekłością myślał o tym, że mógł zdobyć skarby Marigny'ego albo przynajmniej mógłby je mieć — przecież nie były one bajką! Gdzie jednak ich szukać? Jaką miał pewność, że Tristan nie powiedział bodaj części prawdy?! A może właśnie skarb znajduje się w wieży Nesle?!

W chwili gdy tak bił się z myślami, usłyszał naraz jakiś dźwięk. Pierwszy dźwięk od czasu, kiedy znalazł się w ciemnym przedsionku wieży. Metalowy, czysty dźwięk zabrzmiał jakimś dziwnym echem. Był to brzęk złotych monet, spadających na kamienne płyty posadzki.

Serce zaczęło mli bić gwałtownie. Nagle odtworzył sobie cały, jak mu się zdawało, istotny stan rzeczy. Tristan wszedł za nim do wnętrza! Po zamknięciu drzwi wejściowych udał się do kryjówki, w której znajdował się skarb! Przed wezwaniem Valois zaczął napełniać sobie kieszenie złotem.

Gdzie on mógł się ukryć?

Pijany radością zaczął posuwać się po omacku w kierunku, skąd słyszał brzęk złota. Szedł jakby pociągany jakąś magnetyczną siłą.

I znowu brzęknęło złoto...

— Tristanie! — zawołał półgłosem.

Nie zdając sobie z tego sprawy, zszedł po schodach aż do piwnicy, do tego samego podziemia, gdzie ongiś został zamknięty przez Lancelota Bigorne'a i skąd wyprowadził go sam król Ludwik. Gdyby nawet schody te wiodły do piekła, nie zawahałby się pójść nimi. Wreszcie znalazł się w podziemiu i znowu zawołał:

— Czy to ty, Tristanie? Słuchaj, przebaczam ci wszystko i pozwalam zabrać od razu twoją część...

Znowu zalegała głucha cisza... Valois instynktownie cofnął się i raptem oparł się plecami o jakąś przeszkodę... Uczuł za sobą ścianę... ręka jego natrafiła na żelazne okucia drzwi — zamkniętych na głucho. Wzdrygnął się, lecz nie stracił ducha. Tristan był w podziemiu... skarb był tu więc również!

I znowu do ucha jego doleciało echo bicia zegara. Zaczął liczyć uderzenia. Wybiła północ...

Przy ostatnim uderzeniu nagle rozblęskło lekkie światło, płynące nie wiadomo skąd. Poznał podziemie, w którym był kiedyś uwięziony. Nie przestraszył się jednak wcale. W tej chwili żyła w nim jedna tylko myśl, myśl o złocie! Widział je! W głębi ujrzał wielką, otwartą skrzynię. W skrzyni starannie poukładane pękate worki. Na posadzce przy skrzyni leżało, kilka dukatów. Jeden z worków był rozwiązany.

Valois roześmiał się. Tristan był w pobliżu. Teraz już miał pewność. To Tristan otworzył skrzynię i worek i upuścił przy tym te złote pieniądze... Lecz gdzie się teraz ukrył? Na pewno tam, za zasłoną zwisającą od sklepienia aż do ziemi, tuż za skrzynią. Valois podszedł do zasłony, żując w ustach pogróżki, potem gwałtownie szarpnął zasłonę. W tej samej chwili odskoczył w tył i stanął jak wryty. Czuł, że groza zjeżyła mu włosy na głowie. Padł na kolana. Wyteżył wszystkie swe siły, aby odwrócić wzrok od tego, co wprawiło go w przerażenie. Nie był w stanie... nie mógł odwrócić oczu od postaci Enguerranda de Marigny'ego!

Pierwszy minister siedział w fotelu ubrany w szaty, jakie zwykle nosił. Twarz jego nie miała trupiej bladości, przeciwnie — była lekko zaróżowiona. Oczy miał otwarte, błyszczące, bystre. Lewą rękę położył na rękojeści szpady, prawą oparł o kolano. Fotel stał na dosyć wysokim podeście, tak że nogi tego straszliwego widma były wsparte o wieko skrzyni.

Przez chwilę Valois łudził się nadzieją, że widok ten jest tylko halucynacją, że zaraz zbudzi się z tego okropnego snu. Odważył się nawet podejść do widziadła i dotknąć ręki Marigny'ego. W tym momencie rozległ się głośny dźwięk cymbałów, czy też gongu. Valois zaledwie go usłyszał. Cofał się z niewysłowionym lękiem, wciąż się cofał w najdalszy kąt piwnicy. Nie myślał już o zwalczaniu uczucia strachu. Był załamany, przybity.

Ręka widziadła, której dotknął, była zimna... trupio zimna... Chłód, jaki z niej płynął, ścinał mu krew w żyłach, zwarzył całą radość jego życia. Jednocześnie

zrozumiał, że to nie pomyłka, że jest to istotnie Marigny... Marigny, powieszony na Montfaucon, siedział w fotelu i wpatrywał się w niego.

Po raz drugi zabrzmiały przeciągłe a posępne cymbały i echo gongu.

Teraz przypomniał sobie, że dźwiękami tymi Małgorzata zwoływała tu zazwyczaj swą służbę. A więc Małgorzata była tu również!

Wyciągnął przed siebie ręce, jakby odtrącając widziadło, i głosem pełnym obłąkańczej trwogi wyszeptał:

— Nie, nie, nie chcę! Nie chcę!

Nagle rozległ się głos:

— Przekłety, przychodzisz okraść mnie po śmierci, jak usiłowałeś uczynić to za życia!

Co on mówi! To niesamowite!

o sklepienia podziemi obił się ostry śmiech.

— Przekłety, coś uczynił ze swoim synem Janem?

On wie? On wie wszystko... Przed umarłymi bowiem nic się nie zatai!

Enguerrand de Marigny mówił głosem stłumionym, lecz wyraźnym. Przerażony Valois odpowiadał widmu, mowę jego przerywała jakaś czkawka.

— Przekłety! Coś uczynił z moją córką, którą oskarżyłeś o czary?

— Och! Ona przynajmniej wymknęła mi się z rąk! Bądź spokojny, Marigny! W imieniu twej córki błagam cię o przebaczenie! Przebacz! Och! Przebacz!

Padł na kolana i zaczął bić czołem o posadzkę.

— Ja miałbym ci przebaczyć? Ja? Głupcze! Ja, który zwabiłem cię tutaj, aby porwać cię w posępną krainę wieczystej żałoby?!

Valois podniósł wykrzywioną twarz w stronę widziadła. Ujrzał, że się porusza... podnosi się z fotela... Doznał wrażenia, jak gdyby w mózgu coś mu pękało i zapadało się... Upadł na ziemię jak rażony piorunem ...

Marigny znów się odezwał. Zaczął teraz zarzucać hrabiemu szereg prawdziwych i urojonych zbrodni. Gdyby hrabia był w stanie go usłyszeć lub gdyby mógł rozumować na zimno, zdziwiłby się na pewno gadatliwością nieboszczyka.

Valois jednak nic nie słyszał — zemdłał. Wtedy zza fotela, na którym siedziały zabalsamowane zwłoki, wychyliła się pobladła twarz Lancelota Bigorne'a. Rzucił nieufne spojrzenie na nieruchome ciało Valois.

— Czy żyje jeszcze, czy skonał ze strachu? — zapytał sam siebie. — Na świętego Barnabę! Gdyby żart ten trwał dłużej, sam, zdaje mi się, skonałbym ze strachu.

Poszedł do Valois i stwierdził, że jeszcze oddycha. Cofnął się pośpiesznie na dawne miejsce, a hrabia tymczasem odzyskał przytomność, podniósł się z ziemi i uklęknął.

„Niedobrze!” — pomyślał Bigorne. „Teraz domyśli się wszystkiego! Tym gorzej, będę zmuszony skrócić dni jego żywota”.

Lecz Valois wstał i nie zwracając już na nic uwagi, zaczął chodzić po podziemiu uroczystym krokiem. W prawej ręce zdawał się mocno ścisnąć niewidzialny przedmiot. Chodząc wołał jękliwie:

— Módlcie się, paryżanie, módlcie się za duszę Enguerranda de Marigny'ego, niewinnie powieszono na Montfaucon. Po chwili dodał: — Zapalcie moją gromnicę! Niech płonie jasno, kiedy wejdę do katedry Notre-Dame. Och! Ale nigdy nie dojdę do niej! — Z dzikim rykiem wołał: — Miłosierdzia! Łaski! Kajam się! Módlcie się za duszę niewinnej ofiary!

Skoro Lancelot nabrał przekonania, że hrabia de Valois postradał zmysły, przestał się nim interesować. Uklękł pobożnie przy zwłokach Marigny'ego, błagając ducha jego o przebaczenie za to, że ośmielił się użyć jego ciała do tej straszliwej komedii. Uspokoivszy sumienie, zajął się teraz dokończeniem rozpoczętego dzieła.

Za zasłoną, którą Valois odsłonił, był dół zawczasu przygotowany przez Bigorne'a. Złożył w nim zwłoki, umieścił na dawnym miejscu wyjęte z posadzki płyty kamienne; potem nie mając już w podziemiach wieży nic więcej do czynienia, podszedł do wciąż lamentującego Valois i położył mu rękę na ramieniu.

— Czy chcesz mnie zaprowadzić do katedry Notre-Dame? — zapytał obłąkaniec.
— Och! Uczynź tak, żebym znalazł się tam jak najprędzej. Tak mało zostało mi czasu na pokutę!

— Ejże! Masz na to całe życie! Miej trochę cierpliwości!

Valois wyszedł spokojnie za Lancelotem z podziemia. Bigorne stanął w parterowej sali wieży, otworzył drzwi, wyprowadził hrabiego Valois za rękę i rzekł:

— Idź sobie z Bogiem! Chciałeś mnie powiesić! I ja mogłem to samo uczynić z tobą. Widzisz, jeden z nas musiał ulec. Wolę, że stało się to z tobą. To po pierwsze jest bardziej sprawiedliwe, a poza tym... teraz, kiedy jestem bogaty... zależy mi na życiu!

Valois oddalił się. Bigorne długo jeszcze słyszał jego lękliwe lamentowanie:

— T Módlcie się za duszę Enguerranda de Marigny'ego.

Gdy znowu zapadła cisza, Bigorne spojrzął na mroczną starą wieżę i szepnął:

— Żegnaj, wieżo Nesle, posępna kryjówko widm i upiorów! Dlaczego nie stałaś się wieżą radości, wesela i światła? Dlaczego zamiast Stragilda nie rządził tu Lancelot Bigorne? Lecz nie mówmy już więcej o tym. Przeklęta wieżo, tobie również odpuszczane są twe winy, nie boimy się już ciebie! Wieżo Nesle, żegnaj!

*

Lancelot Bigorne wrócił do swych przyjaciół do Roule. Mały oddziałek wyruszył w drogę o godzinie wyznaczonej przez Buridana. Po przybyciu do Burgifhdii, w okolicy Dijon, przyjaciele zamieszkali razem, nie rozstając się ze sobą przez długie lata.

Buridan poślubił córkę Marigny'ego. W 1324 roku matka jego, pani Anna de Dramans, zmarła, doczekawszy spokojnej starości. Wtedy Buridan wrócił do Paryża.

Nieszczęsny Ludwik X zmarł wkrótce po śmierci Małgorzaty na melancholię. Na tron francuski wstąpił jeden z jego braci, w historii z braku innych wybitniejszych cech znany pod przydomkiem Filipa Długiego.

ZAKOŃCZENIE

W 1325 roku pewnego wiosennego południa kilka osób zgromadziło się w małym szynku położonym nad Sekwaną. Współbiesiadnicy byli weseli i mieli apetyt. Stół, przy którym zasiedli do posiłku, stał w altanie oplecionej gęsto winoroślą. U stóp ich Sekwana toczyła spokojnie swoje błękitne wody. Na prawo czerniały wieżyczki i chorągiewki na dachu Luwru. Tuż przed nimi wznosiła się sylwetka wieży Nesle. Przy stole w ogrodowej altanie ucztowali: Jan Buridan i jego żona Myrtilla, Gautier d'Aulnay, Lancelot Bigorne, Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot. Robili plany na przyszłość. Gautier marzył o zamieszkaniu w swoich dobrach. Wilhelm i Riquet, dwaj nierozłączni przyjaciele, chcieli wyruszyć w podróż dookoła świata. Wreszcie zabrała głos Myrtilla:

— Dlaczego mielibyśmy się rozdzielać? Czy sam los nie połączył nas wszystkich na wspólną dolę i niedolę? A przy tym kto wie, czy nie będziemy potrzebowali wzajemnego poparcia? Nie rozstajmy się! Mam przecucie, że los zgotuje nam jeszcze dużo smutnych niespodzianek, jeśli zechcemy zerwać nasz pakt przyjaźni. Czym są

ludzie wobec przeciwności losu, jeśli nie mają za sobą wypróbowanej i wiernej przyjaźni? Razem jesteśmy w stanie stawić czoło bodaj całemu Paryżowi!

Słowa jej przemówiły przyjaciółom do przekonania. Postanowiono nie rozłączać się.

Buridan spoglądał w zamyśleniu na wieżę Nesle

— Gospodarzu — zapytał oberżystę — dlaczego drzwi i okna tej wieży są zabite na głucho deskami?

— Aby widmo nie mogło wydostać się stamtąd na świat boży — odpowiedział spokojnie oberżysta.

— Jakie widmo?

— Nie wie pan? Ach, prawda! Pan nietutejszy! Otóż wszyscy paryżanie wiedzą o tym, że w wieży pokutuje duch... widmo... Król zaś nie chce, żeby straszło ono po nocy poczciwych mieszczuchów, dlatego też zamknięto przed nim wszystkie możliwe drogi wyjścia.

— Coż to za widmo?

— Królowej Małgorzaty Burgundzkiej. Mogę opowiedzieć państwu jej historię... Wszyscy zbledli i spojrzeli po sobie, a potem potrząsnęli przecząco głowami.

— O czym myślisz, Buridan? — zapytał po chwili Gautier.

— O tezie, której ongiś miałem bronić w Sorbonie.

— Cóż to za teza?

— *Licetum est occidere reginam!* (Możliwe jest zabójstwo królowej)

— Hi — ha! — ryknął oślim głosem Bigorne. — Założenie tezy było fałszywe.

Małgorzaty Burgundzkiej nie można zabić. Sami widzicie: mimo że nie żyje, jeszcze należy ją zamykać na wszystkie spusty, aby nie dręczyła poczciwych mieszczuchów. Gdyby była taka jak wszyscy, gdyby była cnotliwa, na pewno już by dawno o niej zapomniano. Ladacznicą, okrutną i wynaturzoną kobietą będzie żyła w pamięci ludzkiej przez długie wieki, nawet wtedy, kiedy stara wieża rozpadnie się w gruzy.

Koniec

Opracowanie graficzne serii: Andrzej Tomczak

Ilustracja na okładce: Maciej Woltman

Redaktor: Janusz Sudół

Redaktor techniczny: Lidia Wójcik

Korekta: Zespół